ORZEŁ BIAŁY (White Eagle) & SYRENA le 20-27 décembre 1962 — Price-Prix 1/3, NF 0.75, $0.20

B.D.I.C

SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

ROK XXII

PARYŻ—LONDYN

Polska walcząca o wolność

Nr 51-2/1067-8 (799-800) 20-27 grudnia 1962

Numer świąteczny jest podwójny i zawiera 16 stron w nich dodatki: „Pokrzywy", „Lekkim Piórem", „Pani w Domu i w Świecie". Następny numer „Orła Białego—Syreny" ukaże się dnia 3 stycznia 1963 roku.

NA ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Drodzy Koledzy,

Zbliżają się znowu Święta Narodzenia Pańskiego, które obchodzić będziemy jako jedną z największych tradycji świata chrześcijańskiego, bliską szczególnie sercu każdego Polaka. Kiedy zasiądziemy do stołów wigilijnych wspomnienia nasze przede wszystkim skierują się do tych wszystkich Kolegów - Żołnierzy, którzy odeszli od nas znacząc swoim życiem drogę do wolności i niepodległości Polski. Wspomnijmy również z serdecznością nasze rodziny i naszych towarzyszy broni, wszędzie tam, gdzie się znajdują.

Znajdując się w krajach świata wolnego, pozostajemy nieodłączną częścią naszego narodu. Nie ma takiego oddalenia, takiego rozproszenia po świecie, które by mogło osłabić naszą łączność, nasze myśli i uczucia dla Polski.

Starając się spojrzeć w przyszłość, jesteśmy przede wszystkim pod wrażeniem wielkich wydarzeń i zapowiadających się przemian, które przyniósł rok mający się ku końcowi. Wydaje się, że procesu tego nikt nie będzie mógł powstrzymać w pół drogi. Kiedy podczas lat ubiegłych świat zastygł w bezruchu, nie zboczyliśmy z naszej drogi obowiązku wobec sprawy wolności Polski. Tym mocniej powinniśmy dzisiaj iść dalej po tej drodze, gotowi zawsze do pracy i walki o nasz najwyższy cel.

Składając najlepsze życzenia świąteczne wszystkim Żołnierzom, Marynarzom i Lotnikom, zwracam się i do tych, którzy w Kraju pełnią służbę pod obcym dowództwem, którzy są naszymi braćmi i synami. Wam wszystkim i Waszym Rodzinom przesyłam najserdeczniejsze życzenia świąteczne oraz słowa głębokiej, niezachwianej wiary w lepszą przyszłość naszej Ojczyzny.

Generał W. Anders

Londyn, w grudniu 1962 r.

CZYTELNIKOM, PRZYJACIOŁOM I WSZYSTKIM POLAKOM

serdeczne życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT

Dobrego Nowego Roku

składa Redakcja i Wydawnictwo „Orła Białego—Syreny"

JAN TOKARSKI

DYNAMIZM WCIELENIA

PIERWSZE stulecia chrześcijaństwa można nazwać okresem zmagań o pełną prawdę Wcielenia. Niemal do końca w. VII kwestionowane było albo bóstwo albo — zwłaszcza — człowieczeństwo Chrystusa.

Wschód chrześcijański tak był zapatrzony w transcendencję Boga jedynego, w boskość „czystą", że nie umiał jej sobie pogodzić z faktem synostwa bożego, z prawdą o Synu równym i współistotnym Ojcu, Światłości, Bogu prawdziwym z Boga prawdziwego zrodzonym a nie stworzonym. Albo jeśli przyjmował synostwo, to do tego stopnia wynosił jego bóstwo, że zasłaniał lub wręcz odrzucał jego ludzką naturę czy jego wolę. Praktycznie więc przekreślał prawdę i zasadę Wcielenia: iż prawdziwy Bóg stał się prawdziwym człowiekiem w jedności boskiej Osoby.

Z tych zmagań o Wcielenie, trwających siedem wieków wynika, jak trudno było uwierzyć w tajemnicę, do której my dziś tak już jesteśmy „przyzwyczajeni": iż Nieskończony ma granice, Przedwieczny rodzi się w czasie, Słowo staje się ciałem i mieszka z ludźmi dla ich zbawienia.

•

Gdy Wschód z oporem godził się na przyjmowanie tej tajemnicy, Zachód był jej obrońcą. Wschód chrześcijański do dziś dnia wielbi w Synu bożym przede wszystkim Boga. Dlatego też za swe największe święto uważa Epifanię (6 stycznia), to jest pamiątkę objawienia bóstwa Chrystusowego w pokłonie mędrców, w cudzie galilejskim, w Głosie i Gołębicy w czasie chrztu w Jordanie. Na Zachodzie natomiast w powszechnym odczuciu tym świętem największym stała się właśnie pamiątka Wcielenia, Boże Narodzenie, dzień, kiedy Wszechmoc staje się bezsilnym dzieciątkiem; a ręce, które utworzyły słońce i gwiazdy, zbyt są maleńkie by dosięgnąć łbów osła i wołu — żeby powtórzyć za Chestertonem. Tą sceną, która tak oburzała wschodniego herezjarchę, że ją w swej pysze odrzucał wołając: „nie będę się korzył przed Bogiem w pieluchach", przejął się Zachód. Przez to nie tylko wspólna i ta sama religia chrześcijańska nabrała na Zachodzie niektórych odmiennych akcentów, ale nawet zachodnia cywilizacja ukształtowała się inaczej od innych: Albowiem u podstawy jej dynamizmu i specyficznego rozwoju była żywa prawda o godności człowieka, którego bratem stał się Syn boży.

•

Odkupienie mogło się dokonać w różne sposoby. Jeśli jednak zaczęło się od narodzin betlejemskich, musi więc być czymś więcej niż tylko samym tym faktem historycznym, lub jego corocznym rzewnym wspomnieniem. Musi być nie tylko odosobnionym aktem zbawczym — jakim jest najczęściej dla zachodnich chrześcijan oddzielonych; — nie tylko początkiem całego dramatu Odkupienia, ale jego prawem i warunkiem realizacyjnym. Musi też być prawem, zasadą, obowiązkiem i warunkiem realizacyjnym chrześcijaństwa i Kościoła. Jak Chrystus Pan nie przestając być Bogiem wcielił się z „Ducha Św. z Maryi Panny i stał się człowiekiem", tak chrystianizm, tak Kościół nie roniąc niczego ze swych boskich czynników musi się zawsze i wszędzie wcielać, stając się człowieczym. I właśnie to prawo inkarnacji, ta zasada wcielenia jest podstawą i warunkiem katolickości i uniwersalności, to jest powszechności Kościoła.

Rysunek Zygmunta Turkiewicza.

Kościół nie dlatego jest katolicki, uniwersalny, powszechny, że rozciąga się po całej ziemi, że należą do niego przedstawiciele wszystkich ras i stukilkudziesięciu ludów. Chińczyk obok Włocha, Kanadyjczyk obok Murzyna, Niemiec obok Japończyka, Polak czy północny Amerykanin obok Filipińczyka na sali soborowej albo w kardynalskim kolegium, to tylko akcent kolorystyczny i znak geograficznej rozciągłości: ale nie stanowi to żadnego „dowodu" na powszechność Kościoła. Nie jest to nawet znakiem zewnętrznym powszechności. Przeciwnie, mogłoby nawet stanowić smutny znak zaprzeczenia powszechności, jeśliby tej rozmaitości ras, kultur i kolorów skóry nie odpowiadała także rozmaitość wolności przeżywania i wyrażania tych samych faktów, prawd, treści i środków religii. Do istoty chrześcijaństwa należy jedność i różnorodność. Jednością jest Bóg. Ale że Bóg jest nieskończony, ta nieskończoność ze względu na sposób pojmowania ludzkiego musi się od strony człowieka przejawiać w różnorodności. W dziele i porządku stworzenia wyraża się rozmaitością i bogactwem bytów w ich rodzajach i gatunkach oraz formach istnienia. W chrześcijaństwie i Kościele zaś analogią tej różnorodności musi być możność zaspokojenia najrozmaitszych a uprawnionych tęsknot i potrzeb duchowych, odrębnych psychologij a nawet fizjologij religijnych: Stąd różne kierunki życia duchowego, stąd przeróżne zakony. I stąd przede wszystkim rozmaite obrządki i języki w sprawowaniu liturgii.

Wbrew temu co myśli tylu ludzi, „prawdziwy" Kościół to nie jest Kościół łaciński; i jedynie kongenialną kulturą, w której chrześcijaństwo może się rozwijać, nie jest kultura „zachodnia", choć Kościół był jej głównym współtwórcą. Gdyby „prawdziwym" Kościołem był tylko Kościół łaciński, a jego „etatową" kulturą — kultura zachodnia, wtedy chrześcijaństwo byłoby tylko sektą zachodnią, a Kościół wyłącznie europejską instytucją. Kościół nie byłby domem wolności dzieci bożych i domem miłości, lecz koszarami, w których się ćwiczy na jedną modłę przemocą zaciągniętych rekrutów Królestwa bożego. Prawdziwy Kościół nie jest ani łaciński ani grecki ani słowiański, lecz powszechny.

Dlatego też Kościół nie posiada żadnego języka „swojego", żadnej kultury nie uważa nie tylko za swoją, ale nawet za katolicką czy chrześcijańską, ponieważ jest dla całego świata, dla wszystkich kultur, ludów i ras. Kościół niesie Prawdę, którą jest Chrystus, ale ta Prawda zawsze będzie obca, jeśli nie będzie podawana w języku, pojęciach i formach zrozumiałych i naturalnych dla danego kręgu kulturowego: nie istnieje bowiem jedna kultura powszechna i uniwersalna. Tylko religia jest jedna, powszechna i uniwersalna. Ale ta jedność nie ma nic wspólnego z ujednolicaniem, uniformizmem: przeciwnie, może i musi się wyrażać w formach najróżniejszych. Jak powiedziano — sznury, podtrzymujące Namiot Kościoła muszą być w każdym kraju tkane z rodzimych materiałów. A to właśnie jest jednym z aspektów prawa Wcielenia, obowiązujących w Kościele.

(Dokończenie na str. 3)

F°P 2156

DYNAMIZM WCIELENIA

(Dokończenie ze str. 1)

Niestety, przez ostatnie wieki zasada ta, nigdy teoretycznie nie podważona, w praktyce jednak — jeśli nie liczyć chlubnych i woluntarskich wyjątków prawie zawsze dokonywanych przez zakon jezuitów — nie była stosowana. Misjonarze poza Europę nieśli nie tylko Prawdę, lecz równy nacisk kładli na jej europejskie przybranie. Przez to ich wysiłek nie mógł przynieść wielkich owoców. A w krajach o wielkich tradycyjnych własnych kulturach, jak Chiny, Indie, Japonia wzbudzał pogardę i nienawiść do chrześcijaństwa, jako importu obcego, za którym lub z którym nie rzadko szedł wyzysk i podbój polityczny, gospodarczy i wojskowy. Wszędzie narzucany był jeden i ten sam obrządek, ten sam język łaciński, choć się nieraz zupełnie kłócił z fonetyką danych języków i możliwością artykulacyjną Chińczyka czy Syjamczyka, te same ryty, gesty, znaki i śpiewy liturgiczne również w błędnym przekonaniu o ich uniwersalnie zrozumiałej symbolice, gdy w rzeczywistości obrządek rzymski takich rytów i gestów itd. sobie nie wypracował, bo nie istnieją. Np. „pocałunek pokoju" czy całowanie relikwij ołtarza, albo mszału jest szokujące na Dalekim Wschodzie, gdzie pocałunek jest czynnością tylko seksualną; a znów w Afryce nie znaczy absolutnie nic. W Afryce za to nie można narzucać śpiewów i melodyj łacińskich w liturgii, bo fraza melodyjna w naszym odczuciu żałobna, dla Afrykańczyka jest radosna i odwrotnie; albo interwały dla nas zupełnie obojętne, dla nich mają silną konnotację seksualną. Podobnie można by mówić o kolorach szat liturgicznych, o rytuale o sakramentaliach, etc. (np. pokrapianie wodą święconą trumny w Japonii pobudza raczej do śmiechu natomiast okadzanie jest zgodne z tradycją i miejscowymi odczuciami).

A więc chrystianizacja krajów pozaeuropejskich nie odbywała się na zasadzie prawa Wcielenia, które wymaga, aby Kościół i chrześcijaństwo wszędzie było własne i rodzime — nie przestając być jedno przez Chrystusa — nie zaś tylko łacińskie i „zachodnie". Ale nawet w samej Europie ta zasada nie była przestrzegana w pełni. Liturgia, przez którą Kościół przede wszystkim realizuje swój cel, do jakiego został powołany: bo istotą liturgii jest udzielanie Chrystusa Pana w sakramentach i nauce — przestała się rozwijać zgodnie z prawami Wcielenia i wewnętrznego dynamizmu. W miejsce rozwoju jako sztuczny ideał przyszedł immobilizm, który też nadał łacinie miejsce, jakie się jej z żadnego tytułu nie należy. Nie tylko samo pojęcie, ale również organizacja Kościoła, jego struktura pod wpływem okoliczności zewnętrznych uległy pewnemu zaciemnieniu. Także rodzaj i sposób nauczania prawdy Chrystusowej nie był właściwy. Zatarła się też w Kościele pełna świadomość czynnej roli świeckich jako świeckich.

A to są wszystko sprawy, którymi zaczął się zajmować sobór. Jest tych spraw więcej. Zamiast je wyliczać, zamiast opisywać charakter i kierunki dyskutowanych zmian, takie i inne orientacje, zarysowane w dyskusji, wystarczy powiedzieć jedno: Sobór pragnie w dzisiejszym „wszystkim świecie" poszukać takich metod i struktur, zdobyć się na takie przemyślenia i adaptacje, aby w ich wyniku mógł dokonać nowego Wcielenia jednej i tej samej nauki Chrystusowej. To, co św. Augustyn pisał o państwie niebieskim w słowach zacytowanych przez Jana XXIII na otwarciu soboru, można także odnieść do Kościoła. I Kościół jest społecznością, w której „panuje prawda, a prawem jest miłość, wieczność zaś wymiarem". Nie jest to jednak stan, lecz dynamiczny ideał do ciągłego realizowania, ustawicznego rozpoczynania na nowo. Najniezbędniejszym warunkiem tego dynamizmu, fundamentalnym prawem rozwojowym chrześcijaństwa jest i pozostanie Wcielenie. Wcielenie „w zwyż" i „w dół", jak wyraził się w niezapomnianym liście kard. Suhard.

Jak Chrystus Pan wcielił się „w dół", przyjąwszy ludzką naturę, jak „Słowo stało się ciałem", tak i Kościół musi wszędzie się wcielać przyjmując wszystko gdziekolwiek coś jest dobrego, słusznego, pięknego, uzasadnionego. Lecz Chrystus Pan przyjąwszy całą naszą naturę — z wyjątkiem grzechu — przyjął ją na to, aby ją przez zasługę swej Męki w chwili Wniebowstąpienia postawić na prawicy Ojca, wywyższając ją ponad naturę aniołów i wprowadzając do chwały. Tak też i Kościół: Przyjmuje wszystko co naturalne nie po to, aby wywierać „wpływ", „panować", „triumfować", tworzyć „państwa katolickie" czy jakieś inne wygodne ramy dla swej działalności, lecz żeby każdego człowieka z osobna i wszelkie społeczności prowadzić do chwały Ojca.

Jan Tokarski

NAJLEPSZE ŻYCZENIA
WESOŁYCH ŚWIĄT
i
SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU
składa Klientom
Dyrekcja
F-my
ROBIŃSKI & CO.,
41, HARRINGTON ROAD,
LONDON, S. W. 7.

WESOŁYCH ŚWIĄT
i
PIĘKNEGO DOMU
W NOWYM ROKU
ŻYCZY WSZYSTKIM RODAKOM
JAN BAK
POLSKA AGENCJA KUPNA i SPRZEDAŻY
NIERUCHOMOŚCI
Biuro Główne: 9, Charleville Road, W. 14.
Tuż przy stacji kol. podz. WEST KENSINGTON
Tel.: FUL 9008
Filie: 231, Oxford Street, W. 1.
Tuż przy stacji kol. podz. OXFORD CIRCUS
BIURO No. 8 Tel. GER 9601
152, Chiswick High Road, W. 4
Tel. CHI 7741/2
821, North End Road, W. 14.
Tel. FUL. 6126

STANISŁAW PIEKUT — SZKIC HISTORYCZNY

PERYPETIE PIERWSZEGO SOBORU WATYKAŃSKIEGO

JESTEŚMY świadkami wielkiego wydarzenia w dziejach Kościoła i chrześcijaństwa — drugiego Soboru watykańskiego. By lepiej ująć go z perspektywy historycznej, cofnijmy się do ostatniego, dwudziestego z rzędu — pierwszego Soboru watykańskiego, który odbył się w 1870 roku.

Lata, które go poprzedziły, należały do najbardziej burzliwych w dziejach Włoch i Kościoła. Włochy miały już poza sobą długi, prawie wiekowy, okres walk o zjednoczenie, okres kłębienia się idei, poświęceń, heroizmu, a na czoło wysunęły się takie osobistości jak: Cavour, Mazzini, Garibaldi, Gioberti, Karol Albert i Wiktor Emanuel II.

W rezultacie wspólnego wysiłku prawie całe Włochy zostały zjednoczone. Na kilka lat przed Soborem, dokładnie w 1866 r., w wyniku paktu włosko-pruskiego i następnie wojny z Austrią, ta ostatnia, na skutek klęski pod Sadową, utraciła na korzyść Włoch Wenecję, będącą w jej posiadaniu od czasów Napoleona. Praktycznie więc zcalenie ziem dobiegało końca, pozostała tylko *kwestia rzymska*, Trydentu i ziem nad Adriatykiem, z których te ostatnie pozostały nadal przy Austrii i stanowiły kość niezgody między obu państwami aż do pierwszej wojny światowej.

Sprawa rzymska była tylko kwestią czasu. Państwo Kościelne skurczyło się bowiem wówczas do Rzymu. Premierzy Wiktora Emanuela II nie chcieli zdobywać go siłą, tym bardziej, że każde użycie siły pociągało za sobą interwencję Napoleona III. Przykładem tego jest choćby rok 1867, kiedy to Garibaldi, na czele woluntariuszy, ruszył przeciwko ekspedycji francuskiej i poniósł porażkę pod Mentana. Rządy włoskie miały wówczas wiele innych spraw do załatwienia nie czekających zwłoki. Jedną z nich, bardzo palącą, było scalenie administracyjne zjednoczonych ziem, zwłaszcza w południowej części kraju, pozostającej przez wieki pod panowaniem Królestwa Neapolu, czyli inaczej „Obojga Sycylii".

W prawdziwie trudnym położeniu znalazł się Kościół. Państwo Kościelne, liczące tyle wieków historii, dobrze już ugruntowane za czasów Karola Wielkiego, uległo likwidacji właśnie za Pontyfikatu Piusa IX. A niezależnie od utraty władzy świeckiej w opokę Piotrową poczęły bić fale różnych niszczących sił, między innymi i nowe prądy umysłowe: materializm, naturalizm i inne. Na takim gruncie szerzył się ateizm, ruchy wolnomyślicielskie powodujące marazm w życiu religijnym. W takiej sytuacji, wobec tylu nowych zmian, Kościół musiał się odpowiednio do nich ustosunkować. I wtedy to Pius IX powziął myśl zwołania Soboru.

Jednym z wielbicieli Piusa IX a w części i jego doradcą był również Zygmunt Krasiński. W krytycznych dniach poprzedzających powstanie Republiki Rzymskiej a i później, po wyjeździe z Rzymu, nie przestał się zajmować wypadkami włoskimi mając ustawicznie kontakt z bratankiem papieża, a poprzez niego i z papieżem. Oto jak pisał wówczas do swojego przyjaciela Augusta Cieszkowskiego: „Z Gaety, z 24 Dec. miałem list od synowca. Przesyła mi opis wszystkich wydarzeń z 16 Nov. po 1 Decembra. — Złote serca, najgrzeczniejsi ludzie. Myśleć o znajomych i nowego roku im winszować z Gaety. W takich okolicznościach. Odpisałem: wołam, krzyczę, piszę, płaczę, o Sobór powszechny błagam i to zwołan do Romy"... Twierdził Krasiński, że Sobór zwołany do Rzymu zwróci na niego oczy całego świata chrześcijańskiego, który w Rzymie jest przyzwyczajony widzieć stolicę chrześcijaństwa i z Rzymu oczekuje rady na trapiące bolączki wieku.

Wśród obcokrajowców, Soboru domagał się również angielski kardynał N. Wiseman. Myśli papieża o Soborze poczęły się jednak konkretyzować dopiero po zjednoczeniu Włoch. O swoich zamiarach wypowiedział się publicznie w czerwcu 1867 r., a dokładnie w rok później bullą Aeterni Patris zapowiedział oficjalnie otwarcie Soboru na dzień 8 grudnia 1869 roku.

Wypowiedź papieża wywarła ogromne wrażenie w całym świecie. Wśród wrogów Kościoła powstała konsternacja. Jakto? Kościół obdarty z władzy świeckiej, niszczony śmiertelnie w imperium carskim, prześladowany w Prusach, źle widziany wśród innowierców, śmie podnosić głowę, jednoczyć się i działać atrakcyjnie na inne wyznania chrześcijańskie? Wśród wszystkich opozycjonistów zawrzało jak w ulu. Na alarm zaczęła bić masoneria. Giuseppe Riciardi, poseł do parlamentu z miasta Foggia rozsyłał listy do wszystkich wolnomyślicieli w świecie, domagając się podcięcia korzeni Soboru jako „zbrodni przeciwko postępowi i cywilizacji". Poparło go wiele wybitnych jednostek, między innymi takie osobistości jak Garibaldi i Wiktor Hugo. Riciardi sprawił, że masoneria zwołała „antysobór" wolnomyślicieli do Neapolu, wyznaczając również 8 grudnia na dzień otwarcia. Ten swoisty „antysobór" odbył się rzeczywiście, niestety jego delegaci tak hałaśliwie się zachowywali, że musiała interweniować policja i po kilku dniach mocno reklamowany zjazd się rozpłynął.

Równie ostro wystąpili protestanci, anglikanie, podniosły głowę także wyznania mniej liczne jak gallikanizm, jansenizm i inne. Posypały się artykuły, broszury nawołujące do unicestwienia zamierzonego przedsięwzięcia. Poszczególne wyznania interweniowały nawet u rządów, by te nie zezwoliły biskupom na wyjazd do Rzymu, ale rządy na ogół nie poszły po myśli protestujących, pozostawiając klerowi swobodę działania.

Komisja soborowa wysłała zaproszenia 1050 osobom spośród biskupów, opatów i generałów zakonu, ponadto zwróciła się z prośbą do innych wyznań chrześcijańskich, by wysłały swoich obserwatorów. To jeszcze bardziej rozjątrzyło przeciwników Soboru w Europie. Wschód odpowiedział milczeniem, a rząd carski zwiększonym prześladowaniem katolików.

Liczba uczestników Soboru, ulegała fluktuacji w różnych miesiącach. W dniu otwarcia, a więc 8 grudnia 1869 r. obecnych było 721 osób, ta cyfra z końcem grudnia wzrosła do 758, by później spaść aż do 667 członków. Na ogół źródła (Civiltà Cattolica, anno 20, vol VIII, serie II, Roma 1869) jako cyfrę oficjalną podają 700 osób, a w tym: 43 kardynałów, 9 patriarchów, 8 prymasów, 107 arcybiskupów, 456 biskupów, 20 opatów i 23 generałów zakonu.

Pod względem uczestnictwa poszczególnych narodowości podział w cyfrach tak się przedstawiał: 200 Włochów, 70 Francuzów, 46 przedstawicieli narodów w składzie Austro-Węgier, 36 Hiszpanów, 19 Irlandczyków, 18 Niemców, 12 Anglików, 19 z innych krajów europejskich. Spoza Europy reprezentowane były: Stany Zjednoczone — 40 osób, Ameryka łacińska — 30, Kanada — 9, Wschód — 50, kraje misyjne — 100. Cyfry wykazują, że liczbowo górowali na soborze Europejczycy, za nimi szła Ameryka dalej inne części świata. Każdemu czytelnikowi polskiemu nasunie się pytanie: A gdzież byli Polacy?

By na nie odpowiedzieć, przypomnijmy sobie położenie Kościoła w latach poprzedzających pierwszy Sobór watykański. Polacy, rozdzieleni między trzech zaborców, mieli długi i często tragiczny okres doświadczeń. Szczególnie surowej próbie poddani zostali pod zaborem rosyjskim. Dopóki żyli carowie Paweł i Aleksander I na ogół liberalnie nastawieni do wiary i Polaków, stan Kościoła utrzymywał się z niewielkimi zmianami na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Działały dawne diecezje i trwały na swoich miejscach zakony i klasztory. Zmieniły się radykalnie warunki za ich następców: Mikołaja I i Aleksandra II. Pierwszy zmuszał biskupów unickich do przechodzenia na prawosławie, zamykał klasztory, utrudniał obsadzanie katedr biskupich, ale w oczach papieża Grzegorza XVI usiłował uchodzić za monarchę tolerancyjnego, przedstawiając, poprzez swojego ambasadora w Rzymie, stan rzeczy zupełnie fałszywie. Lecz w Rzymie formujący się powoli Zakon Zmartwychwstańców podawał papieżowi prawdziwy stan rzeczy prostując w ten sposób zakłamane informacje ambasadora carskiego. Car wizytując papieża przekonał się, że nie wiele zdziałała chytrość jego administratorów, dlatego odpowiedzialność zrzucił na fałszywych informatorów i przyrzekł zmiany na lepsze. Późniejsze lata wykazały, że nic na lepsze się nie zmieniło, a nawet pogorszyło się za jego następcy Aleksandra II. Rząd tego ostatniego zniósł istniejący konkordat ze Stolicą Apostolską, by mieć wolne ręce do prześladowań. Likwidacja klasztorów, zmuszanie do przechodzenia na prawosławie, więzienie i deportacja księży sprawiły, że Kościół skurczył się bardzo. W roku 1870 a więc w roku Soboru martyrologia kleru polskiego w cyfrach tak się przedstawiała: wywiezionych w głąb Rosji — 1 arcybiskup, 5 biskupów, 3 prałatów, 218 księży; 37 księży zamordowanych, 200 uwięzionych. Odnośnie zaś Soboru car zabronił absolutnie wszystkim biskupom wyjazdu do Rzymu.

Z trzech zaborców najbardziej tolerancyjny okazał się wówczas rząd austriacki dając duchowieństwu swobodę decyzji. Nic więc dziwnego, że Polaków na Soborze reprezentowała przede wszystkim delegacja duchownych z Galicji, w skład której to delegacji wchodzili: arcyb. lwowski obrządku łacińskiego — ks. F. Wierzchlejski, arcyb. lwowski obrządku ormiańskiego — ks. Grzegorz Szymonowicz, bp tarnowski — ks. Pukalski, bp przemyski — ks. A. Monastyrski oraz wikariusz apostolski z Krakowa — ks. A. Gałecki. Z zaboru pruskiego przybył arcyb. gnieźnieńsko-poznański — ks. Mieczysław Halka Ledóchowski, ponadto z zaboru rosyjskiego ks Kazimierz Sosn-

(Dokończenie obok)

B.D.I.C

SOVIETICA

CHRUSZCZOW POROWNUJE KOMPROMIS KUBAŃSKI Z... TRAKTATEM BRZESKIM

Na grudniowej sesji budżetowej Wierchownego Sowietu Chruszczow wygłosił mowę, w której przeprowadził polemikę z „dogmatystami", przy czym obok komunistów albańskich wymienił również chińskich. Uradowało to niezmiernie tych komentatorów zachodnich, którzy od dawna liczą na zerwanie między Moskwą i Pekinem, jako na wstępny warunek porozumienia się Zachodu, czy w szczególności Stanów Zj. — z Sowietami przeciw Chinom.

Sądzę, że — jak zwykle — wykładnia sowiecko-chińskich rodźwięków którą stosują wspomniani komentatorzy, posuwa się zbyt daleko, a bliższe zapoznanie się z tekstem wypowiedzi Chruszczowa powinno ostudzić zbyt optymistyczne zapały. Co więcej, niektóre ustępy jego mowy zawierają pogróżki pod adresem Zachodu, dla nie znających historii dyplomacji zawoalowane, lecz wręcz bezczelne, zwłaszcza w stosunku do Ameryki. Znajdujemy je w tej części przemówienia sowieckiego premiera, w której polemizuje on z zarzutami przeciwko kompromisowi, którym Moskwa załatwiła konflikt kubański ze Stanami Zjednoczonymi.

Są w tej polemice dwa główne punkty. W pierwszym, Chruszczow zapytuje, czy można krytykować Chiny Ludowe z powodu tego, że tolerują tymczasem okupację niektórych części swego terytorium przez imperialistów, jak Hong-Kong przez Brytanię czy Macao przez Portugalię. Dając sam odpowiedź, stwierdza, że tymczasowość tę dyktują realne warunki, ale „przyjdzie czas kiedy Chiny uznają tę sytuację jako nie do zniesienia i wypędzą wtedy obcych, a my nie będziemy mogli temu nie przyklasnąć".

Jeszcze znamienniejszą pogróżką brzmi drugi argument. Chruszczow mianowicie, powołując się znowu na realistyczne wskazania Lenina, przypomina sowiecko-niemiecki traktat brzeski z 1917 r., w którym — jak wiemy — bolszewicy poczynili Niemcom daleko idące ustępstwa. „A dzisiaj? czerwony sztandar, stwierdził Chruszczow, łopoce nie tylko nad krajami Związku Sowieckiego, lecz nad Wschodnimi Niemcami". Wymowa tego porównania jest niedwuznaczna i powinna dać wiele do myślenia waszyngtońskim komentatorom. Ustępstwo w sprawie Kuby ma, według Chruszczowa, doprowadzić w przyszłości do sowietyzacji nie tylko tej jednej wyspy na zachodniej półkuli.

MOSKWA POWIĘKSZA WYDATKI NA ZBROJENIA

Mimo „pokojowe" oświadczenia Chruszczowa i Gromyki, oficjalne wydatki na zbrojenia nowego budżetu sowieckiego na rok 1963 wynoszą — w oficjalnym przeliczeniu o 200 milionów funtów więcej od preliminarza roku ubiegłego, składadjąc się na łączna kwotę pięciu i pół miliardów funtów. Aby złagodzić wrażenie tego konkretnego faktu, zaprzeczającemu propagowanym deklaracjom, niektórzy komentatorzy dowodzą, że nie chodzi tu o realne powiększenie zbrojeń. Większy budżet ma być jedynie skutkiem wzrostu cen, zwłaszcza żywności, w Sowietach.

Inne cechy charakterystyczne nowego budżetu sowieckiego, to poważny wzrost przewidywanych wydatków na rolnictwo i przemysł chemiczny. Rolnictwo ma otrzymać łącznie 18 proc. kredytów więcej, z czego o 13 proc. więcej niż w 1962 r. na produkcję traktorów i o 16 proc — na nawozy sztuczne. Przemysł chemiczny będzie jeszcze bardziej faworyzowany, ponieważ jego wzrost budżetowy wynieść ma 36 proc. z rzekomym przeznaczeniem głównie na materiały plastyczne oraz inne towary syntetyczne, których sowiecki nabywca się domaga. Czy powiększenie wydatków na przemysł chemiczny ma rzeczywiście na oku dobra konsumpcyjne, to okaże się dopiero w praktyce. (s)

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

Podział świata na obozy — czy elastyczniejszy?

JEDEN z najbliższych doradców prez. Kennedy'ego, podsekretarz Departamentu Stanu, George Ball oświadczył 14 bm. w publicznym odczycie, że „zimna wojna nie musi być zjawiskiem trwałym" a „wypadki na Kubie dały do myślenia, iż znajdujemy się w trakcie przechodzenia z okresu sztywności no szachownicy polityki światowej do ery większej swobody manewru". Nie jest to jedyny głos tego rodzaju ze strony kół politycznych, które starają się po kryzysie kubańskim jakoby trwale zażegnanym, wytworzyć atmosferę skrajnie przeciwną: rzekomo zacierania się sprzeczności między Zachodem a blokiem komunistycznym oraz zarysowującego się porozumienia Waszyngtonu z Moskwą.

Oddając nastroje tych samych kół, korespondent londyńskiego „Observer'a" Robert Stephens pisze w artykule z 16 b.m., że: „idea trzech, wielkich międzynarodowych bloków zaczęła tracić wagę, jakąkolwiek kiedyś posiadała. Blok komunistyczny sam rysuje się coraz głębiej między Rosją a Chinami, a wewnątrz rosyjskiej orbity wschodnio-europejskie państwa mają coraz większą wolność kroczenia własną narodową drogą. Konflikt między Chinami a Indiami wstrząsnął nagle harmonią krajów afro-azjatyckich i niektórymi podstawowymi przesłankami neutralizmu (nonalignment). Neutralni nie stanowili nigdy bloku, ale też nigdy tak mało na blok nie wyglądają, jak obecnie. Na Zachodzie także, rozwój Wspólnego Rynku i brytyjska próba wstąpienia tam załamują dawną postać zachodniego przymierza i stwarzają konieczność szukania nowych sposobów zachowania zachodniej jedności". Jako lekarstwo na te wszystkie problemy wskazuje przytoczony autor porozumienie sowiecko-amerykańskie, którego punktem wyjścia był by układ o wspólnym zapobieganiu nowym broniom nuklearnym.

NIEPOKOJĄCE PYTANIA

Trudno się oprzeć niepokojowi przy czytaniu takich ocen położenia światowego. Są one tym bardziej niepokojące, że mocarstwa zachodnie zdają się już obecnie brać je za podstawę swojej polityki, zwłaszcza gdy lekkomyślnie narażają wzajemne stosunki na niebezpieczne próby. A przecież, przytoczone wyżej, optymistyczne przesłanki i oceny są w najlepszym wypadku mocno wątpliwe.

Czy ideologiczno-taktyczne spory w łonie bloku komunistycznego, tak jawnie toczone na oczach światowej opinii, istotnie podważyły jego jedność, szczególnie w stosunku do zgodnie nienawidzonego Zachodu? Obraz sytuacji na osi Moskwa-Pekin w świetle wypowiedzi Chruszczowa na sesji Wierchownego Sowietu, omawiamy w osobnej rubryce. Na tym miejscu należy podkreślić, że całość położenia w bloku sowieckim nie powinna być rozpatrywana jednostronnie, wzorem prasy zachodniej, dostrzegającej tylko jedną stronę medalu, na której oświetla ona jaskrawo, nie wiadomo jak trwałe i głębokie, rysy kontrowersji sowiecko-chińskich.

Rzeczywistość jest naprawdę taka, że Chiny, choć w słownym sporze z Sowietami, jak dotąd w każdym razie, pozostają we wspólnym bloku, podczas gdy titowska Jugosławia powróciła na jego czerwone łono. Jeśli więc ktoś chce nawet widzieć już przyszły rozłam między Moskwą a Pekinem, to musi brać pod uwagę, że naprawiony on został między Belgradem a Moskwą, czyli rozkładu imperium komunistycznego nie trzeba optymistycznie wyolbrzymiać. Z poglądem londyńskiego „Observer'a" na rzekomo odzyskiwaną stopniowo „wolność kroczenia własną, narodową drogą" przez narody Europy wschodniej, na łamach polskiego pisma nawet polemizować nie warto, bo wszyscy wiemy, że jest po prostu fałszem.

KENNEDY: ZAGROŻENIE ŚWIATA PRZEZ KOMUNIZM TRWA

Zapytać z kolei należy, czy słusznie wspomniani optymiści przyjmują jako przesłankę nowej, lepszej ery stosunków Zachodu z blokiem komunistycznym doświadczenia kryzysu kubańskiego, czy wolno kryzys ten w ogóle uważać za rozwiązany? Szukając odpowiedzi na to pytanie, musimy przede wszystkim stwierdzić, że sam prez. Kennedy nie jest tego zdania.

Przemawiając w Nowym Jorku Prezydent oświadczył, że „zagrożenie ze strony Kuby dalej istnieje, choć nie jest ofensywne, na co już nie pozwolę". Dodał ponadto, że wszystkie warunki postawione przez niego nie zostały dopełnione i że cała sprawa może ożyć na nowo. Prasa amerykańska informuje konkretnie, że na Kubie przebywają dalej w pełnym uzbrojeniu cztery jednostki bojowe armii sowieckiej w sile 1500 do 2000 ludzi. Jednostki te są uposażone w broń pancerną oraz stanowią elementy obrony załóg pocisków przeciwlotniczych, które pozostają także na wyspie, jak stwierdza „New Jork Herald Tribune" z 17 grudnia.

Prez. Kennedy uznał, jak wydaje się, że nastroje urabiane po kryzysie kubańskim są w ogóle zbyt optymistyczne i stanowczo się od nich odciął także z innej okazji. W dniu 17 bm. udzielił on godzinnego, telewizyjno-radiowego wywiadu, w którym omówił blisko dwuletni okres swojej pracy w Białym Domu. Odnośnie do stosunków z Sowietami stwierdził, że „musi jeszcze upłynąć sporo czasu zanim będziemy mogli dojść do realnego porozumienia" i zwrócił dalej uwagę, że: „rzeczywistą, niezaprzeczalną zaporą (stumbling block) na drodze do pokoju jest sowieckie dążenie rozszerzania swego panowania i wpływu w najbardziej wojowniczej (militant) formie".

Zestawiając własne wypowiedzi Prezydenta w sprawie Kuby i całego położenia światowego, musi się stwierdzić, że nie zawierają optymistycznej nuty, w którą uderzali nawet najbliżsi jego współpracownicy. W wywiadzie tym przypomniano też kłamstwa Gromyki, który zepewniał Kennedy'ego, że na Kubie nie ma sowieckich wyrzutni atomowych, gdy Prezydent już wiedział, że są. Na pytania przeprowadzających rozmowę korespondentów, Kennedy wskazywał fotel w jego gabinecie, na którym sowiecki minister spraw zagranicznych siedział, łżąc mu w żywe oczy. Przypomnienie to miało również swoją wymowę, podkreślającą, że nie wolno ufać oświadczeniom Kremla.

Słowa gospodarza Białego Domu, szczęśliwie, nie wskazują, jakoby podzielał różowy pogląd np. G. Ball'a czy innych o rzekomym „elastycznieniu" podziału świata na obozy i o nowej erze po kryzysie kubańskim.

KONFERENCJA ROZBROJENIOWA — DALEJ W BŁĘDNYM KOLE

Raporty od delegata amerykańskiego na genewską konferencję rozbrojeniową 17 państw, Artura Dean'a nie mogą Prezydenta Stanów Zj. także usposabiać do różowego optymizmu. Czasokres, wyznaczony tej konferencji przez uchwałę ONZ do 31 grudnia br., na zawarcie układu o wyrzeczeniu się próbnych wybuchów atomowych już został przekroczony, ponieważ konferencja postanowiła się odroczyć do 15 stycznia, bez rezultatu i co więcej — bez widoków na rzeczywiste rezultaty. Sowiety w dalszym ciągu sprzeciwiają się inspekcjom lokalnym na swoim terytorium, a nowy pomysł kontroli wybuchów przy pomocy „czarnych puszek" w praktyce delegat ich Carapkin już unicestwił. Aby puszki te były skuteczne trzeba by ich zainstalować w Rosji setki, podczas gdy Moskwa godzi się na... dwa, trzy. Konkretny więc teren, zasadniczej dla pokojowych stosunków sowiecko-zachodnich sprawy rozbrojenia atomowego, nie świadczy bynajmniej również jakoby świat wchodził po kryzysie kubańskim w jakąś „nową lepszą erę".

ZAGROŻENIE I ROZGARDIASZ

Odrzucając więc optymizm w ocenie zagrożenia ze strony komunistycznej, z tym większą troską musi się obserwować rozgardiasz, jaki zapanował ostatnio wewnątrz obozu zachodniego. Między Stanami Zj. a W. Brytanią doszło do ostrego spięcia z powodu pocisku Skybolt, z którym Anglicy łączą swój charakter państwa w epoce nuklearnej istotnie niepodległego. Między W. Brytanią a państwami Wspólnego Rynku i szczególnie Francją sprzeczności interesów gospodarczych (rolniczych) oraz stojących za tym różnic politycznych, stawiają pod znakiem pytania wstąpienie W. Brytanii do Eur. Wspólnoty Gospodarczej. Wreszcie w łonie Przymierza Atlantyckiego między Stanami Zj. a jego członkami europejskimi, zwłaszcza Francją i Anglią rozpalił się znowu spór o uzbrojenie „klasyczne" czy „nuklearne". Zachodnia Europa trwa przy swoim sądzie, że powiększenie siły zbrojnej „klasycznej" czyli konwencjonalnej sprowadza je do drugorzędnej i zależnej od amerykańskiego „odstraszaka" roli, podczas gdy Waszyngton upiera się by zachować istotny monopol nuklearny w obozie zachodnim. To zaś rodzi podejrzenia, że w tym zakresie mamy przecież do czynienia z jakimś współdziałaniem amerykańsko-sowieckim.

Po dialogu de Gaulle-Macmillan, rozpoczął się na Bahamach dialog brytyjskiego premierta z prez. Kennedy'm. Pod koniec burzliwego w polityce światowej roku wypada przynajmniej wyrazić nadzieję, że szefowie rządów zachodnich potrafią usunąć przeszkody, podważające jedność świata wolnego i że nie dadzą się uwieść niebezpiecznym złudzeniom jakoby „nowa era" pozwalała na wewnętrzne kłótnie w obliczu rzekomo rozłożonego bloku komunistycznego.

Z.S.

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE POLSKIEGO ZWIĄZKU INWALIDÓW WOJENNYCH WE FRANCJI

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia oraz Szczęśliwego Nowego Roku 1963 — całemu społeczeństwu polskiemu we Francji i zagranicą, członkom honorowym i wspierającym Związku, Komitetowi Pań, Dowódcom, Oficerom i Podoficerom i Wartownikom Kompanii, instytucjom i organizacjom i ich członkom, polskiej prasie niepodległościowej, duchowieństwu polskiemu, wszystkim ofiarodawcom i sympatykom naszego Związku oraz członkom — przesyłamy tą drogą najlepsze życzenia.

PERYPETIE SOBORU

(Dokończenie)

kowski, administrator diecezji lubelskiej, który przedarł się uprzednio przez granicę austriacką i, znalazłszy się w Rzymie, został włączony w skład członków Soboru. Poza dwoma ostatnimi członkami reprezentanci polscy z Galicji, wchodzili w skład delegacji austro-węgierskiej.

Nie tu miejsce na omawianie ogółu spraw poruszanych na Soborze. Najważniejszą decyzją powziętą wówczas, decyzją, która dotarła do uszu wszystkich wiernych, było uchwalenie dogmatu o nieomylności papieża. Dyskusja nad nim zaczęła się wśród zainteresowanych jeszcze przed Soborem. W czasie obrad Soboru jego członkowie podzielili się na zwolenników i przeciwników nieomylności, ale w końcu, 18 lipca 1870 r., wszyscy obecni wypowiedzieli się (za wyjątkiem dwu) za nieomylnością.

Tymczasem na horyzoncie politycznym Europy pojawiła się burza. Prusy uderzyły na Francję i wkrótce, bo w pierwszych dniach września, nastąpiła katastrofa Francji pod Sedanem. Włochy wykorzystując wycofanie Korpusu francuskiego, zajęły 20 września Rzym, likwidując w ten sposób „kwestię rzymską". W takiej sytuacji członkowie Soboru poczęli opuszczać wieczne miasto, wskutek czego papież przerwał w październiku obrady, przerwał, ale nie zamknął, w praktyce jednak oznaczało to zakończenie Soboru.

Pius IX osiągnął swój cel. Kościół, w momencie utraty władzy świeckiej, wyszedł z Soboru wzmocniony, zjednoczony duchowo, przygotowany do pochodu w nowej, zmienionej epoce swoich dziejów.

Ten krótki rzut oka na wypadki sprzed stu lat może ułatwić nam zrozumienie ogromu przedsięwzięcia jakim jest obecny — Sobór Watykański II.

Stanisław Piekut

Zobowiązanie militarne Gomułki wobec Ulbrichta

W kołach reżimowych Warszawy mówi się od kilku tygodni, że następstwem ostatniej wizyty Gomułki w Niemczech Wschodnich (15-20 października 1962 r.) będą nie tylko nowe dostawy z Polski do Niemiec, ale wśród tych kół utrzymuje się pogląd, że wizyta „polsko-niemieckiej przyjaźni" zakończyła się na pewno jakimś zobowiązaniem militarnym.

Na potwierdzenie tych twierdzeń i domysłów podaje się w Warszawie następujące fakty: Jeszcze przed kryzysem kubańskim nastąpiła koncentracja jednostek wojskowych w województwie poznańskim, gdzie nawet letnie poligony takie jak Biedrusk, Szczypiorno i inne były i są nadal rojne od wojska. Mówi się, że grupa wojsk pancernych w województwie szczecińskim została zwiększona nowymi transportami, podobnie jak w Legnicy grupa sowieckich wojsk pancernych wydatnie została uzupełniona transportami samochodowymi z Sowietów.

W Warszawie, podobnie zresztą jak w zachodnich częściach kraju, mówiono do niedawna, że polskie wojsko ma być użyte w „spokojnym" obsadzaniu Berlina razem z wojskiem wschodnioniemieckim. Obecnie coraz częściej opowiada się, że w okresie rozwiązywania sprawy Berlina zachodniego — „Chruszczow i Sowiety nie ruszą palcem i spokojnie będą się przyglądać, jak Polacy (zgodnie z planem sowieckim) obsadzą Berlin, zapewniając Polsce w ten sposób bezpieczeństwo granic na Odrze i Nysie Łużyckiej". Cały ten plan opracowany został jeszcz przed kryzysem kubańskim. Czy jest on nadal aktualny oraz kiedy będzie realizowany — nikt obecnie nie potrafi powiedzieć. W Warszawie mówi się jednak stale o tym, że wobec Ulbrichta Gomułka zaciągnął jakieś zobowiązania militarne. (FEC)

DRUGA SZTUKA MROŻKA W NORWEGII

Telewizja norweska wystawiła sztukę Sławomira Mrożka „Karol". Podobnie jak poprzednia, „Policja", wystawiona na wiosnę br. jako słuchowisko w teatrze radiowym, i ta spotkała się z bardzo przychylną krytyką. Zalicza ona Mrożka do jednego z najbardziej oryginalnych i interesujących dramaturgów współczesnych. „Karol" dostał najlepszą obsadę o jaką mógł się postarać teatr telewizji. W głównej roli wystąpił znakomity aktor Teatru Narodowego w Oslo Olav Havrevold. Dobry przekład Kiellanda, inteligentna reżyseria Thomassena i realistyczne dekoracje Egemarsa dopomogły doborowej obsadzie do osiągnięcia dużego sukcesu artystycznego. (J. K.)

Ś. † P.

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

Historyk Najnowszych Dziejów Polski; Redaktor „Pism, Mów i Rozkazów" Józefa Piłsudskiego; Naczelnik Wydziału Historyczno-Naukowego M. S. Z. zmarł po długiej i ciężkiej chorobie, dnia 21 listopada 1962 r. w Genewie.

Stow. B. Pracowników M.S.Z. we Francji

Rada Jedności Narodowej

KONSTYTUUJE SIĘ I WYBIERA RADĘ TRZECH

15 bm. zebrała się po raz pierwszy Rada Jedności Narodowej. W skład jej wchodzi teraz — jak wiadomo — trzydziestu, pochodzących z dwustopniowych lecz powszechnych wyborów członków, którzy stawili się niemal w komplecie, chociaż przyszło w wielu wypadkach przyjeżdżać z daleka do Londynu. Formalnie odbyto tego popołudnia dwa posiedzenia, przy czym na pierwszym Rada się ukonstytuował, a głównymi punktami drugiego było przedłużenie mandatów Rady Trzech na nową trzyletnią kadencję i referat min. J. Starzewskiego o sytuacji światowej.

Gdy wszystkie miejsca odnowionej świeżo sali posiedzeń przy Emperors Gate w Londynie zostały zajęte przez członków Rady, Egzekutywy i grupę przedstawicieli prasy oraz publiczności, na salę weszli, przywitani przez powstanie członkowie **Rady Trzech,: gen. Anders, gen. T. Bór-Komorowski i amb. E Raczyński**, po czym gen. Anders w krótkim zagajeniu wezwał do objęcia tymczasowego przewodnictwa Rady gen. J. Wiatra, jako najstarszego wiekiem; ten z kolei powołał sekretarzy, jako najmłodszych, J. Kotarę (ze Swindon) i J. Mośloukę (z Birmingham), oświadczając, że jedynym zadaniem tymczasowego prezydium jest przeprowadzenie wyboru prezydium stałego i wzywając do stawiania kandydatur.

Na wniosek wszystkich klubów, zgłoszony przez B. Podoskiego wybrano jednogłośnie prezesem Rady Jedności Narodowej dr. T. Bielckiego, wiceprezesami, T. Drzewickiego, S. Lisa i B. Podoskiego oraz sekretarzami M. Cybulskiego i W. Wojteckiego. Prezes dr Bielecki dziękując za wybór oświadczył, że głównym motywem przyjęcia go ze swej strony jest chęć podkreślenia politycznego charakteru Rady. Stwierdził dalej, że tzw. opozycja nie wszedłszy jak dotąd do Rady znalazła się w nie „świetnej izolacji" i wątpliwe, by poza Radą mogła odegrać rolę opozycji twórczej. Na koniec dokonano wyboru Komisji Weryfikacyjnej w składzie M. Chmielewski, B. Hełczyński, K Harasimowicz, A. Jakóbowski, Z. Kołodziejski i S. Soboniewski, po czym przewodniczący zamknął pierwsze posiedzenie, zwołując następne za godzinę.

* * *

Drugie posiedzenie, rozpoczęte o g. 6.20 rozpoczęło się od sprawozdania Komisji Weryfikacyjnej, które złożył B. Hełczyński, po czym przystąpiono do wyboru Rady Trzech i wybrano jednomyślnie na okres do końca roku 1965 dotychczasowych jej członków: **gen. Władysława Andersa, gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego i amb. Edwarda Raczyńskiego.**

Następnie wybrano, też jednomyślnie, członków pięciu jedenastoosobowych Komisji Rady, mianowicie zagranicznej, wewnętrzno-politycznej, finansowej, regulaminowej i krajowej.

Z kolei kierownik działu zagranicznego EZN, min. Jan Starzewski wygłosił obszerny referat o położeniu światowym i na jego tle sprawy polskiej, którego Rada wysłuchała ze skupioną uwagą. Następstwa powstania Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, kryzys kubański oraz równoczesna ofensywa czerw. Chin na Indie, świadcząca o istotnym współdziałaniu Moskwy z Pekinem, mimo znane spory taktyczne oraz ideologiczne, dalej stan rokowań o rozbrojenia, wszystkie te czynniki dzisiejszej sytuacji światowej, świadczą — trafnym zdaniem mówcy — o prężności obu bloków, zachodniego i sowieckiego, oraz dowodzą, że coraz trudniej jest im odkładać rozstrzyganie zasadniczych między sobą konfliktów. W otwartej, po nagrodzonym hucznymi oklaskami referacie min. Starzewskiego, dyskusji zabrał głos prezes A. Ciołkosz, który w interesujący sposób uzupełnił wywody referenta, wyrażając zasadniczą zgodność z jego poglądami.

W następnym punkcie wolnych wniosków S. Soboniewski, imieniem Klubu Społecznego zgłosił jako wniosek nagły stwierdzenie przez Radę, że Ogólny Zjazd Polaków, który odbył się 6 i 7 października w Londynie dobrze spełnił swój obowiązek i po wtóre, że Rada podejmuje jego uchwałę, wzywającą wszystkie ugrupowania niepodległościowe do zjednoczenia wysiłków dla wspólnego celu służby Polsce. Po trzecie, że sama Rada będzie swoją politykę w tym duchu prowadziła. Nagłość oraz sam wniosek Rada uchwaliła jednomyślnie.

Prezes ENZ dr W. Czerwiński zabrał dalej głos celem stwierdzenia wobec rozpowszechnianych z pewnych stron pogłosek, że Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego czerpała środki finansowe jedynie ze Skarbu Narodowego.

Stwierdzając wyczerpanie porządku dziennego prezes dr T. Bielecki zamknął posiedzenie i złożył zebranym serdeczne życzenia świąteczne. (a)

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI W STOLICY WALII

Niedziela — 18 listopada 1962 r. Zbliża się godzina czwarta. Za kilka minut rozpocznie się uroczystość, poświęcona czterdziestej czwartej rocznicy odzyskania Niepodległości. Zebrało się tutaj wiele Rodaków, nawet z okolic oddalonych o sto mil. Jest dużo dzieci Na sali panuje gwar. Nieoczekiwane spotkania od lat. Wykrzykniki powitań. Na salę wchodzi w towarzystwie gospodarzy gen. T. Bór-Komorowski. Publiczność powstaje z miejsc, i zrywa się w powitaniu burza oklasków. Scena tonie w barwach narodowych. Na ich tle dominuje Orzeł Biały w koronie. Dokoła herbowe tarcze: niepokonanej nigdy Warszawy, bohaterskiego Poznania, dumnego Krakowa, zawsze wiernego Lwowa i „miłego" miasta Wilna.

Uroczystość zagaja p. K. Chmiel, prezes Koła SPK. Cardiff. Minutą milczenia zebrani czczą pamięć tych, co oddali życie w służbie Polsce. Następnie wita gen. T. Bór-Komorowskiego prof. Morgana, oraz wszystkich obecnych z Cardiff, Port-Talbot, Newport, Bargoed, Swansea, Lampeter, Carmarthen i Pembroke.

Publiczność zastygła w skupieniu. Piękna polszczyzna i aktualna treść przemówienia w której są słowa hołdu dla Narodu i zwycięskiego Wodza Józefa Piłsudskiego, otwiera serca słuchaczy i znajduje zrozumienie dla sprawy wychowania młodzieży, zjednoczenia wysiłków i Skarbu Narodowego. W łoskocie braw Joasia Paczkowska i Joasia Mioduszewska obie w strojach krakowskich, wręczają Generałowi piękną wiązankę kwiatów.

A oto z kolei młodzież — nasza przyszłość. Występ uczniów i uczennic Szkoły Sobotniej jezyka ojczystego, w miłym programie, przygotowanym przez p. Kierowniczkę Elżbietę Gorell.

„Jedzie, jedzie na kasztance" — inscenizacja w wykonaniu. Krysi Berger, Krysi Guellard, Andrzeja Gorell, Joasi i Janka Mioduszewskich, Andrzeja i Joasi Paczkowskich, Miecia Sudnika, Rysia i Piotrusia Szpyt.

„Tam na błoniu" — inscenizacja w wykonaniu: Joasi i Janka Mioduszewskich, śpiew, Krysi Berger — Dziewczyna jak malina i Andrzeja Gorell — Ułana.

„Jestem z tego dumna" — deklamuje Joasia Paczkowska.

„Trojak" — tańczą: Krysia i Danusia Gerger, Joasia Paczkowska, Anna Uraska, Edzio Osmolski i Andrzej Gorell. Do tańca przygrywał p. Jan Pietrzkiewicz na akordeonie. Oklaskom nie było końca.

W następnym punkcie programu wystąpiła p. Jadwiga Hryniewicz śpiewaczka specjalnie przybyła z Londynu, gorąco przyjęta przez publiczność. P. J. Hryniewiczowa przy akompaniamencie p. L. Górskiej pianistki z Carmathen śpiewała: „Ani kontusz na nim aksamitny", „Zakopana broń" — pieśń A.K. i „Kalina" Niewiadomskiego a jako naddatek „Koraliki".

Na zakończenie wystąpiła Gromada Zuchów „Górale" i Zastęp „Orłów" pod przewodnictwem Druha Floriana Szpyta.

Uroczystość zakończono odśpiewaniem Hymnów Narodowych.

W godzinach wieczornych odbyła się kolacja z udziałem p. gen. Bor-Komorowskiego, p. prof. Morgana z małżonką, w której wzięło udział 40 osób. w czasie kolacji zameldował się p. Generałowi Kazimierz Bryg, żołnierz A.K. przekazując mu pozdrowienia od żołnierzy AK. z Kraju

Stanisław Parol

Polskie odznaczenie dla Kanadyjczyka

Korespondencja własna, Toronto w grudniu.

Dzień 11 listopada r.b. był wyjątkowym dla dużego przemysłowego miasta Oshawa, położonego w pobliżu Toronto, w prowincji Ontario w Kanadzie. Miejscowa zaś — blisko czterotysięczna — Polonia przeżyła go na pewno ze szczególnym wzruszeniem, pozostającym na długo w pamięci. Większość Polaków pracuje tutaj w przemyśle, przed wszystkim w General Motors, zatrudniającym 14 tysięcy osób.

Już od 5 listopada w miejscowej prasie anglojęzycznej zaczęły się ukazywać artykuły i wzmianki o obecnej sytuacji Polski, o 11 listopada, jako jej Święcie Niepodległości, o wkładzie do 2-ej wojny światowej, o walkach 2 Korpusu i jego dowódcy generale Andersie oraz o wyróżnieniu, jakie spotkało ze strony Polaków księdza protestanckiego, majora Alfreda Woolcock'a kapelana 11 pułku pancernego (Ontario Regimen' R.C.A.), stacjonowanego w Oshawie.

Urodzony w Anglii, ks. major Woolcock pełnił w czasie ostatniej wojny obowiązki kapelana w brytyjskich jednostkach, wchodzących w skład 8 armii, do której należał też nasz 2 Korpus. Tutaj zetknął się z Polakami i, jak to często w takich wypadkach bywało, stał się ich przyjacielem.

Pod Monte Cassino formacja brytyjska do której ks kap. Woolcock był przydzielony stykała się z polską. W czasie bitwy śpieszył on z pomocą i pociechą rannym polskim żołnierzom.

Gemano było drugim polem bitwy, na którym ks. kap. Woolcock służył Polakom.

Czas nie zatarł przyjaźni. Przeciwnie, ks. kap. Woolcock nie tylko zachował ja nadal, lecz tutaj, w Kanadzie, stał się orędownikiem naszej sprawy i naszą polską prawdę głosi przy każdej okazji. — Za to wszystko został odznaczony Złotym Krzyżem zasługi z mieczami.

Generał W. Anders zwrócił się z prośbą o dokonanie aktu dekoracji do Prezesa Zarządu Gł. Stow. Polskich Kombatantów w Kanadzie, pułk. M. Sadowskiego.

Organizacją uroczystości w Oshawie zajął się Zarząd Stow. Weter. Armii Polskiej im. Gen. W. Sikorskiego, z ramienia którego działał p. J. Drygała. Połączono ją ze Świętem Niepodległości Polski i wyznaczono na 11 listopada r.b.

W przeddzień uroczystości — zamiast capstrzyku — odbył się bankiet. Wśród wielu uczestników byli najpoważniejsi przedstawiciele miejscowego społeczeństwa Po krótkim przemówieniu prezes pułk Sadowski wręczył odznaczonemu dyplom. — Ten Krzyż, mówił w odpowiedzi ks. kap. Woolcock, będzie mi stale przypominał bohaterstwo żołnierza polskiego, którego byłem świadkiem oraz walki Narodu Polskiego o wolność i niepodległość swego kraju, które musi odzyskać.

Przemawiało szereg osób. M. in. minister pracy Rządu Federalnego M. Starr, podkreślał zasługi Polaków w dziedzinie kultury i cywilizacji oraz swoją wiarę w odzyskanie przez Naród polski wolności i prawa stanowienia o sobie Poseł do Parlamentu Tommy Thomas życzył wolnym Polakom pomyślnego rozwoju sprawy uwolnienia Polski Burmistrz Oshawy wskazywał na wkład Polonii do rozwoju Kanady, oraz miasta Oshawy w szczególności.

W niedzielę, 11 listopada rano, miejscowy garnizon oraz wszystkie organizacje b wojskowych ustawiły się przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza. Na czele polskich Weteranów szedł pułkł Sadowski oraz towarzyszący mu inż. L. Skonieczny, prezes Koła SPK. w Toronto.

Odprawiono tutaj modły za poległych oraz złożono ponad 60 wieńców.

Po zakończeniu tej ceremonii, przemówił do zebranych, szczelnie wypełniających cały teren (miejscowa prasa oblicza na 2 tysiące osób), dowódca całości major W.C. Paynter D.C. Mówił o 11 listopada, jako o Święcie Niepodległej Polski oraz o znaczeniu Krzyża Zasługi z mieczami. Na zakończenie przedstawił pułk. Sadowskiego, który w imieniu generała W. Andersa dokona aktu odznaczenia ks. kap. Woolcock'a.

Pada komenda która podrywa na baczność wojsko i organizacje. Publiczność odsłania głowy. Pułk. Sadowski przypina Krzyż ks. majorowi Woolcock. Orkiestra 11 Pułku pancernego gra hymn „Jeszcze Polska nie zginęła".

Następuje przegrupowanie oddziałów do defilady. Major Paynter usuwa się, ustępując miejsca pułk. Sadowskiemu, który przyjmuje defiladę wojska i wszystkich organizacji, biorących udział w uroczystości.

Po defiladzie wojsko podejmowało prezesa Sadowskiego i inż. Skoniecznego w kasynie oficerskim.

Aparaty filmowe pracowały bez przerwy. Wkrótce cała Kanada mogła oglądać w telewizji przebieg uroczystości.

Zrobiono wiele zdjęć fotograficznych, którymi ilustrowano opisy, umieszczane w prasie anglojęzycznej przez parę następnych dni.

Fale radiowe rozniosły szeroko po Półn. Ameryce wieść o wydarzeniach dnia 11 listopada r. b. w Święto Niepodległości Polski, jakie miały miejsce w kanadyjskim mieście Oshawie.

T. Krychowski.

GWIAZDKA WIGILIJNA U INWALIDÓW WOJENNYCH W PARYŻU

Zawiadamiamy uprzejmie, że w niedzielę, dnia 13 stycznia 1963 roku o godz. 3 p.p. odbędzie się UROCZYSTOŚĆ WIGILIJNA w salonach YMCA. przy 13 Av. Raymond Poincare w Paryżu 16-tym (metro Trocadero) na którą serdecznie zapraszamy członków z rodzinami oraz przedstawicieli organizacji społecznych.

Przewidziany jest bogaty program artystyczny — wystąpią znani na terenie Francji i zagranicą artyści jak: Cecylia Jaworska, obsolwentka Konserwatorium w Poznaniu Hanna Leśniewska, profesor pianina oraz Waldemar Kossakowski, tenor z Opery Królewskiej w Londynie

Prosimy o punktualne przybycie. Dzieci członków Związku prosimy zgłosić na paczki nie później jak do dnia 8 stycznia 1963.

Zarząd P.Z.I.W.
we Francji i Komitet Pań P.Z.I.W.
15, rue St. Gilles, Paris 3.

Zamiast życzeń świątecznych Janina i Antoni Baranowscy z Paryża składają 30. — NF na Gimnazjum w Les Ageux.

CENTRALNY HONOROWY POLSKI CMENTARZ WOJENNY W HOLANDII

Przy współpracy Holenderskiego Komitetu Opieki nad grobami Wojennymi (Nederlands Corlogsgraven Comité) oraz w ścisłym porozumieniu ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów w Holandii, Fundacja Grobów Wojennych w Hadze (Oorlogsgraven Stichting — instytucja pracująca bezinteresownie z pobudek elementarnej przyzwoitości i wdzięczności), przystąpiła pod Bredą do budowy Centralnego Honorowego Polskiego Cmentarza Wojennego, na który przenoszone są doczesne szczątki żołnierzy 1 Dywizji Pancernej, które do tej pory rozrzucone były po całej niemal Holandii: od Groningen na północy do Axel na południu i na różnych cmentarzach gminnych, parafialnych i prywatnych, często nieznanych szerszemu ogółowi.

Zamiarem w/w instytucji jest skupienie na nowym centralnym cmentarzu wojennym pod Bredą wszystkich polskich grobów żołnierskich w Holandii z wyjątkiem:

a) grobów spadochroniarzy, którzy leżą razem z Anglikami na pięknym specjalnym cmentarzu w Oosterbeek koło Arnhem;

b) grobów lotników, którzy leżą na cmentarzach lotniczych znajdujących się pod opieką RAF'u;

a więc praktycznie biorąc tylko groby poległych w Holandii żołnierzy 1 Dywizji Pancernej.

Przystępując do realizacji tego projektu, dyrektor Fundacji Oorlogsgraven Stichting p. de Hartog odwiedził w towarzystwie wiceprezesa SPK burmistrzów gmin na terenie których znajdują się groby żołnierzy 1 Dywizji Pancernej by omówić sprawę ich ekshumacji i przeniesienia na nowy wspólny cmentarz honorowy pod Bredą. W wyniku tej podróży postanowiono, że ze względu na specjalne warunki dzięki którym Axel urosło do symbolu wdzięczności, groby polskie w Axel pozostaną. Przy tym osiągnięto dalsze porozumienie, że na cmentarz w Axel, który jest nadzwyczaj starannie utrzymywany przeniesione zostaną również nieliczne groby polskie z okolicznych gmin Zelandii, aby w rezultacie, gdy nie jest możliwe skupienie wszystkich grobów polskich na jednym cmentarzu — pozostało ich poza centralnym kilka a nie kilkadziesiąt W ten sposób długoletnie starania Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Holandii uwieńczone zostaną pełnym sukcesem.

B S

NAD BRZEGAMI SEKWANY

„Jałta atomowa?"

Od przeszło tygodnia w stolicy Francji panuje wyraźne zdenerwowanie. „Telefon bezpośredni między dwoma „K", i to „telefon koloru czerwonego" — stał się nagle tematem obszernych komentarzy i uszczypliwych uwag tych pism francuskich, które stale zajmowały zdecydowane stanowisko antysowieckie i w sojuszu atlantyckim widziały jedyną możliwość powstrzymania w Europie komunistycznego imperializmu.

Dzisiaj te pisma biją na alarm. Informują swych czytelników, że Amerykanie i Rosjanie „już rozpoczęli tajne rozmowy", które mogą doprowadzić do podziału świata na dwie części, na dwie wielkie strefy wpływów. Że może się to stać nie tylko bez udziału, ale nawet bez wiedzy europejskich sojuszników Stanów Zjednoczonych. „Jałta atomowa zarysowuje się coraz wyraźniej między Waszyngtonem i Moskwą w chwili, gdy pewien kryzys wstrząsa światem zachodnim" — twierdzi jeden z wybitnych publicystów francuskich. Jego zdaniem, niedawne rozmowy między prezydentem Kennedy'm i Mikojanem były „bardziej produktywne, niż chciano to ujawnić".

Toteż ze szczególną uwagą analizowane są we Francji te ustępy ostatniego przemówienia Chruszczowa, w których zaatakował on ostro europejskich mężów stanu, nie szczędząc słów uznania dla mądrości prezydenta amerykańskiego.

W istocie ataki Chruszczowa skierowane były pod adresem Niemiec Zachodnich i W. Brytanii. Zadziwiającą jest rzeczą, że pod adresem gen. de Gaulle'a nie padło z ust Chruszczowa żadne przykre słowo. Nie padło w ogóle żadne słowo. Czyżby Moskwa liczyła na to, że prezydent Republiki Francuskiej może pewnej chwili powtórzyć swój manewr sprzed osiemnastu lat i szukać bezpośrednich kontaktów z Sowietami? Czy to jest właśnie powód, dla którego Chruszczow najwyraźniej oszczędza de Gaulle'a?

Moskwa z pewnością pragnie wygrywać różne nieporozumienia między mocarstwami zachodnimi. Rozbicie sojuszu atlantyckiego jest na pewno jednym z jej głównych celów. Otóż w swym orędziu do parlamentu sprzed kilku dni prezydent Republiki Francuskiej wprawdzie położył silny nacisk na niebezpieczeństwo wschodnie i na konieczność utrzymania sojuszu atlantyckiego, ale równocześnie dodał, że tego wymaga dzisiejszy stan rzeczy. W przyszłości bowiem może być zupełnie inaczej.

Zdaniem gen. de Gaulle'a, świat wolny powinien przede wszystkim wygrać z komunizmem batalię gospodarczą. Gdy Sowiety się ostatecznie przekonają, że na odcinku gospodarczym, zwłaszcza w dziedzinie podniesienia stopy życiowej obywatela, konkurencji z Zachodem nie wytrzymają — będą musiały poddać gruntownej rewizji swą politykę zagraniczną. A ponieważ żółte niebezpieczeństwo będzie raczej wzrastało, przeto są wszelkie szanse na to, że Sowiety właśnie w Europie Zachodniej będą szukały oparcia, by móc przeciwstawić się naporowi komunistycznych Chin.

Wówczas właśnie — według gen. de Gaulle'a — nastąpi era Europy od Atlantyku do Uralu. Znaczenie sojuszu atlantyckiego wybitnie się zmniejszy, może się on okazać w ogóle niepotrzebny.

Tak więc gdy — jak twierdzi prasa francuska — prezydent Kennedy myśli o urządzaniu świata w bezpośrednich rozmowach z Chruszczowem, z pominięciem sprzymierzeńców europejskich — z równym powodzeniem prasa amerykańska mogłaby twierdzić, że gen. de Gaulle nie wyklucza możliwości urządzania Europy w bezpośrednim porozumieniu z Moskwą, z wykluczeniem Waszyngtonu. Chruszczow z pewnością ewentualność takiego manewru francuskiego także nie wyklucza. I czeka. Gra przy tym doskonale: chwali mądrość prezydenta Stanów Zjednoczonych i wcale nie atakuje prezydenta Francji. Niewątpliwie liczy na pogłębianie się ich rywalizacji — w celu wykorzystania jej dla dalszego sowieckiego „pokojowego" podboju.

Nieszczęściem byłaby „Jałta atomowa". Ale nieszczęściem byłaby także Europa „ojczyzn" od Atlantyku do Uralu.

Stanisław Paczyński

B.D.I.C

CZESŁAW JEŚMAN

NAOKOŁO ŚWIATA

MGŁA — ZARAZA Z TYM NUDYZMEM — „GRAND GUIGNOL"

Należy się cieszyć, że doskonały aktor Gustaw Holoubek ukaże się znów na ekranie w najbliższym czasie. Nie wiem, jak dosłownie po polsku brzmi tytuł „Those who are late" Stanisława Dygata (wiadomość podaję za „Continental Film Review" z grudnia). Partnerką jego jest śliczna Krystyna Jędrusik. Antoni Bohdziewicz, ten z Wilna, „honorowy proletariusz" ale doskonały reżyser, wyprodukował „New Year's Eve" z Krystyną Stypułkowską z „Niewinnych Czarodziei". Zapowiada się też kilkanaście programowych agitek. Nieszczęsny cień Ksawerego Pruszyńskiego będzie straszyć w „The Stranger goes back to War" — scenariusz oparty na noweli Pruszyńskiego o ideowym powracaczu z 1-ej Dywizji Pancernej. Jakże bolesny temat. I jak po chamsku zrobiony przez Bohdana Porębę. Jest parę momentów komicznych. „Pestka"-oficer ubrana jest w buty z cholewami, beret i pas koalicyjny. Akurat „baryszania" od Berlinga.

* * *

Paskudztwo za oknami nabrało zapachu, smaku i konsystencji lodowatej grochowki zaprawionej miałem węglowym i papryką. Astmatyków i facetów z zawałem, przeszłym, obecnym i przyszłym dusi i kładzie do łóżka. Prasa szalała z zachwytu: znów jest „zagrożenie" — emergency — znów popołudniówki podawały ilość ofiar „smogu" — czarnej mgły która przez kilka dni dusiła Londyn Kiedy ten felieton ujrzy światło dzienne nie pozostanie po niej nawet śladu. I przy tej okazji warto sobie przypomnieć iż nie tak dawno, właściwie aż do końca ostatniej wojny światowej, mgła w Londynie zimą była nie niecodziennym wypadkiem rozstrajającym metropolię ale częścią nieodłączną zimowego krajobrazu angielskiej stolicy.

Najpierw trochę o samej mgle: kiedyś zawodowy metereolog tłumaczył mi co i jak. Po wielu latach zapamiętałem jednak że jest ona wynikiem zejścia się w czasie i w przestrzeni dość niezwyczajnych warunków atmosferycznych, temperatury, prawie całkowitego bezruchu powietrza, maksymalnego nasilenia wilgoci i jakichś prądów, wstępujących, zstępujących czy takich bocznych — wiem że mówię jak analfabeta ale mam nadzieję, że w każdym razie plastycznie i zgodnie z danymi naukowymi — które sprawiają, że takie „płucka cielęce" „stoją" przez czas dłuższy. I dzięki temu wyziewy spalinowe i inne wielkiego miasta też „stoją", a raczej rzucają się do gardła i skaczą na kark. Ale dziś piecyki węglowe w mieszkaniach prywatnych są zanikającym przeżytkiem. Obszar Wielkiego Londynu jest rejonem „bezdymnym". Istnieją liczne i na ogół skuteczne instytucje walki z zadymieniem, jak np. Department of Scientific and Industrial Research Air Pollution w Stevenage. Jeszcze trochę — z 25 lat — a „smog" przejdzie do historii. Już tam zresztą znalazł poczesne sobie miejsce: Sherlok Holmes wyłapywał przestępców we mgle, Kuba Rozpruwacz działał we mgle, i z czarnej londyjskiej mgły wynurzali się i w niej ginęli bohaterowie i bohaterki Dickensa. To taki sobie mały przyczynek do nieustannych bajdurzeń o „dobrych, starych czasach"

* * *

Jednak nie wszystko co jest nowe jest śliczne. Przed wojną, tą drugą, w Londynie sklepy z książkami o tematyce kolidującej w sposób oczywisty acz „naukowy" lub „artystyczny" z 6-tym i 9-tym Przykazaniem znajdowały się nieodmiennie obok sklepów sprzedających przedmioty farmaceutyczne domowego użytku. W Polsce przed rokiem 39-tym reklamowano je w kinach za pomocą niezgrabnych wierszyków pisanych za duże pieniądze przez znanych poetów. Nie ma więc czego wydziwiać w tym miejscu, more antiquo, „na tych Anglików, psze pana". Ale teraz pruderia kiwnęła się w stronę przeciwną i to tak, że wynika stąd nowe ograniczanie codziennego życia wolnego obywatela, ile że w temperamencie wyspiarskich gospodarzy tkwi ciągle purytańska zasada psucia sobie każdej przyjemności. I tak na zasadzie dość swoistej logiki właściciele wielu kin skojarzyli pojęcia: „francuski film", „rozebrana do rosołu panienka", „niemoralność" i „dochód" w jeden nierozdzielny zestaw. Stąd cierpienia. Wiele doskonałych filmów francuskich, stosunkowo bardzo oględnie powycinanych można w Londynie zobaczyć tylko w połączeniu z t.zw. filmami nudystycznymi, z idiotyczną fabułą albo bez idiotycznej fabuły. Chce się czy nie chce, jeżeli nie trafiło się na początek filmu właściwego, nie ma rady i trzeba odsiedzieć 40 minut co najmniej oglądając połcie gołych panów i panie i młodzież źrzałą i nieźrzałą bez ubrania i na tle natury. Już Petroniusz Arbiter mawiał iż jedna naga kobieta robi znacznie większe wrażenie aniżeli dziesięć tysięcy. „Nudies" — gołówki — nie idą aż na takie monumentalne efekty, ale tych kilkadziesiat nieubranych osób czyszczących zęby na ekranie, naciągających żagiel, pływających pod wodą i niezdarnie biegających po kłującym igliwiu napełnia widza głębokim smutkiem. A po tym ludzie dziwią się, że raz po raz panowie w Londynie mordując innych panów w okolicznościach nie nadających się do fotografowania przez prasę i że homintern rośnie we wpływy woluntariuszy. Umówmy się: ludzi o naprawdę nienagannych kształtach jest mało; kształty naganne płci odmiennej są elementem bardzo jednostkowym i zindywidualizowanym.

Ekshibicjonizm jest mutacją tak rzadką, i czynny i bierny, że chyba najbardziej skomercjalizowanym galantom nie opłaca się popieranie tej odmiany tańca Sziwy jako widowiska. Więc po jaką cholerę uniemożliwia się spokojne oglądanie francuskich komedii i dramatów „Nouvelle Vague" za te jedne, bidne szylingów sześć i sześć pensów?

* * *

Dowiaduję się z radością, że rządy de Gaulle'a i na tym odcinku mogą mieć zbawieny wpływ na życie współczesnej Europy i Wysp Brytyjskich. Oto bowiem francuska marynarka wojenna instaluje doświadczalne wyrzutnie rakietowe na Ile du Levant. Wyspa leży o 10 kilometrów od St. Tropez na Morzu Śródziemnym i o 50 kilometrów od Tulonu. Jak dotąd był to ulubiony deptak nudystów całej Europy i tam właśnie kręcono przeważną część filmów — „gołówek" obrzydzających życie amatorom kina w Londynie. Teraz to się skończy.

* * *

Przy tej okazji trzeba też zanotować że „sam" — z powodu braku klientów — zlikwidował się w Paryżu teatrzyk „Grand Guignol". Kół mu w grób jak moja noga. Nie dlatego, że ograbiono mnie z portfelu koło wejścia do tego paskudztwa. Zdarzyło się to jeden jedyny raz w ciągu bardzo ożywionego życia na trzech i pół kontynentach Ale są to sprawy osobiste i całkiem bez winy ja też nie byłem. Nie ma więc o co zwalać odpowiedzialności na parszywy teatrzyk. Ale chodzi mi o jego repertuar. Przedstawienie składało się nieomiennie z dwóch komedii — z rodzaju t. zw. „bulwarowych" —, na ciągle tenże sam temat oklepany przenośni i dosłownie, i z dwóch dramatów A te były czystym, ohydnym sadyzmem. Teatr działał od r. 1885 w zbeszczeszczonej kaplicy. Teraz ten monumet wieku „świateł" i Emila Zoli diabli wzięli, zbankrutował. Jakże się cieszę.

STEFAN KORGUL

„JASEŁKA W KANAQINIE"

Przed 20 laty na piaskach pustyni irackiej, w m.p. Centrum Wyszkolenia Armii, powstał zbiorowym wysiłkiem żołnierzy i ochotniczek teatr kukiełek, który w okresie Bożego Narodzenia 1942 roku wystawił szopkę, pt. „Jasełka w Khanaqinie".

Była to udana impreza, ciesząca się dużym powodzeniem wśród braci żołnierskiej. Kilkoma przedstawieniami obsłużono Ośrodki C.W.A., a na prośbę ówczesnego Dowódcy 7 dywizji płka Okulickiego, dano serię przedstawień dla oddziałów tejże Dywizji.

Autorami tekstów byli żołnierze i ochotniczki C.W.A., oni też w przeważnej części byli wykonawcami poszczególnych ról.

Kukiełki zostały wykonane przez artystów C.W.A. w osobach: Ochotniczka Stahlowa, plutonowy Siedlanowski i strzelec Rubinsztajn.

Całość Jasełek składała się z następujących scen:

Scena I. Stajenka Betlejemska
„ II. Pałac Heroda (Hitlera)
„ III. Obóz Wojska Polskiego w Khanaqinie.

Kukiełki zaś przedstawiały następujące postacie: 1) Żołnierz z Rosji, (tzw Buzuluk), 2) Żołnierz Palestyńczyk, 3) Żołnierz „Ramzes", 4) Rodezyjczyk, czyli żołnierz o przekroczonym wieku, 5) Lotnik, 6) Marynarz, 7) Ochotniczka, 8) Ramzes mumia, 9) Hitler, 10) Śmierć, 11) Diabeł.

Teksty były udane i na ówczesne czasy bardzo aktualne. Oto niektóre wyjątki z kolęd ze sceny I-szej. (Kol. na melodię „Przybieżeli do Betlejem"):

W noc grudniową spod Tobruku idziemy
Gdzie kolędy nam grywały KAEMY,
A kule niby gwiazdki, migotały przez
[piaski
Na tej pustynnej ziemi.

Wybacz Jezu Twoim chłopcom z Tabruku
Że za nimi tyle szumu i stuku,
Bo to zapał w nas szczery i tobruckie
[kariery
Idą do polskiej Ziemi.

Kol. na mel. „Hej w Dzień Narodzenia"

Przez sybirskie śniegi z Komi i Ałtaju
Zwartymi szeregi, zdążalim od Kraju.
Po najgorszych szliśmy drogach
Choć obuta w łapcie noga. Hej kolęda,
[kolęda.

Nic nam wszy więzienia i podarte spodnie,
„Hej w Dzień Narodzenia" zaśpiewajmy
[zgodnie
I z opłatkiem jak przed laty
Do ojczystej śpieszmy chaty. Hej kolęda,
[kolęda.

Poszczególni żołnierze i chóry anielskie śpiewali kol. na mel. „Lulajże Jezuniu"

Nie trwóż się Jezuniu, że ognie świecą,
To nasze bombowce ku Polsce lecą.
Lulajże Jezuniu itd.
Nie trwóż się Jezuniu, że dudni droga,
Bo to nasze czołgi idą na wroga.
Lulajże Jezuniu itd.
Wsłuchaj się Jezuniu, jak szumią fale
To polskie okręty płyną z oddali.
Lulajże Jezuniu itd.

Scenę pierwszą kończy śpiew na mel. „Hej równaj krok".

I w tę cichą Betlejemską noc
Gdy nad światem Boża wstaje Moc,
Poprzez śniegów chłód i pustyń żar,
Serc żołnierskich niesiemy ci dar,

Hej równaj krok, równaj krok
Bo tam w dali Polska czeka nas.
Hej wytęż wzrok, wytęż wzrok,
Czy nie świta dla nas Jutrzni czas.

A tak oto Hitler biadoli w scenie II-giej

Nie wiem co za dziwne czasy teraz
[przyszły na mnie.
Ja się męczę, wygłaszam mowy,
[wszystko daremnie.
Tu mnie biją, tam mnie biją Angliki
[złośliwe
Churchill verfluchter man blitzkriegu
[wziął inicjatywę.
Jam wszak największy w Europie
[od blitzu specjalista,
A tu własną moją metodą bije mnie
[siła nieczysta.

Czuję: przyszła bieda taka,
Niepotrzebniem bił Polaka.
Polak oddał, świat się zbudził
Wszystkich na mnie rzucił ludzi.

Już zabrali mi Afrykę,
Chcą jeszcze Berlina!
O mein Gott, coś niedobrze
Smutna ma godzina.

(Na scenę wchodzi Śmierć i Diabeł)

ŚMIERĆ:

Jam jest śmierć koścista, blada i czysta.
Chodzę po ziemi chodzę i dobrym
[ludziom nie szkodzę.

DIABEŁ:

A! Kogo ja widzę. Moje uszanowanie.
Znaleźliśmy Hitlerka Koścista Pani.

Śmierć do trzęsącego się ze strachu Hitlera:

Nie będziesz Adolfku kochany
Zwykłej szubienicy ozdobą.
Przyszłam z Polski, krwawy ty okrutniku,
I jeszcze mam uszy pełne
Niewinnych dziatek krzyku.

Tyś je kazał mordować oprawcom
[Gestapo,
Tyś dusił naród polski germańską łapą.

HITLER:

Oj, to chyba nie ja, to moi koledzy
Oni to robili, oni to wiedzą...

DIABEŁ:

Można powiedzieć na scenę byś się
[nadawał.
Piekło i Śmierć razem, ty chcesz wziąć
[na kawał?

ŚMIERĆ (do Hitlera):

Już ty mi się nie wymigasz
Kosa moja ciebie ściga.
Giń okrutny, Bóg tak chce
Już cię kosa moja tnie.

(Podczas gdy Śmierć i Diabeł załatwiają się z Hitlerem zza sceny pada chóralny głos):

Za krew,
Za mordy,
Za łzy dzieci,
Za ruiny i zgliszcza,
Pożoga krwi zaświeci.

Zemsta, zemsta na wroga,
Po trupie Hitlera do Wolnej Polski droga.

KONIEC SCENY II-ej.

W scenie trzeciej przesunęły się na scenie następujące postacie:

RAMZES-MUMIA:

Jam jest Ramzes Wielki, Ramzesów
[potomek
Przede mną i za mną Faraonów
[ogonek...

ŻOŁNIERZ-RAMZES (do siebie):

Ciekawe, że też Ramzes.
Cały Egipt przejechałem, a takiego
[nigdzie nie widziałem.
(Przedstawia się): Jestem Ramzes.
[A kolega skąd?

RAMZES-MUMIA:

Z Krainy bajek jestem, gdzie się Nil
[rozlewa
Wyszedłem z piramidy, gdzie
[Skarabeusz ziewa.

ŻOŁNIERZ-RAMZES:

Z Piramidy? Wielka sztuka!
Ja wróciłem spod Tobruka!
Piramidy też widziałem.
Takie sobie wielkie skały.

To i tutaj w C.W.A-rze, różni nasi
[luminarze
By im się żołnierz zbytnio nie rozlenił,
Każą budować piramidy z kamieni.

ŻOŁNIERZ - PALESTYŃCZYK (śpiewa na mel. „Nie masz nad Leguna...")

Nie masz nad żołnierza, co był
[w Palestynie
Żem prawdziwy żołnierz, widać po mej
[minie.
Choć strzelali mocno Niemcy tam
[w Tobruku,
Ja się w Tel-Avivie śmiałem
[do rozpuku.

ŻOŁNIERZ Z ROSJI (mówi):

Kolega to szczęśliwy człowiek. Żył pan
[i używał także,
Kiedy my wojenno-lenni siedzieli
[w północnym łagrze.

LOTNIK (śpiewa na melodię „Wrócę, wrócę...")

Dziś każdy koniecznie chce latać
Nikt nie chce już zostać w piechocie,
Na listę wpisali się wszyscy
Dowódca jest w wielkim kłopocie.

Pozostał Kwatermistrz staruszek,
Co do Rodezji już jedzie
Kapelan i czterech sierżantów,
Jak tu poradzić w tej biedzie.

Ja nie chcę też pełzać po ziemi,
Chcę wzbić się wysoko w przestworza,
Przelecieć te góry dalekie
I lądy nieznane i morza.

Polecieć nad Berlin i Hamburg
I wzniecić pożarów kurzawę
I pomścić te bomby niemieckie
Rzucone na Lwów i Warszawę.

MARYNARZ (deklamował przy akomp. mel. „Pieśń Rycerska")

Jam morze ukochał, ten żywioł
[zdradziecki
Mój wróg, mój przeciwnik, to okręt
[niemiecki.
A Polska — to morze. Na świat droga
[wolna
W Ameryce pierwszym był Szyper
[Jan z Kolna.

RODEZYJCZYK (śpiewa na mel. „Pan Generał Romtadracki...")

O mój Boże, ledwie łażę, pogubiłem
[swe bagaże
Czy panowie nie widzieli tu pakunków
[duży stos?,
Pięć kuferków, łóżko, worek, stolik,
[beczka a w niej korek,
Chlebak, plecak, pościel cała...
Ach, okropny jest mój los.
Do Rodezji, do Afryki, tam gdzie lwów
[i jaguarów groźne ryki
Gdzie czatuje na człowieka dziki zwierz,
Ja dziękuję wam panowie

CHÓR ZA SCENĄ: — I my też.

OCHOTNICZKA (śpiewa na mel. „Haniś moja Haniś...")

Byłam ja dwa lata, jak branka tatarska
Gdzieś na końcu świata koło
[Krasnojarska.
Umiałam za kratą Polki Imię nosić
Przed dzikim Azjatą, nie klękałam
[prosić.

(Na mel. krakowiaka)

Chcemy Polsce służyć, pomoc dać
[żołnierzom
Chociaż wszyscy jeszcze w P.S.K.
[nie wierzą.

KONIEC

Istotnie Polki zdały chlubny egzamin nie tylko te w P.S.K. czy w A.K., ale i te liczne ciche bohaterki w okupowanym Kraju i płonącej Warszawie. Im to właśnie w hołdzie a byłym autorom i wykonawcom i ówczesnym widzom rozsianym dziś po całym świecie ku wspomnieniom wspólnych przeżyć w latach pełnych nadziei, — niestety nie spełnionych, tę ECHA poświęcam.

NAWET CZŁONKOWIE POLITBIURA KORZYSTAJĄ Z AUDYCJI POLSKICH RFE

Sprawa kubańska — jak twierdzą osoby przybyłe z Polski — wywołała w społeczeństwie polskim duże poruszenie. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, jakie są powody tak nagłego zaostrzenia stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Ponieważ ze źródeł oficjalnych nawet członkowie Politbiura — jak się mówi w Warszawie — nie mogli dowiedzieć się prawdy, wyławiali oni (nie po raz pierwszy zresztą) każdą wiadomość o rozwoju konfliktu z Radia Wolnej Europy, Głosu Ameryki, BBC i innych rozgłośni europejskich.

Z rozgłośni tych tak społeczeństwo polskie, jak i kierownictwo partyjne w Warszawie oraz na prowincji dowiedziały się o treści przemówienia Prezydenta Kennedy, które jak wiadomo wygłosił on w dn. 22 października b.r., informując naród amerykański o zarządzeniu blokady Kuby. Dzienniki reżimowe, ani żadna z radiostacji w Polsce nie podały choćby w niedużych wyjątkach kilku bodaj ustępów z mowy prezydenta Kennedy.

Wspomniane osoby twierdzą, że w okresie kryzysu kubańskiego nikt nie bał się w Polsce słuchać Radia Wolnej Europy. Zwłaszcza w pierwszym okresie, gdy nastrój był „gorączkowy", słuchano polskich audycji radia zachodniego nawet w Domach Kultury. Nie myślano wówczas o jakichkolwiek ostrożnościach. Reakcja Prezydenta USA, jego stanowczość i szybkość decyzji, spotkały się z powszechnym uznaniem nawet wśród elity partyjnej i reżimowej. Amerykanów w Polsce uważa się dziś za jedyny naród na świecie, który zdolny jest pokazać Sowietom, gdzie jest ich właściwe miejsce. Po ostatnich wypadkach kubańskich — twierdzą nasi rozmówcy z Polski — popularność prezydenta Kennedy jest olbrzymia i rośnie z dnia na dzień.

(FEC)

DZIELNE MIASTO

WIEŻE starego Płocka, wyglądające z zieleni tumskiej góry, przeglądały się spokojnie w wiślanej wodzie. Umilkł gwar tak licznej młodzieży płockiej, tym razem nie wskutek wakacji. W lecie 1920 roku trzy najstarsze klasy trzech gimnazjów męskich miasta uchwaliły wstępowaine na ochotnika do wojska, skoro ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie. Z każdym dniem stawało się ono bliższe, gdy wielka ofensywa bolszewicka ruszyła na zniszczenie „pańskiej" Polski.

Ochotnikom z 1920 roku nie brakło dobrego przykładu ze strony starszych kolegów. Wszak już w 1918 roku stanęło do obrony Lwowa troje rodzeństwa Grabskich: Jan, Tadeusz i Halina. Wszyscy polegli, co miasto uczciło potem uroczystym pogrzebem swoich „orląt", ale młodzież 1920 roku nie bała się śmierci. Bała się raczej, że może powrócić dopiero co miniona niewola, tym razem w formie jeszcze groźniejszej — panowania rozbestwionego komunizmu.

Wielu wychowanków szkół płockich walczyło już na różnych frontach. W pierwszym szeregu harcerze, z których pierwszy, ppor. Kazimierz Betley, „honorowy harcmistrz Rzeczypospolitej", krwią swą pieczętował granice polskie aż nad Dźwiną.

Groźna nawała bolszewicka pod wodzą Tuchaczewskiego, która runęła na Polskę w początku lipca, szła szybkimi postępami, szczególnie na północy, tak że już w sierpniu 1920 roku jej prawe skrzydło, w postaci III armii konnej Gaj-chana obchodziło lewe skrzydło polskiej V armii gen. Sikorskiego, grożąc jej okrążeniem i zniszczeniem. Od Modlina po Płock i Włocławek Wisły bronić miały słabe oddziały tzw. grupy dolnej Wisły gen. Osikowskiego.

W chwili, gdy na przedpolu Warszawy obrońcy stolicy w dniach 14 i 15 sierpnia odpierali w niezmiernie ciężkich bojach pod Radzyminem i Ossowem natarcia bolszewickie, Gaj kontynuował swój zagon ku Wiśle, nie spotykając niemal poważniejszego oporu. Na przedpole Płocka ruszył ochotniczy oddział młodzieży płockiej, zupełnie jeszcze niewyszkolonej i nie umiejącej się obchodzić z bronią i został niemal w całości rozsiekany szablami szarży bolszewickiej pod Trzepowem. Ranny harcerz, 15-letni Józef Kaczmarski, ocalał tylko dzięki temu, że jakiś sanitariusz rosyjski wykazał podziw dla młodego bohatera i opatrzył mu rany zamiast dobić go, jak radzili inni.

Kawaleria Gaja wpadła do Płocka w godzinach południowych 18 sierpnia. Ludność miasta została zaskoczona na ulicach, wojska prawie nie było. Tylko garść żołnierzy, przeważnie żandarmów, w liczbie nie większej, niż 200 skupiła się przy obronie przyczółka mostowego. Ludność rzuciła się spontanicznie do budowy barykad. Do walczących dołączyli co dzielniejsi cywilni, jak krawiec Dobieszak, poseł Świecki, harcerze, jak Klemens Jędrzejewski, 14-letni Antoni Gradowski, zarąbany przez kozaka, również 14-letni Stefan Zawidzki, który poległ na Starym Rynku i jeszcze młodszy harcerz, Tadeusz Jeziorowski.

Zatrzymani niespodziewanym oporem bolszewicy, witani chlebem i solą przez sektę mariawitów i wspomagani przez sympatyków komunizmu, którzy pojawili się z Szerokiej i Jerozolimskiej, nie tylko rabowali, co się tylko dało, ale mordowali także rannych w lazaretach polowych. Walki przeciągnęły się do nocy, a tymczasem pod osłoną ciemności pierwsze posiłki walczącemu miastu nadeszły zza Wisły. Walki uliczne, których ślady Płock z dumą pokazywał jeszcze przez lata, trwały niemal cały dzień następny. Zapewne rozkaz do wycofania wobec powodzenia kontrofensywy polskiej przyczynił się do odciążenia nacisku na Płock. Miasto, które samorzutnie stanęło do obrony, zostało uwolnione. W starej katedrze pasterz płocki, który pozostał w chwilach niebezpieczeństwa z wiernymi, bp. Antoni Julian Nowowiejski odprawił uroczyste nabożeństwo z „Te Deum" za zwycięstwo. Nikomu wówczas nie przychodziło do głowy bluźnić Bogu za to, że pobłogosławił polski oręż i wysłuchał modlitw matek.

Naczelnik Państwa, marsz. Józef Piłsudski, w uznaniu bohaterstwa mieszkańców nadał miastu Krzyż Walecznych i w kwietniu 1921 roku przybył osobiście, by udekorować miasto i jego obrońców. Obok oficerów i żołnierzy, biorących udział w walkach płockich, z których w Londynie przebywa mjr Czarnota Bojarski i płk Czuruk, stanęli do otrzymania odznaczeń cywile, jak poseł stronnictwa narodowego Tadeusz Świecki, krawiec Dobieszak, przełożona gimnazjum żeńskiego, Marcelina Rościszewska i dwaj malcy harcerze — Józef Kaczmarski z przerąbanym czołem i Tadeusz Jeziorowski. Ten ostatni prężył się, jak stary żołnierz, gdy go Naczelnik Państwa dekorował krzyżem walecznych; był tylko zdaje się zaskoczony, gdy zamiast akolady otrzymał ojcowski pocałunek w czoło.

Herb miasta, który przedstawia trzy wieże z otwartą bramą, zdobił odtąd zawieszony w niej krzyż walecznych, jedyne tego rodzaju odznaczenie zdobyte przez miasto, prócz wcześniejszego i zasłużonego Virtuti Militari dla Lwowa, Płocczanie byli z niego dumni. Aż przyszły rządy „ludowe" z łaski potężnego protektora sowieckiego (przepraszam — radzieckiego!). Herb miasta został przez nowych władców okradziony ze swej szczytnej ozdoby i jakoś żaden z miłośników przeszłości miasta, zrzeszonych w Płockim Towarzystwie Naukowym, nie miał odtąd odwagi dopomnieć się o zwrot krzyża otrzymanego za odparcie wroga. Starzy jednak płocczanie nie zapomną. Krzyż Walecznych, zdobyty przez Płock wróci jeszcze do jego herbu.

Józef Płoski

Na zdjęciu: **Marsz. Piłsudski dekoruje 11-letniego Tadeusza Jeziorowskiego. Zasłonięty stoi obok Józef Kaczmarski, w prawo poseł Tadeusz Świecki.**

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

SPOTKANIE

WIECZÓR był mroczny. Mgła rozciągała się nad Sekwaną. Poprzez gęste jej opary przebłyskiwały światłe dalekiego Paryża i jak grzbiety olbrzymich zwierząt prężyły się ciemne kadłuby mostów. Nie mając gdzie pójść Jan szedł przed siebie, oddalając się coraz bardziej od miasta, pogrążony w swych myślach i zapominając o bólu w nodze, który mu dokuczał w dnie jesienne od czasu postrzału pod Ostrołęką. Wąska ścieżka, nad którą wyrastały znienacka pokręcone pnie ogołoconych z liści wierzb, szła nad wodą, której czarna tafla nęciła i niepokoiła wzrok. Chwilami Jan czuł, że chciałby się zanurzyć w jej zimne nurty i zapomnieć o wszystkim, lecz myśl tę która go trapiła natrętnie odpychał od siebie jak niegodną siebie pokusę. Nie na to wojował całe życie, by w ten właśnie sposób je zakończyć. Nawet jeśli chwila jest trudna, perswadował wobec samego siebie, to przecież to tylko moment przemijający w jego egzystencji która jak ta rzeka uniesie gdzieś daleko zdarzenia dnia i jego udręki, a może nadejść czas, gdy wszystko się zmieni na lepsze.

Rzeczywiście życie go udręczyło ponad miarę, co do tego nie mogło być wątpliwości. W dniu tym był na pogrzebie przyjaciela, kapitana armii narodowej, na smutnym cmentarzu Monparnasse, gdzie zebrała się tylko garstka najwierniejszych, zgubionych w wielkim, pustym i obcym świecie jak i on. Stali długo z odkrytą głową nad świeżą mogiłą dawni bohaterowie spod Wawra i Grochowa w wyszarzałych ubraniach emigrantów, zadumani nad własną niedolą i nad losem zmarłego kolegi, który tak niespodziewanie ich opuścił. Był jednym z tych, co rokował najświetniejsze nadzieje, z którym łączyła ich wspólna walka, który wierzył jak oni aż do ostatniego błysku nadziei, lecz załamał się ostatecznie, gdy nadzieja zawiodła, gdy się poczuli opuszczeni przez własnych wodzów i zdradzeni przez obce mocarstwa. Myśląc o nim widzieli znowu Warszawę ogarniętą entuzjazmem, gdy wybuchło Powstanie, kiedy przemierzali ulice z bronią w ręku poprzysięgając śmierć tyranowi, który cichaczem opuścił Belweder. Obraz za obrazem ukazywał się w duszach obecnych na smutnym obrzędzie, poczynając od płomienistej róży ognia, która zakwitła nad browarem na Solcu, a kończąc na długich i obłudnych obradach sejmu, co zdetronizował wreszcie Mikołaja satrapę Rosji, lecz nie umiał się zdobyć na siłę działania; na walkach spóźnionych nie przynoszących wolności, i krzyku pomordowanych, gdy Paskiewicz wkraczał do stolicy.

Patrząc na ten nowy grób powstańca pochowanego na obcej ziemi wydawało się Janowi, że widzi grób wszystkich nadziei, które pogrzebali wraz z nim, jak Polska mając usta zakneblowane na wieki, w których zamilkła na zawsze porywista i strzelająca jak raca do nieba pieśń „ Warszawianki". Stali długo nad nową mogiłą, aż wreszcie ktoś, co był w Korpusie Rybickiego zaproponował, by zaśpiewać wspólnie pieśń powstańczą, co jak stado spłoszonych ptaków zerwała się nad parysk im cmentarzem, jak wyzwanie rzucone ciężkiemu losowi, jak protest głośny choć bezużyteczny. Ta pieśń jeszcze bardziej pogłębia jego przygnębienie, przywodząc na myśl wszystko co minęło przypominając ogrom straty. Niejeden z wiarusów ocierał łzę ukradkiem i każdy mimo woli myślał o losie co go czeka w przyszłości, że spocznie na obcej ziemi zdala od swoich jak zmarły kapitan. Jana ogarnęła żałość tak wielka jakby był na własnym pogrzebie, jakby już mu nic nie pozostawało w życiu.

Nagle poczuł, że ktoś dotknął lekko jego ramienia. Podniósł ze zdziwieniem głowę i ujrzał wpatrzone w siebie palące się czarne oczy pod wysokim, bladym czołem, w których była wiara i siła.

—Niech żywi nie tracą nadziei! — powiedział nagle nieznajomy, uścisnąwszy go mocno za rękę, a potem odszedł szybko żwirem wysypaną aleją cmentarza i tylko widać było jego postać smukłą oddalającą się tak śpiesznie, że raczej wydał się duchem niż człowiekiem.

— Kto to był? — zapytał jak obudzony ze snu stojącego nieopodal siebie. — Jakto, nie znacie go — odpowiedział szeptem zapytany — to był przecie poeta Juliusz Słowacki.

Słowa te przypomniały mu się teraz, gdy błądził brzegiem Sekwany i nagle zdecydowanym dawnym żołnierskim krokiem zaczął wracać w stronę miasta.

„TYGODNIK KATOLICKI" W AUSTRALII

Szanowny Panie Redaktorze,

W warszawskim tygodniku „Za i przeciw", nr 43/292 z dnia 21 października 1962 r., w artykule „Z Chopinem dookoła świata — na podbój piątego kontynentu" p. Halina Czerny-Stefańska dzieli się z czytelnikami wrażeniami z tournée po Australii. W artykule tym znalazł się następujący passus:

... przed opuszczeniem Australii doznaliśmy jeszcze wielu miłych rzeżyć osobistych, które na długo pozostaną w pamięci. A najmilsza niespodzianka leżała na biurku naszego konsula. „The Biuletin" oraz „Tygodnik Katolicki" — należące do najpoważniejszych dzienników australijskich — dokonały podsumowania tournée i zdecydowanie opowiedziały się po naszej stronie, wyrażając „podziw dla pełnego godności zachowania i jak najlepszych chęci, mimo atmosfery napaści na PRL, wytworzonej przez pewne ośrodki emigracyjne".

Ponieważ australijskiemu tournée pp. Stefańskich „Tygodnik Katolicki" poświęcił sporo miejsca — aby uniknąć wszelkich nieporozumień pragniemy sprostować:

1. Mimo stałego wzrostu popularności „Tygodnika Katolickiego" wśród polskich czytelników w Australii, z żalem muszę stwierdzić, że „Tygodnik Katolicki" nie może być zaliczany do „najpoważniejszych dzienników australijskich".

2. Przytoczony cytat nie został i nie mógłby być zaczerpnięty z „Tygodnika Katolickiego". Charakter drugiej części cytatu stoi w widocznej sprzeczności z linią ideologiczno-polityczną „Tygodnika Katolickiego".

Do uprzejmej prośby o zamieszczenie powyższego sprostowania łączę wyrazy szacunku.

Roman Gronowski
Redaktor T.K.

MUZEUM WOJSKA W WARSZAWIE

Polacy przebywający na emigracji po przyjeździe do kraju, do swych rodzin czy przyjaciół, po znalezieniu się w Warszawie bardzo często kierują swoje kroki do Muzeum Wojska. Kieruje nimi uzasadniona ciekawość, jakie też pamiątki znajdują się w Muzeum, związane z Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie.

Dla nikogo przecież nie jest tajemnicą, że już przed kilku laty Instytut Historyczny im. Generała Wł. Sikorskiego odesłał do Muzeum Wojska kilkadziesiąt skrzyń z pamiątkami wojskowymi, związanymi z oddziałami P.S.Z. Byli żołnierze P.S.Z. przyprowadzali do Muzeum rodziny, przyjaciół i znajomych, aby im pokazać mundury i odznaki oddziałów, w których służyli.

Jakże przykry zawód ich spotkał...

Gorączkowo przebiegali jedną salę po drugiej, w których aż czerwieniło się od olbrzymich płacht, jakoby sztandarów Armii Ludowej. W każdej sali pełno było pamiątek różnych oddziałów rosyjskich, a po oddziałach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie ciągle nie było najmniejszego nawet śladu. Nareszcie w jednej z sal, w miejscu nie bardzo rzucającym się w oczy, znaleźli mundur żołnierza 1 Dywizji Pancernej. I to wszystko!

A co się stało z zawartością kilkudziesięciu odesłanych skrzyń? Pytani o to woźni Muzeum nie umieli, czy nie chcieli dać jakichkolwiek wyjaśnień.

Niewątpliwie wysłane skrzynie z licznymi pamiątkami dotarły pod właściwym adresem, ale ich zawartość spoczywa na strychu, czy w piwnicach Muzeum.

Tego tak bardzo przykrego faktu nie można zbagatelizować. Sądzić należy, że Instytut Historyczny im. Generała Wł. Sikorskiego w Londynie przed wysłaniem skrzyń z pamiątkami otrzymał zapewnienie, że zawartość tych skrzyń znajdzie odpowiednie pomieszczenie w Muzeum i zostanie udostępniona zwiedzającym.

Bardzo wiele cennych pamiątek znajduje się w rękach prywatnych, b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i niejeden z nich odesłał by te pamiątki do Muzeum, ale gdyby był pewnym, że nie spotka ich los pamiątek odesłanych przez Instytut Historyczny. Jak się jednak okazuje, pewności nie ma żadnej. Jeżeli więc przesłane przez b. żołnierzy pamiątki mają leżeć gdzieś w muzealnych piwnicach czy na strychu, to już lepiej niech spoczywają w emigracyjnych walizkach gdzie łatwiej im będzie doczekać lepszych czasów. (B)

WSZELKIE PRACE DRUKARSKIE
wykonuje
GRYF PRINTERS
171, Battersea Church Rd., S. W. 11.
Tel. BAT. 0879

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI
PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO
HASKOBA LTD
121, EARLS COURT ROAD, LONDON S.W.5. FRE 7888.
PACZKI WOLNE OD CŁA

Lwów — 1782 — Wiedeń
J. A. BACZEWSKI
Najwyższej jakości
Gatunkowe
Wódki i Likiery
Przedstawiciel:
J. A. Bruce & Co.
9, Lenthall Place,
(koło stacji Gloucester Rd.)
London, S.W.7. Tel.: FRE 5808

TEODOZYA LISIEWICZ

PAWICA

OPOWIADANIE

OILE każdy podziwiał talent Deryka, wspaniałą mimikę i wdzięk, jakim wszystkich czarował tak ze sceny jak w życiu, o tyle o jego żonie każdy mówił z entuzjazmem: „ta dobra, kochana Kay!“

Uchodziła za brzydką. Drobna, jasna, rumiana, usta miała za szerokie, przy tym, gdy mówiła, bez przyczyny zginały się w podkówkę, a niebieskie poczciwe oczy, nie wiadomo dlaczego, nabiegały łzami. Wyglądała wtenczas jak skrzywdzone dziecko. „Cała Kay jest w tych oczach i ustach“, mawiał stary Dick, „I na pewno może być ładna, ale tylko kiedy płacze. Tego jednak nikt z nas nie ujrzy. Mimo że powodów do płaczu jej nie brak“, dodawał jeszcze. Dlaczego? W świecie teatralnym, małżeństwo Deryka uważane było za jedno z najlepszych. Może nawet najlepsze.

Troje dzieci, chłopiec i dwie dziewczynki, o rok tylko starsze jedno od drugiego, sławny mąż i dom, w którym często ktoś przygodny jadał, spał albo konferował. Kay cały dzień biegała zatroskana, zawsze każdemu rada pomóc, zawsze gdy trzeba, współczuć. Bywało, że nie mogła nawet wpaść do teatru. Znała każdy ruch Deryka, uśmiech, intonację głosu a mimo to, widząc go na scenie, patrzyła jak na kogoś, kogo się uwielbia, choć nie zna i marzy się o poznaniu. A jaki był na scenie, taki był i w domu dla niej i dla dzieci. Dzieci! Cóż to była za radość, jeżeli wieczorem nie wychodził. Tyle śmiechu, biegania w piżamkach i boso, że z trudem całą trójkę o dziewiątej zaganiała do łóżka. Wtenczas nie gniewała się nawet za wodę rozlaną w łazience, ani za to, że światło we wszystkich pokojach było zapalone. Zapobiegliwa Kay nie lubiła marnotrawstwa. Deryk miał wprawdzie świetne kontrakty, ale kiedyś może nadejść chwila, kiedy kontrakty zaczną podpisywać młodsi. Z tym się liczyła i dlatego dom na Chelsea, dotychczas dzierżawiony, teraz należał już do nich. Zaczynała też myśleć o drugim. Dochodowym. Nie znała się na interesach, była tylko gospodarna, co często więcej znaczy, aniżeli kupiecka kalkulacja. Swoje wydatki osobiste ograniczała, pamiętając, że Deryk dużo wydaje i wydawać musi, a dzieciom niczego nie może brakować. Chociaż mogła sobie pozwolić na niejedno, kurtka, gruba spódnica tweedowa i sweter własnej roboty, wystarczały jej zupełnie.

Po południu, wydawszy Molly polecenia na wypadek, gdyby później wróciła, wsiadła z najmłodszym, Ralfem, do autobusu. Mogła wziąć wóz, bo Deryk wyjeżdżając na występy do Dublina, wóz zostawił, ale wolała autobusem. Prędzej, a musi uważać, żeby się nie spóźnić. Ralf coraz częściej zapadał na gardło i profesor Mackenzie mówił o wycięciu migdałków. Radził jednak, żeby małego zbadano jeszcze w klinice. Poszła więc w oznaczonym dniu, na oznaczoną godzinę.

W powietrzu czuło się już pierwszy oddech wiosny. Jeszcze chłodno, drzewa jeszcze bez pączków, a jakiś miększy powiew szedł od Hyde Parku gdzie wysiadła, aby przecinając Mayfair, pieszo dojść do kliniki, pomiędzy Soho a West Endem.

Ralfowi usta się nie zamykały i co chwila musiała go upominać, żeby nie mówił na wietrze. Mimo to szczebiotał o kolejce, jaką dostał od Dicka i o koniu. Bo koń nie mieścił się w wagonie towarowym. Wagon mały, koń duży. Prosiłby mamę o mniejszego.

Myśląc o klinice, badaniu i ewentualnej operacji, zastanawiała się równocześnie, gdzie konia kupi. Najlepiej chyba zanieść wagonik do sklepu i tam dobrać.

— Jutro pójdziemy i poszukamy — powiedziała. Koń musi być z drzewa, bo tylko takie zabawki bywają praktyczne, ale musi być przy tym ładny. Biały, czy niebieski? Złoty — usłyszała.

Kay rodziców zaledwie pamiętała. Po matce zostało jej niejasne wspomnienie śmiechu, błyszczących kolczyków i perfum. Lepiej pamiętała ojca. Może dlatego, że ciemne wąsy śmiesznie kłuły ją w policzki. Piszcząc, chowała twarz w klapy jego marynarki. Pachniały tytoniem i wodą lawendową.

Miała pięć lat, kiedy rodzice rozeszli się. Przez jakiś czas ze Stanów przychodziły od matki piękne pudła pełne kolorowych bibułek. Gdy się je odwijało, wewnątrz zawsze znajdowało się jakieś cacko. Ciotka, siostra ojca, u której teraz mieszkała, cacko niezmiennie jej odbierała i chowając do szafy, mówiła: dostaniesz, gdy będziesz większa. Potem rok minął i dwa. Nigdy pudła już nie dostała. Co się z matką stało? Ciotka nigdy o tym nie mówiła. Jak i ojciec. Może dlatego, że rzadko Kay odwiedzał, a może dlatego, że Kay przypominała sobie o matce dopiero po jego odejściu. Potem była wojna i wyjazd z ciotką do Północnej Walii. Kiedy wróciły do Londynu, mieszkały już gdzie indziej. Dawny dom spłonął, a w nim cacka od matki. Ojciec zginął. Z jego śmiercią nic już nie zostało z dzieciństwa.

Ciotka wychowywała ją troskliwie lecz surowo. Wszystko w jej domu, w którym nie było mężczyzny, nacechowane było celowością. Kay nigdy nie miała niczego, co byłoby wyłącznie dla radości oczu, rozkoszy dotknięcia, uciechy bez pożytku. I chociaż dzięki temu wyrobił się w niej zmysł praktyczny, tęsknotę za posiadaniem czegoś, co nie miało określonego zastosowania, a co ciotka nazywała luksusem, mogła zrealizować dopiero, realizując marzenia swoich dzieci. Tak, jutro weźmie wagonik i poszuka. Oby tylko badania wypadły pomyślnie, oby nie były bolesne.

Mając lat 21, zaczęła jako sekretarka pracować w agencji teatralnej Dicka. Mimo pewnego dochodu po ojcu, ciotka uważała że w czasach, kiedy duże fortuny rozpływają się jak lody na ciepłym talerzyku, cóż dopiero małe, Kay powinna wcześnie przywyknąć do pracy. Tam poznała Deryka, młodego ale dobrze zapowiadającego się aktora. Wyszła za niego bez przeszkód. Ciotka już nie żyła. A gdyby nawet były przeszkody, Kay pokonałaby je z pewnością. Deryk stał się dla niej wszystkim. Szli teraz razem naprzód, wspólnym wysiłkiem, jej skoncentrowanym na domu i miłości, dwu elementach właściwie dotychczas jej nieznanych, a jego? Deryk bez wielkiego wysiłku doszedł do tego, czym był dzisiaj. Aktorzy z tego tego rodzaju nie zjawiają się często.

— Tatuś! — zawołał Ralf, wskazując na afisz. Przystanęli. Afisz był stary, w kilku miejscach naddarty, lecz uśmiech Deryka został. To lekkie, jakby cyniczne skrzywienie ust, nieco na prawy policzek. I Kay, chociaż znała wszystkie fazy skrzywienia, patrzyła na afisz z rozrzewnieniem. Miło jest iść ulicą i nagle ujrzeć swojego męża. Gdyby Dick mógł ją teraz widzieć, zawołałby z tryumfem: „Nie miałem racji? Ze łzami w oczach jest nawet piękna“.

Tylko doszli do rogu, Ralf wołając: tatuś! zatrzymał się przed wystawą fotografa i rączki i nos oparł o szybę. Tak, to było jedno z ostatnich zdjęć do programu. Przysłano Derykowi kilka i Kay wybrała to właśnie. W fotelu, pochylony nad książką. Tak wyglądał w owe rzadkie wieczory w domu, kiedy po śmiechu i zabawie czytał dzieciom bajki. O misiu, co zawsze sprawiał sobie ciasne buty i dlatego idąc, kołysał się niezgrabnie; o kaczce, która odłączyła się od rodzeństwa, albo tę najbardziej lubianą, o krasnoludkach znad jeziora Windermere. Dzieci słuchały, leżąc w łóżeczkach. Boczna lampa oświetlała wąską twarz Deryka. Pudel, zwinięty w kłębek, spał pod fotelem, a ona, na niskim krzesełku, haftowała. Dawniej były to śliniaczki i serwetki. Teraz już sukienki i fartuszki.

Tym samym głosem, którym na scenie uwodził swoje heroiny, czytał bajki. Dzieci usypiały, mimo to Deryk czytał. Już tylko dla niej i dla siebie. Jakżeż lubiła te wieczory! Z mężem, od którego przez dziewięć lat nie doznała żadnej przykrości, z dziećmi, które tworzyły jej całe życie, w domu, ponad który nie widziała szczęścia.

Małżeństwa, zwłaszcza w świecie teatralnym, rozchodziły się jak znajomi, którzy spotkawszy się na ulicy, po zamienieniu kilku banalnych frazesów, rozchodzą się w dwie przeciwne strony. A ich małżeństwo trwało. Mary Nord, na przykład, po raz piąty wyszła za mąż. Kay zawsze miała swojego Deryka. Dan Roberts wziął już trzecią żonę. Derykowi zawsze wystarczyła ta jedna. Był dobrym mężem, wiernym, chociaż rozumiała że nie brak mu okazji do niewierności. Kobiety psuły go, lecz nie zepsuły. Jedyna, która zepsuć go mogła, była Kay. Ale czy nie była żoną? Zresztą, po co szukać w teatrze? Jej rodzice z teatrem nie mieli nic wspólnego, a rozeszli się. Kay nigdy nie wiedziała dlaczego. Jednego tylko była pewna: nie powinni się byli rozchodzić, bo Kay była na świecie i miała pięć lat, kiedy pozbawili ją domu. Dlatego dla męża, prócz miłości, czuła wdzięczność za to, że nie jej, że dzieciom stworzył dom i ten trwa, że dzieci otrzymują zabawki nie przysyłane pocztą w ozdobnych pudłach, lecz daje się im wprost w wyciągnięte rączki; że po rozwinięciu bibułek mają z kim dzielić się radością. Kay pamiętała, jak to pomiędzy nią a przysłanym cackiem, po pierwszej radości, zawsze zjawiała się zimna, obojętna przestrzeń Jakiż Deryk jest dobry!

Nagle uprzytomniła sobie, że wciąż stoi przed wystawą i Ralf wciąż opiera nos o szybę. Deryk śmiałby się, gdyby wiedział, że przez niego spóźnili się do kliniki. Idąc, tłumaczyła więc małemu, jak zwykle prosto, serdecznie, żeby już się nie zatrzymywał. Do kliniki spóźniać się nie można.

W klinice musieli czekać. Ralf oglądał obrazki. Przyniosły je nursy, specjalnie dla niego. Każda chciała widzieć żonę i syna Deryka. Kay niepokoiła się coraz bardziej. Czy mały zniesie badania? Boi się, gdy mu oglądają gardło. Przełyk i język ma wrażliwy. Kay poprosi doktora, żeby uważał. Gdyby płakał, zacznie mu opowiadać o koniu, którego dostanie dziś jeszcze, jeżeli wyjdą stąd przed zamknięciem sklepów. Prawda, nie dziś, tylko jutro, bo trzeba wziąć wagonik.

W małej poczekalni było ciepło i wilgotno. Para uchodząca z metalowego pudła umieszczonego na palniku cicho syczała. Wszystko było białe, miało zapach krochmalu i dezynfekcji. Syczenie i ostre światło neonowe usypiało. Czuła, jak opadają jej powieki. Otworzyła gazetę przyniesioną przez nursę tak piękną w białym czepku i kryzce pod szyją, aż nierealną. „Mowa premiera“... „Zapowiedź strajku“... „Wspólny rynek“... „Dziecko wpadło pod autobus“... Bezwiednie rzuciła okiem na Ralfa, jakby upewniając się, czy nic mu nie grozi. Dobrze że Molly zawsze odprowadza dziewczynki do szkoły i chodzi po nie po południu. Nagle, na trzeciej stronie ujrzała Mary Nord. Roześmiana, w wieczorowej narzutce, obok Max, ten piąty mąż, w smokingu. Poniżej słowa: „...nigdzie tak się nie odpoczywa, jak przy ruletce“ i wyjaśnienie, że Mary Nord, korzystając z przerwy w „Atheneum“, wyjechała na tydzień do Monte Carlo.

Kay zamrugała powiekami, jakby upewniając się czy nie śpi. Przecież Mary występuje w tej chwili z Derykiem w Dublinie! Spojrzała na datę. Dzisiejsza. Więc jak to możliwe...? Cztery dni temu wyjechali. W głowie zrobił się zamęt jak zwykle, kiedy na Kay spadało coś, czego nie mogła zrozumieć. Myśli rozsypywały się wtenczas jak pudełko zapałek i zebrać ich, tak w jednej chwili, nie umiała.

— Co to jest, mamusiu? — zapytał Ralf, podsuwając jej obrazek.

— Kobra — wyjaśniła niemal automatycznie, bo trzymała się zasady, żeby pytań dzieci nie zostawiać bez odpowiedzi. — To taki wąż. Żyje w Indiach — dodała jeszcze.

Ktoś widać zastąpił Mary, ale kto? Przebiegła myślą. Jean? Chyba. Deryk jednak nic o tym nie wspominał. Serce zabiło jej niespokojnie, ale wrodzona chęć łagodzenia każdej przykrości, natychmiast podsunęła: nie wspomniał, bo nic ważnego i sądził, że Kay wie o tym. Musiało być w prasie. Tak, ale nie zawsze miała czas wziąć gazetę do ręki.

— A co to, mamusiu? — Ralf znów zapytał.

— Ichtiosaurus — odparła, wciąż myśląc o Deryku i Mary Nord. — Zwierzę, którego już nie ma. W domu ci wytłumaczę.

Zamęt w głowie ustał. Doprawdy wstyd, żeby Deryka podejrzewać o kłamstwo. Jeżeli przez dziewięć lat jej nie okłamywał, dlaczego miałby teraz? Jasne, że Mary Nord dostała urlop. Ostatnio sporo kłopotu mieli w zespole z tym jej rozwodem i ponownym małżeństwem. Więc ktoś ją zastąpił. I czy nie lepiej?

Kay nie była zazdrosna, zresztą Deryk nie dawał jej powodu do zazdrości, lecz Mary Nord, odkąd została jego partnerką, wzbudziła w niej pewien niepokój. Kay nie wiedziała nawet o tym. Spostrzegła dopiero, kiedy przeglądając reportaże z Ascot, na zdjęciu ujrzała Deryka w loży lady Gordon. Obok niego Mary w tak fantastycznym kapeluszu, że pomyślała: jak coś takiego można włożyć na głowę? Mary dziwnie poważnie, jak na siebie, patrzyła na Deryka, a Deryk bez uśmiechu, skupiony, zdawał się jej coś tłumaczyć. „Ależ to nie Mary, głuptasku“, powiedział, gdy zaczęła o kapeluszu. „To lady Gordon. Są dość podobne do siebie i nie wiem, która bardziej się tym szczyci. Kapelusz? Różowy, z brązowymi kwiatami“. W nagłej radości pocałowała go w czubek nosa. Przytulił ją do siebie. „Chciałabyś taki? Wyglądałabyć w nim jak pieczarka!“

Nie, nie chciała kapelusza, nawet o tym nie myślała. Dziękowała Derykowi za to, że nie było prawdą, o czym nie wiedziała dotychczas, że już od dłuższego czasu nie daje jej spokoju. Jak mogła się pomylić! Dopiero teraz dostrzegała różnicę. Mary była tęższa i twarz miała nie tak wycieniowaną jak tamta, przy tym krótszą szyję. Lady Gordon mogła sobie pozwolić na kapelusz, w którym Mary wyglądałaby jak krzak bukszpanu. „Nie, moim zdaniem nie są podobne do siebie“, rzekła po chwili. „Są“. Deryk odparł niedbale. — „Tylko że lady Gordon jest o wiele ładniejsza“. Te słowa przekreśliły w niej jakiekolwiek obawy.

Tak. Wszystko bez sensu. Mary wyjechała na Riwierę, Deryk występuje w Dublinie. Z kim? Obojętne. Jak wróci, powie. Sześć występów. Dziś czwarty, więc dwa jeszcze i jak mówił, w poniedziałek wieczorem będzie w domu.

— Proszę panią — rzekła nurse, otwierając drzwi do gabinetu lekarza.

Ralf nie chciał rozstać się z obrazkami. Mama nie powiedziała mu jeszcze, co ten znaczy. Kay ogarnęła panika. Nie można do lekarza wchodzić z książką, w dodatku cudzą. To własność miłych nurses, nie Ralfa.

— Można, można — odezwał się znajomy głos. — Razem będziemy oglądali.

Ucieszyła się, widząc doktora Fletchera.

— O jaki obrazek ci chodzi? — zapytał ,dając równocześnie znak, by nurse zdjęła Ralfowi pullover. Kay już pośpieszyła jej z pomocą, rzucając przy tym okiem na obrazek. Obok wspaniałego pawia z rozpostartym wachlarzem, stała mała, niepozorna samiczka.

— To paw, widziałeś przecież — tłumaczyła, rozpinając małemu koszulkę — A to, jego żona.

— Dlaczego taka mała, a on taki ładny? — Ralf zapytał.

— Bo pawie tylko z takimi się żenią. Wiedzą, że to najlepsze żony — doktór Fletcher roześmiał się, obrzucając Kay serdecznym spojrzeniem.

Z kliniki wyszła uspokojona. Operacja wskazana, ale dopiero za dwa, trzy miesiące. To dobrze. Deryk będzie już po premierze. Prócz tego, Ralf zachował się spokojnie. Doktór Fletcher delikatnie przytrzymał mu język, więc nie bolało. Teraz mały milczał, zmęczony widać. Poszukała wzrokiem taksówki. Przejeżdżały, lecz zajęte. Zaczęła żałować, że nie wzięła wozu. Teraz pieszo muszą dojść do Park Lane. Zwolniła kroku. Może szła za szybko? Nie, Ralf nie był zmęczony. Chciał tylko do sklepu, po konia.

— Jutro pójdziemy, bo dziś nie mamy z sobą wagonika, — odparła wesoło. Chore dziecko nie chce chodzić do sklepu, zdrowe zaś nie płacze. A Ralf przez cały czas badania ani razu nie zapłakał. Wtem spostrzegła taksówkę. Zajętą co prawda, ale ta zbliżając się zaczęła zwalniać i zatrzymała o kilka kroków przed nimi. Widząc, że ktoś wysiada, Kay dała znak szoferowi. W tej samej chwili, jakby w nagłej pieszczocie, odruchowo, przygarnęła do siebie Ralfa, ręką zasłaniając mu twarzyczkę. Z taksówki wysiadł Deryk i kobieta. Ulica była słabo oświetlona. Kay stała w cieniu. Bała się ruszyć. Gdyby Deryk ją spostrzegł, wtenczas — co wtenczas by się stało? Więcej już nic stać się nie mogło. Deryk zapłacił i ująwszy kobietę pod ramię, szybko wszedł z nią na schodki prowadzące do domu. Kluczem przekręcił zamek i wciąż trzymając kobietę pod ramię, usunął się by przepuścić ją pierwszą, po czym zatrzasnął bramę za sobą. Przez urywek sekundy, na twarz kobiety padło ciepłe światło z hallu. Mary Nord! — Nie — lady Gordon.

— Czy pani wsiada? — usłyszała głos szofera i jednocześnie zduszony głos Ralfa. — Mamo, puść mnie!

Oprzytomniała. Podając szoferowi adres, miała wrażenie że ktoś inny mówi, nie ona. W taksówce unosił się zapach perfum i papierosa. Źle zgaszony, dymił w popielniczce. Wtuliła się w kąt wozu. Dobrze że i taksówka wewnątrz była ciemna. Ralf zakaszlał i coś powiedział. Nie rozumiała słów, ale z nawyku zrozumiała. Wyciągnęła rękę. Wilgotnego jeszcze papierosa — z czyich ust? zdusiła. Potem przysuwając się do Ralfa, jakby sobą chroniąc go przed jakimś niebezpieczeństwem, zapadła w próżnię.

W domu już na nich czekano. Molly, dziewczynki i pies. Molly, zdejmując Ralfowi płaszczyk pytała o wynik badań i czy Ralf był grzeczny. Julia, całując matkę powiedziała, że upadła w szkole i rozdarła spódniczkę. Nauczycielka pomogła jej zaszyć, ale widać. O tu. Kay przede wszystkim oglądnęła jej kolana i łokcie. Nic złego sobie nie zrobiła. Potem oglądnęła spódniczkę. Łatwo da się naprawić. Julia była najstarsza, miała ciemne włosy ojca, jego pociągłą twarz i jasne spojrzenie matki. Przyszła na świat po jego pierwszym wielkim sukcesie w rol Romea.

Potem Lauda dużo i zawile paplała o jakimś zeszycie, mleku i Micky Mouse. Wszyscy, nawet Molly się z niej zaśmiewała. Kay chwytała słowa, ale treść do niej nie docierała. Dopiero po obiedzie, w czasie którego Ralf rozlał zupę, po telewizji, myciu i dobranoc, kiedy dzieci zasnęły, a Molly z grzałką, gazetą i czajnikiem pełnym herbaty wolno weszła na swoje pięterko, Kay mogła myśli zebrać.

Deryk. Okłamał ją. Wszystko mogłaby mu darować, lecz nie kłamstwa. Naraził ją na śmieszność, a może i na litość? W ich świecie dobrze wiedziano, co się w którym teatrze dzieje. Spotkanie na Mayfairze wracało, jak w kalejdoskopie wracały obrazki, które dzieci, po skończeniu, znów puszczały od początku.

Nadjeżdżała taksówka, z taksówki wysiadał Deryk, podawał rękę kobiecie. Ujmował ją pod ramię, szybko wstępowali na schodki. Deryk otwierał bramę. Błysk z hallu. Twarz kobiety. Trzask bramy. I znów ukazywała się taksówka i Kay widziała pochyloną głowę kobiety i kapelusz pokryty dżetami. Trzask bramy. I znów...

Z górnego pokoju doleciał kaszel Ralfa. Zanim weszła na schody, spojrzała w lustro. Jak wygląda? Gdyby któreś z dzieci się obudziło, nie powinno widzieć jej zapłakanej. W lustrze ujrzała oczy szklące się łzami i usta siłą wstrzymujące się od płaczu. Twarz była obca i ładna.

Dzieci spały spokojnie. Ralf tylko leżał odkryty, więc poprawiła kocyk i łóżeczko zastawiła parawanem. Noc była chłodna, wietrzna i ostry powiew od okna uderzał wprost w małego. Doktór Fletcher mówił, żeby uważać. Jutro łóżeczko albo postawi się na drugim końcu pokoju, albo przeniesie do niej. I tak zamierzała umieścić go koło Molly, na pięterku. Dziewczynki powinny już mieszkać same.

Co się stanie z dziećmi, gdy jedno z rodziców odejdzie? Deryk? Przecież ten pokój wypełniony był Derykiem. Wszędzie wisiały i stały jego fotografie. Nawet na stoliku Julii, w skórzanej ramce, stała jego fotografia w roli Romea. Nie ma wątpliwości, że Julia pójdzie na scenę. Już teraz interesuje się teatrem. A co się stanie z dziećmi, gdyby Kay odeszła? Kto wtenczas będzie wieczorem do nich zaglądał? Kto dobierze konia, którego Ralf mógłby wozić w swoim wagoniku?

I wtenczas przypomniała sobie dzień, kiedy to z jasnego domu, znalazła się w surowym domu ciotki. Pięć lat miała, tyle ile Ralf, kiedy pozbawiono ją wszystkiego, czym zaczynała żyć, co zaczynała lubić i do czego przywykać. Tego dnia wieczorem pierwszy raz boleśnie odczuła brak pochylonej nad sobą twarzy ojca. Nie zawsze do niej zaglądał, ale teraz, kiedy wiedziała, że już nie przyjdzie, chwycił ją taki żal ogromny, takie poczucie krzywdy, że zaniosła się płaczem. Weszła ciotka, zapaliła światło, pogłaskała ją po głowie i powiedziała, że dobre dzieci śpią o tej porze, nie płaczą.

Przypomniała sobie obcość pierwszych dni w nowym domu. Patrząc na swoje zabawki, razem z nią przeniesione, „stamtąd“, zrozumiała że im zrobiono tę samą krzywdę. Jak ona, należały tam, nie tutaj.

Czy teraz czekałoby to jej dzieci?

W poniedziałek wieczorem paliły się wszystkie lampy. Molly wycierała podłogę w łazience, obficie zachlapaną wodą, a dziewczynki już leżąc, słuchały bajki o olbrzymie, który nie lubił dzieci. Ralf w piżamce, siedział na kolanach matki, okryty szalem. Jego łóżeczko stało już w pokoju Kay, więc mógłby mieć słuszny żal do rodziców, gdyby nie słyszał bajek ojca. Kiedy zasnął i dziewczynki posnęły, Deryk wziął go na ręce i ostrożnie przeniósł do pokoju żony. Położył, otulił kocykiem i słuchał jeszcze, czy równo oddycha. A kiedy mały zaczął przez sen marudzić, usiadł przy nim i czytał jeszcze bajkę o rybaku i syrenie. Czytał już tylko dla Kay i dla siebie.

Molly idąc na pięterko pogasiła światła. Paliła się tylko lampa w pokoju Kay i druga, na schodach. W ciszy słychać było przytłumiony głos Deryka i tykanie zegara.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmożoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, Bld. Exelmans, Paris 16-e.

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

PODRĘCZNIK RZETELNEJ OTUCHY

— OMÓWIENIE WYDAWNICTWA „POLSKA I JEJ DOROBEK DZIEJOWY" —

Andrzeiá Fricżá Modrzewskiego O poprawie Rzeczypospolitey Kiegi cztwore.

Pierwsze O Obyczáiach.
Wtore O Státucie.
Trzecie O Woynie.
Czwarte O Szkole.

Do świetey pámięci Monarchy Zygmuntá Augustá Krolá Polskiego ꝛc. do Senatu / do stanu Rycerskiego / y w obec do wszech ludzi Sármáckich / ięzykiem Láciński napisáne: á teraz

Nakładem Wielmożnego Páná / iego Miłości páná Mikołáiá Olechnowicżá Moniwidá Dorohostáyskiego / Woiewody Polockiego / Stárosty Wołkowiskiego y Lepelskiego ꝛc. ꝛc.

Przez Cyprianá Bázyliká z Lácińskiego ná Polskie przetłumáczone / y ná wielu mieyscách trudnych Przypiskámi y Kotizácyámi po kraiach obiáśnione.

Drukowano w Łosku w Drukárni Wielmożnego Páná / iego miłości páná Janá Kiszki Krácyżego w Wielkiem Xiestwie Litewskiem.

Nakładem tegoż Páná Woiewody Polockiego. ꝛc.

Przez Janá Kárcaná z Wieliczki / Miesiącá Października. Roku od národzenia Syná Bożego / 1577.

Strona tytułowa pierwszego wydania dzieła Frycza-Modrzewskiego „O poprawie Rzeczypospolitej"

●

Metropolita kijowski Grzegorz Camblak na soborze w Konstancji (1414—1418)

●

Strona tytułowa Biblii Leopolity, najstarszej Biblii katolickiej w języku polskim (1561)

Wiadomo że książki — jak ludzie — mają swoje żywoty. Niekiedy ciche i łatwe, kiedyindziej obfitujące w wydarzenia dramatyczne. Książkom-emigrantom los nie szczędzi zazwyczaj życia bujnego, niespodzianek i przygód. Niestety, często także przedwczesnego, tragicznego zgonu. Ileż to wydawnictw zapowiedzianych nie ukazało się, ile pożytecznych inicjatyw wydawniczych nie wyszło poza sferę przygotowań! Szczególnie gdy książka jest pracą zbiorową a w dodatku wydawaną częściami, niebezpieczeństwa i trudności rosną. Trzeba wiele silnej woli, poświęcenia, dzielności by doprowadzić do końca zaczętą robotę.

Toteż, gdy wydawnictwo tego typu ukazuje się wreszcie, u tych którzy życzyli mu dobrze zauważyć można, obok radości, także uczucie ulgi: że jednak ..że nareszcie... Taką właśnie książką, która przezwyciężywszy trudności, przełamawszy opory, zawędrowała w końcu na półki księgarń i — co ważniejsza — do rąk czytelników jest „Polska i jej dorobek dziejowy", wydana przez Orbis-Polonię w Londynie.

Dzieło ukazało się pod redakcją prof. dra Henryka Paszkiewicza i jest rezultatem trudu badawczego i współpracy dużej grupy naukowców. Prace przygotowawcze rozpoczęły się już w roku 1953, jeszcze przy współudziale śp. Ottona Laskowskiego. Tak więc książka traktująca o tysiącletnim dorobku Narodu, w chwili swoich oficjalnych narodzin ma już za sobą niemal dekadę istnienia.

●

Wydawnictwo, jak większość jemu podobnych mu w charakterze, ukazywało się zeszytami. Pierwszy z nich rozesłano subskrybentom w czerwcu 1956 roku. Wydany obecnie wolumen, stanowiący w pewnym sensie zamkniętą całość zawiera pierwsze dwie części tomu pierwszego: I. „Ziemia i człowiek" oraz II. „Historia". W części „Ziemia i człowiek" poza geografią, omówiony jest również język oraz obrzędy i folklor. „Historia" wykracza znacznie poza ramy historii politycznej, obejmuje bowiem zagadnienia kulturalno-naukowe, gospodarcze, ustrojowe, religijne, a także dzieje myśli politycznej oraz wojskowości.

Dodać trzeba, że dwa fragmenty następnej części ukazały się już również — w formie makiety.

Ilość włożonego w opracowanie wydawnictwa trudu i pracy zarówno ze strony redaktora jak i wydawcy nie da się nawet w przybliżeniu zmierzyć i określić. Suma £ 7.000 dotąd wydana, daje pewne pojęcie wyłącznie o finansowej stronie przedsięwzięcia, pozwala się domyślać trudności i kłopotów na tym odcinku pracy, a trzeba pamiętać, że bynajmniej nie były one jedyne.

„Polska i jej dorobek dziejowy" jest niewątpliwie najoryginalniejszym i najambitniejszym przedsięwzięciem wydawniczym tego rodzaju na emigracji. Pamiętać trzeba że nie jest to przedruk dawniej opracowanego dzieła, ale śmiała próba stworzenia zupełnie nowego i wszechstronnego przedstawienia naszych dziejów. Nie ogranicza się też do jednego okresu, ale z równą uwagą śledzi i opisuje rozwój narodu na przestrzeni całego tysiąclecia nie pomijając zresztą i przedhistorycznej epoki jego bytu, omówionej ze znawstwem przez prof. T. Sulimirskiego.

●

Cel książki, idea jaka przyświecała jej powstaniu, została jasno i wyraźnie określona we wstępie przez prof. Paszkiewicza: „...Polska i jej dorobek dziejowy" ma za swe główne zadanie zgromadzenie w jednym dziele najniezbędniejszych dla Polaka o Polsce wiadomości. Wiadomości te opierają się tylko na prawdzie, a tym samym przeciwstawiają się jaskrawo publikacjom reżymu moskiewskiego, panującego dziś w Kraju... Polska i jej dorobek dziejowy będzie dla starszego pokolenia przede wszystkim lekturą pełną wspomnień... stanie z kart księgi przed oczyma czytelnika kraj lat dziecinnych. Dla tych zaś, którzy go nie widzieli lub ledwo pamiętają, będzie odkryciem wielu rzeczy nowych i nieznanych".

Określenie dla jakiego czytelnika praca jest przeznaczona pozwala przewidzieć zamierzony charakter opracowania: naukowy, ale przystępny, ścisły ale nie suchy. Oczywiście sam rodzaj książki — jako pracy zbiorowej — w dużej mierze wpłynął na uformowanie się jej oblicza. Redaktor zdawał sobie z tego sprawę: książka „jest pracą zbiorową, ma więc wszystkie zalety oraz braki tego rodzaju wydawnictwa".

Z jednej strony można było poszczególne zagadnienia dawać do opracowania specjalistom w danej dziedzinie co niewątpliwie wpływa na podniesienie poziomu naukowego, z drugiej, poglądy poszczególnych autorów na tę samą sprawę mogą być różne, nawet sprzeczne. Oto gdy dr Czesław Chowaniec ocenia pozytywnie absolutystyczne projekty Marii-Ludwiki, realizowane — dodajmy — przy pomocy intrygi i zbrodni, a jednego z najinteligentniejszych Polaków XVII w., Andrzeja Maksymiliana Fredrę, z racji opozycji przeciw absolutyzmowi nazywa „tępym", to prof. dr Stanisław Kościałkowski, o osiem stron dalej surowo potępia Augusta III ... za jego „skłonność do absolutyzmu".

Istnienie różnic w poglądach, a przede wszystkim to że wypowiadanie tych różnic jest możliwe stanowi jednak zaletę i wadę książki. Podkreśla bowiem prawo badacza do interpretowania przeszłości w sposób jaki wydaje mu się słuszny i zgodny z prawdą, do posiadania i publicznego wypowiadania własnego światopoglądu, prawo którego niestety większość polskich historyków jest dziś — częściowo przynajmniej — pozbawiona.

Indywidualizmowi poglądów towarzyszy oczywiście indywidualny sposób ich

Regelinda, córka Bolesława Chrobrego, żona Hermana, syna margrabiego Miśni (posąg w katedrze w Naumburgu, z połowy XIII w.)

wypowiadania. Piękna to różnorodność dająca poznać i ocenić skalę możliwości polszczyzny w tak na pozór niewdzięczne pod tym względem dziedzinie jak opracowanie naukowe. Skala jest ogromna: od dramatycznej, pełnej napięcia prozy prof. Mariana Kukiela po lekką, żywą gawędę dra Stanisława Westfala. Oto przykłady:

(Prof. Kukiel) „Trzeci rozbiór Polski, w roku 1795, dokonał się po długich i ciężkich zmaganiach armii zaborczych z bohaterskim wysiłkiem Narodu. Trzy mocarstwa orzekły, że Polska na zawsze przestała istnieć. Król polski w akcie abdykacji uznał, że decyzje te zapewnić mają spokojność jego poddanych. Europa milcząco przyjęła do wiadomości fakty dokonane".

(Dr Westfal) „Na ziemiach dzisiejszej Polski mówiono po pra-słowiańsku dawniej niż angielszczyzna pojawiła się na wyspach brytyjskich (V wiek) kiedy to Anglicy byli w Anglii jeszcze świeżo przybyłymi „foreignerami" ". Albo: „Bez większego kłopotu" — rzekło się — bo nowoczesna panna, zwłaszcza jeśli mieszka w kraju, gdzie jaja były lub są racjonowane, z trudem tylko by się domyśliła, że „wszystko za jaje" znaczy, że to wszystko jest po prostu nic niewarte".

Owo felietonowe niemal zacięcie, miłe i ułatwiające czytanie, tai w sobie pewne niebezpieczeństwo, sprzyja bowiem stwierdzeniom ryzykownym jak na przykład że „Bogurodzica... powstała już w XIII wieku albo wcześniej" czy: „Dźwiękowo język polski jest łatwiejszy niż wszystkie inne słowiańskie razem wzięte" gdzie owo „razem wzięte" odbiera zdaniu zamierzony sens.

Gdy już o języku mowa to warto zwrócić uwagę na opinię dr Janiny Pilatowej w jej, bardzo zresztą ciekawym rozdziale o języku polskim: „W XVII wieku język pod wpływem obniżenia ogólnego życia kulturalnego i nowej fali łaciny, wyniesionej ze szkół jezuickich, cofa się w rozwoju, skażony makaronizmami". Cofa się w rozwoju! Czyżby za przykład służyć miała twórczość Wespazjana Kochowskiego, Wacława Potockiego, Andrzeja Morsztyna albo Jana Chryzostoma Paska? Nie zrozumiała też (choć często przez różnych pisarzy powtarzana) jest opinia autorki o makaronizmach, bezwzględne potępienie („język ... skażony makaronizmami"), oraz uznanie ich za siedemnastowieczny wynalazek. Są one przecież cechą powszechną renesansowej, szesnastowiecznej (a więc ponoć „złotej"), a nie tylko barokowej polszczyzny. Używa ich często, zarówno żartem jak poważnie Kochanowski, także mistrz polskiej prozy Orzechowski, nawet Mikołaj Rej, zresztą cały legion innych pisarzy owego wieku.

Jeżeli zatrzymałem się nad sprawą makaronizmów, nieistotnym w gruncie rzeczy drobiazgiem w wartościowym i ciekawym szkicu dr Pilatowej, to dlatego, że należy ona do typowej serii potępień które wydają się tak oczywiste, że na ogół nie zadajemy sobie trudu ich motywowania. Do tej samej kategorii należy negatywna opinia o sarmatyźmie prof. Stanisława Kościałkowskiego: „Ciemnota, „sobiepaństwo", prywata, zacofanie i buńczuczny „sarmatyzm" były zjawiskiem powszechnym".

●

Sarmatyzm — zjawisko kulturalne na wskroś polskie, a więc dlatego już choćby warte staranniejszego i obiektywnego zbadania przez naszych naukowców — przejawiał się zarówno w obyczaju (do dziś żywym!), w sztuce — gdzie wytworzył np. ciekawą i oryginalną formę tzw. „portretu trumiennego", w rzemiośle artystycznym (pasy polskie, zwane, pars pro toto, „słuckimi"), wreszcie w uzbrojeniu gdzie za przykład służyć może polska szabla typu „karabelowego". Zarówno karacenę jak i karabelę czytelnicy „Polski i jej dorobku dziejowego" znaleźć mogą wśród licznych doskonałych ilustracji — widomy i łatwo sprawdzalny ślad pozytywnych wartości sarmatyzmu.

●

Ilustracjom właśnie, oraz układowi graficznemu a więc tzw. „szacie zewnętrznej" wydawnictwa należy się w tym omówieniu miejsce osobne i to bynajmniej nie drugoplanowe. Wyraz „zewnętrznej" umieścić trzeba w cudzysłowie, gdyż dzięki zasłudze p. Józefa Olechnowicza, dyrektora firmy „Orbis-Polonia", która wydała książkę, strona ilustracyjno-graficzna zatraciła ów „zewnętrzny" charakter. Stała się ważną i integralną częścią dzieła.

Prof. Paszkiewicz zaznaczył w słowie wstępnym, że „Polska i jej dorobek dziejowy" jest wydawnictwem skromnym zarówno w wymiarach jak i w szacie zewnętrznej. Stan materialny naszego wychodźstwa uniemożliwia podejmowanie luksusowych publikacji". Pierwsze zeszyty książki zdawały się potwierdzać ten pesymistyczny pogląd redaktora. Z czasem jednak, dzięki p. Olechnowiczowi, jego entuzjazmowi, cierpliwości i nie cofaniu się przed kosztami, publikacja nabrała w pełni cech „luksusowości" Wielka ilość ilustracji dobranych celowo, nie tylko ozdabia, ale także uzupełnia tekst. Jak w każdej pracy zbiorowej metoda opracowywania tekstów przez poszczególnych autorów jest różna. Otóż wydaje mi się, że materiał ilustracyjny tak został zaplanowany by wyrównać i zatrzeć zbyt jaskrawe różnice między rozdziałami, niekiedy zaradzić jakiemuś przeoczeniu, zapełnić lukę.

Łatwo też zauważyć że o doborze ilustracji decydował cały szereg czynników: Oprócz trafnego i graficznie wiernego uzupełniania tekstu odgrywała rolę wartość artystyczna reprodukowanego dzieła, osoba artysty, który jakiś obraz czy rzeźbę wykonał, miejsce, gdzie się dzieło znajduje.

Dla przykładu, podobizna Kazimierza Jagiellończyka to rzeźba Wita Stwosza z grobowca w katedrze na Wawelu. Znakomite dzieło sztuki, wykonane przez wybitnego artystę. Portret nosi cechy realizmu i autentyczności. Dodatkowo znajduje się w katedrze na Wawelu. Oczywiście nie zawsze udało się znaleźć tak szczęśliwe rozwiązanie, nie zawsze bowiem niestety mieszkali w Krakowie czy Warszawie artyści tej miary, co Wit Stwosz.

●

Tom pierwszy wydawnictwa zawiera 725 ilustracji, 22 mapy i 18 osobnych tablic. Liczby te nie wymagają chyba komentarza. Świadczą wymownie o ogromie pracy i kosztów, a równocześnie o zrozumieniu ich znaczenia i wartości.

Każdy, kto w okresie tych kilku lat pracy nad książką spotykał się z p. Olechnowiczem wie, że liczby te nie mówią jeszcze wszystkiego. Nie określają bowiem, nawet w przybliżeniu, czasu użytego na żmudne poszukiwania, ilości powtarzanych fotografii, często nawet klisz, gdy nie wydawały się zadawalające, wysiłku wkładanego w graficznie ładne, a logiczne rozmieszczenie ilustracji na kartach książki. Oczywiście, przy tak ogromnej pracy, pewne, drobne w gruncie rzeczy niedociągnięcia nie dały się uniknąć. Niekiedy oryginały (głównie wczesne fotografie) były niewyraźne. Mimo wkładanego wysiłku ilustracje wykonane na ich podstawie pozostawały mało efektowne, albo retusz stawał się nazbyt widoczny.

Wobec staranności w doborze ilustracji niekiedy zaskakuje pewna dowolność i ogólnikowość w ich opisie. Czasem malarz czy grafik bywa wymieniany, kiedyindziej nie — choć nazwisko jego nie tylko jest znane ale dodatkowo szczególnie warte zaznaczenia jak choćby w wypadku grafików gdańskich Wilhelma Hondiusza i Jeremiasza Falcka, (często dodającego po swym nazwisku „Polonus").

Innym razem nie zostało zaznaczone, że portret, to późna kopia (jak w wypadku Mikołaja ks. Radziwiłła na str. 375). Pod drzeworytem przedstawiającym Kraków w XV wieku (na stronie 138) podano mylnie, że był wykonany przez Schedla. W istocie pochodzi on z książki, której Schedel był autorem. Drzeworyty zdobiące ową kronikę wykonywał Michał Wolgemut, znakomity artysta i nauczyciel Dürera.

●

Tę krótką listę zastrzeżeń chciałbym zamknąć opinią na wskroś osobistą: mianowicie wolałbym aby książka wydana na emigracji była ilustrowana, o ile możności, polonikami znajdującymi się zagranicą. Przyniosłoby to jak sądzę podwójną korzyść: Czytelnikowi krajowemu dostarczając informacji o nieznanych mu na ogół zabytkach a czytelnikowi na emigracji pomagając w obejrzeniu przedmiotu w oryginale, a nie na reprodukcji. Łatwiej bowiem mieszkańcowi Kensingtonu zobaczyć obiekt znajdujący się w British Museum niż np. w Muzeum Narodowym w Warszawie.

I tak zamiast pokazywać hełm wczesnopiastowski z Dymitrowa (przechowywany w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie), można było przecież umieścić fotografię bardzo podobnego, również wczesnopiastowskiego hełmu znajdującego się obecnie w zbrojowni Tower of London, a zamiast ryciny reprodukującej znany portret Stanisława-Augusta, wykonany przez Bacciarellego i zachowany w szeregu kopii, inny doskonały portret króla z Dulwich College Picture Gallery, przypisywany w dodatku Aleksandrowi Kucharskiemu.

●

Wolumen pierwszy „Polski i jej dorobku dziejowego", choć stanowiący na swój sposób zamkniętą całość, pozostawia przecież szereg zagadnień, objętych tytułem („dorobek dziejowy") nie tkniętych — jak sztuka, ledwie wspomnianych, lub uwzględnionych jak dotąd wyłącznie w formie makiety — jak literatura.

Również fakt, że wspólne indeksy do całości i spisy ilustracji mają być umieszczone na końcu drugiego wolumenu, zmniejsza praktyczną przydatność pierwszego, a przynajmniej utrudnia szybkie korzystanie z niego jako z encyklopedii.

Ciesząc się więc z wydania tej cennej i pożytecznej książki, należy mieć nadzieję, że druga część uzupełni wprędce pierwszą. Nadzieja i dobre życzenia to zresztą za mało. Potrzebna jest przede wszystkim pomoc. Na nią książka bez wątpienia zasługuje.

●

B.D.I.C

Ś. p. Władysław Pobóg-Malinowski
(Zdjęcie wykonane w Kownie w r. 1939)

Na zakończnie warto zwrócić uwagę na jedną z cech książki nadającą jej charakter wyjątkowy w kategorii opracowań historyczno - encyklopedycznych. Zwykle wydawnictwa tego typu powstają jako wynik współpracy naukowców zamieszkałych w jakimś kraju i piszących o nim. Praca ich jest oczywiście ułatwiona dostępem do archiwów, wygodnymi warunkami badań w oparciu o uniwersytety i oficjalne instytucje naukowe, dobrymi warunkami finansowymi.

Wydawnictwo takie liczyć może na rzesze nabywców, na biblioteki i czytelnie publiczne, wreszcie na pomoc ze strony państwa czy zamożnych towarzystw naukowych.

Wszystkie te ułatwienia odpadają w warunkach wychodźczych. Warunki te jednak, obok wielu uciążliwości i utrudnień, ofiarowują badaczom jedną, ale za to nieocenioną w swej doniosłości wartość: perspektywę.

Naukowcy pracujący całe życie w jakimś kraju mają tendencję do widzenia i oceniania wydarzeń oraz zjawisk w oderwaniu od otaczającego je świata. Zjawiska olbrzymieją lub maleją niewspółmiernie, wydarzenia często stają się niepojęte.

„Polska i jej dorobek dziejowy" napisana została przez zespół badaczy przebywających i pracujących od dawna poza granicami Polski, najczęściej w wielkich ośrodkach naukowych Zachodu. Badacze ci mają możność konfrontowania swych poglądów z osiągnięciami naukowców innych narodów, a także korzystać z zagranicznych archiwów i bibliotek. Pomaga im praktyczna znajomość języków, a nawet codzienne życiowe doświadczenie. I jeżeli obraz narodu jaki wyłania się z ich wspólnego dzieła jest obrazem dodatnim, jeśli miejsce wyznaczone mu wśród innych narodów Europy nie jest poślednie, to rodzące się stąd otucha i duma są uczuciami, którym można zaufać.

Mieczysław Paszkiewicz

List którego nie zdążyłem wysłać...

Odbieram telefon.

— Pobóg nie żyje.

— Jezus, Maria... czy to pewne ...skąd ta wiadomość... co się stało?

— Niestety wiadomość pewna... nagle... dziś rano... nie podano szczegółów...

Położyłem słuchawkę, idę na górę, zaczynam chodzić po pokoju. Usiłuję uprzytomnić sobie co się stało. Nie mogę. Jakieś odrętwienie, znieczulenie nerwowe. Dziwne uczucie. To mi się już zdarzało poprzednio, zwłaszcza w czasie wojny, kiedy ubywało Najbliższych. Zdaje mi się, że wtedy się w tym trenowałem. Pomagało przetrwać samemu i utrzymać formę, potrzebną do spełniania powierzonych zadań. — Zaczynam chodzić szybciej po pokoju. Odrętwienie przechodzi. Nie zmuszam się już do niego. Bo i po co... teraz... Przychodzi ból po stracie Bliskiego Człowieka, który, przez przeszło 30 lat, był podwładnym, współpracownikiem i przyjacielem. Psiakrew — nie zdążyłem nawet wysłać odpowiedzi na Jego ostatni list. Trochę jakoś zwlekałem. Przypominam sobie nagle, że przed kilkoma miesiącami, kiedy dłużej trochę do Niego nie pisałem, dostałem kartkę, zaczynającą się od słów: „Sewerku, dlaczego nie piszesz — Boga się chyba nie boisz...".

Podchodzę do biurka, rzucam okiem na blok papieru listowego... „Kochany Władku. Jakże cieszymy się, że Twoja choroba przechodzi, że powracasz do życia... Kiedy odwiedziliśmy Cię z żoną we wrześniu w sanatorium, wyglądałeś świetnie i tak bardzo dziękowałeś Krysi, że pół roku przedtem „zmusiła" Cię do dokładnych badań, przez które, jeszcze wczas, wykryła co Ci było — dzięki czemu mogła się odbyć kuracja z tak dodatnim rezultatem. Myślałeś już o szybkim powrocie do domu, do żony i syna, do normalnego życia. — Z jakimż zapałem mówiłeś o ogromnej pracy jaka Cię czeka; nad niedokończonymi, rozpoczętymi i projektowanymi dziełami historycznymi. I ja i Krysia bardzo się wtedy wysilaliśmy, aby Cię przekonać, że musisz najpierw zupełnie dojść do zdrowia. Przyrzekłeś. Pożegnaliśmy Cię w dobrym nastroju. Po miesiącu przyszły znów gorsze wiadomości... potem — lepsze... a teraz Twój list, który nas tak bardzo cieszy...".

Nie mogę czytać dalej. Ten list, którego już nie zdążyłem wysłać, wydaje mi się teraz banalny, głupi i bez sensu...

Przychodzą wspomnienia, masą chaotycznie... Potem formują się w jakiś film, który zaczął się kręcić przed 30-tu laty. Zjawia się przede mną szczupła, mizerna postać oficera. Jest przeniesiony do Min. Spraw Zagr. Ma objąć jeden z podległych mi działów — arch. biblioteczny. Trzeba go usprawnić, rozwinąć i wykorzystać dla celów wydawniczych. Wiem, że ma za sobą nielada pracę w Wojsk. Biurze Historycznym, że był jednym z najlepszych i najbardziej zaufanych ludzi gen. Juliusza Stachiewicza. Patrzę na niego z respektem. Ale mam wątpliwości... taki cherlak, pewnie gruźlik... czy wytrzyma?... Film kręci się dalej, pokazując człowieka, którego widywałem niemal codzień, jak ożywia masy książek, „białych kruków" i rzadkie stare dokumenty. Wszystko to zaczyna wypełzać z jakichś zakamarków ogromnego archiwum i biblioteki Centrali i z licznych tych samych komórek placówek zagranicznych. Przewija się to przez biurko kierownika i pod jego jakimś magicznym dotknięciem schodzi w zespoły tematów...

Zjawia się coraz więcej znanych profesorów historyków, mają długie konferencje z Pobogiem... idą obładowani materiałami, z których powstaje wiele książek, broszur, artykułów... Coraz więcej i więcej wychodzi spod ręki tego człowieka, nie nadążam uchwycić tytułów... Możliwe, że ten film za szybko się kręci. Ależ nie. Oglądałem to wszystko przez 7 lat... teraz widzę naraz... Boże, jakiego ogromu pracy ten człowiek dokonał... Film znika już sprzed oczu. Zaczynam sobie uprzytamniać, jak to wówczas miałem możność przekonania się o sumienności i skrupulatności badania źródeł do wszelkich opracowań historycznych, wydawanych bezpośrednio i pośrednio przez M.S.Z. — Pobóg-Malinowski, z ramienia Ministerstwa, utrzymywał stałe kontakty z profesorami historii uniwersytetów warszawskiego i krakowskiego i należał do utworzonej przez nich grupy, zajmującej się planowaniem i opracowywaniem ważnych tematów historycznych. W wielu rozmowach z min. Beckiem i ze mną profesorowie ci wyrażali się z uznaniem o wiedzy historycznej Pobóg-Malinowskiego i o jego z nimi współpracy. Podnosili staranność badania źródeł, uczciwość i trafność oceny wydarzeń.

Niewiele mogę powiedzieć o życiu osobistym Poboga. Bo też i niewiele mu na nie czasu zostawało. Byłem świadkiem na jego ślubie. Swój wolny czas poświęcał żonie p. Marysi. Jak mógł, śpieszył się zawsze do niej, do domu. Życie ich było spokojne i bardzo skromne, bo tak się złożyło, że musiał stale dużo komuś pomagać. Niekiedy bywał zagranicą, ale ślęczał wtedy cały czas nad sprawami swego działu. Raz tylko na krótko przed wojną, „oderwał się" trochę od tego szarego, pracowitego życia. Musiałem wyjechać służbowo do Kowna — w strony, w których żyli przodkowie Poboga. Zabrałem go dla wykonania pewnej pracy z jego dziedziny.

Jechaliśmy otwartym samochodem, pierwszym chyba po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Litwą Kowieńską. Pobóg cieszył się jak dziecko z wspaniałych widoków jezior i lasów litewskich. Oddychał całą piersią, chwaląc sobie ogromnie balsamiczną woń tych lasów. Zachwycał się pięknem doliny Niemna. Wydawało się, że byłby tam chętnie został. Ale... kilka dni później, kiedy wjeżdżaliśmy z powrotem nad ranem do Warszawy, cieszył się bardziej. Jechałem nad Wisłą, Wybrzeżem Kościuszkowskim, aby odwieźć Poboga do domu. Po drodze przystanąłem przed pomnikiem Syreny, słabo oświetlonej latarniami, na tle ciemnym i niewidocznym. Było pusto i cicho. Nie ruszaliśmy się dość długo, pochłonięci jakimś nieznanym nam jeszcze urokiem miasta. Powoli zaczęło świtać. Syrena nabierała ostrych, sylwetkowych rysów na tle powstającego brzasku nad Pragą. Pokazała się błyszcząca wstęga rzeki. „Tak chciałbym ten obraz zatrzymać w pamięci", odezwał się Pobóg. „Ja także... bardzo", odpowiedziałem. Przypomniałem sobie, że mam „Leicę". Zrobiłem zdjęcie — chyba ostatnie w Polsce. Film został w aparacie, który uchował się jakoś, i po wojnie zrobiłem powiększenie. Ofiarowałem je Pobogowi, kiedy mnie pierwszy raz odwiedził w Londynie. Ucieszył się tak prawie, jak wtedy w czasie powrotu do Warszawy.

Wojna wyrzuca Poboga z żoną do Rumunii. Potem Włochy. Francja — ciężkie warunki — rodzi się syn Krzysztof... Praca w Podziemiu, wojsko... Przez cały ten czas, mimo wszystko, szpera po archiwach, zbiera dokumenty... i pisze. — Po wojnie osiedla się z rodziną w Paryżu, gdzie w małym mieszkaniu, walcząc o skromny byt, zaczyna dniem i nocą ślęczeć nad materiałami historycznymi. — Jest fanatykiem pracy. Odchodzi od życia codziennego do tego stopnia, że kiedyś dostawszy od żony paczkę ze śmieciami do wyrzucenia na podwórzu do śmietnika, zawiózł ją na drugi koniec miasta do gmachu Radia Francuskiego, gdzie miał, w Sekcji Polskiej, audycję.

Czasami skarżył mi się w listach na ciężar pracy i jednocześnie walki z jej zajadłymi przeciwnikami. Starałem się go podtrzymać, jak mogłem. Kiedy, po wydaniu „Najnowszej Historii Politycznej Polski", dopominał się o moją ocenę, pisałem do niego: „...Znaczenie tego dzieła dla obecnych i przyszłych pokoleń, oraz dla historyków własnych i obcych — jest oczywiste dla każdego... Okoliczności, w jakich znalazła się emigracja polska, nie sprzyjały opracowaniu poważnej i wyczerpującej historii politycznej naszego okresu. Toteż nie było historyka, któryby tego dokonał. Ty wypełniłeś tę lukę, w sposób godny największego podziwu, pracując przez szereg lat — w ciężkich warunkach osobistych i zwalczając ogromne trudności wydania książki... Dola współczesnego historyka - emigranta nie jest do pozazdroszczenia. Poza trudnościami przygotowania i wydania swej pracy, narażony jest na zarzuty, odbiegające daleko od rzeczowej krytyki... Zarzuty takie nie mają jednak szansy długiego przetrwania... a praca historyka zostaje..."

Usiadłem przy biurku i spojrzałem jeszcze na list — nie był dokończony... Jakoś dziwnie pióro mi wchodzi do ręki i... kończę go pisać — „...Władku Kochany... Czy to możliwe, że Cię nie ma... że już nigdy nie zobaczysz „naszej" Syreny nad brzegiem Wisły... a może...? Zostajesz na zawsze w naszych sercach... a potem będzie Cię dużo, coraz więcej, w przyszłych pokoleniach, którym zostawiasz tak ogromny plon Twego życia... Nie — nie żegnam Cię Drogi Przyjacielu...".

Seweryn Sokołowski

„TAK CHCIAŁBYM TEN OBRAZ ZATRZYMAĆ W PAMIĘCI..."

Ukochana przez Malinowskiego „Syrena" na Wybrzeżu Kościuszkowskim w brzasku rodzącego się nad Warszawą nowego dnia

KRONIKA WOJSKOWA

INDIE. Po zdobyciu przez wojska chińskie miasta i lotniska Walong w pobliżu granicy Burmy oraz miejscowości Towang, przełęczy Sa La i miasta Bomdila w zachodniej części Północno- Wschodniej Agencji, a tym samym wywalczeniu wyjść do doliny Bramaputry, Pekin zaproponował 21 listopada nieoczekiwanie zawieszenie broni i stworzenie zdemilitaryzowanego pasa wzdłuż linii rozgraniczenia z 7 listopada 1959. Wojska obu stron miałyby z dniem 1 grudnia być wycofane i tak rozmieszczone, by w żadnym punkcie nie były bliżej owej linii rozgraniczenia niż 25 kilometrów. Przyjęcie i wykonanie tej propozycji oznaczałoby, że wojska chińskie opuściłyby niemal cały obszar zdobyty ostatnio w Północno Wschodniej Agencji Granicznej, natomiast obsadzałyby nadal część Ladakhu, gdy wojska indyjskie musiałyłyby tam dość znacznie cofnąć się z obecnie zajmowanych pozycji. To też mimo swojej niższości militarnej Indie tej propozycji nie przyjęły i, grając na zwłokę, umożliwiającą przerzucenie posiłków znad granicy pakistańskiej i otrzymanie dodatkowego sprzętu z zagranicy, wysunęły jako kontrpropozycję wycofanie oddziałów obu stron poza linię frontu z 8 września bieżącego roku, w którym to dniu rozpoczęła się ofensywa chińska. Choć Pekin tę propozycję odrzucił i domaga się przyjęcia jego oferty, wojska chińskie dotychczas swojej ofensywy nie wznowiły, a nawet tu i tam swoje oddziały częściowo cofnęły. W rezultacie no całym froncie panuje od 22 listopada spokój, a na niektórych jego odcinkach oddziały obu stron straciły ze sobą bezpośrednią styczność. Nie znaczy to oczywiście, że niebezpieczeństwo inwazji bogatego stanu Assam zostało ostatecznie zażegnane. Chińczycy ulepszają nadal drogi prowadzące z Tybetu ku Assamowi, by móc na wiosnę w razie potrzeby inwazję Assamu podjąć. Obecnie, w przededniu zimy, byłaby ona zbyt ryzykownym przedsięwzięciem. Zwłaszcza, że oddziały chińskie nie mogłyby dostatecznie być zaopatrywane i że obsada frontu hinduskiego została poważnie wzmocniona przez nadejście znacznych posiłków i anglosaskiego sprzętu. Co się stanie na wiosnę, gdy śniegi znikną i drogi zostaną przez Chińczyków poszerzone, zależeć będzie w dużym stopniu od tego, czy sprzętowa pomoc anglosaska będzie dostateczna i czy dojdzie do odprężenia i porozumienia między Indiami a Pakistanem umożliwiającego przerzucenie gros sił na front chiński. Pewną rolę odegra także ustosunkowanie się Moskwy do hindusko-chińskiego konfliktu. Narazie popiera ona rozwiązanie chińskie i zwleka z dostarczeniem Indiom myśliwców Mig-21, które miały w grudniu nadejść, i nawet przyobiecanych helikopterów i samalotów transportowych nie dostarczyła. Nie chcąc jednak Indii zrazić i w ramiona Zachodu rzucić, stosuje taktykę i „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek", to znaczy udaje, że Chiny powstrzymuje i że w razie potrzeby odetnie im dowóz benzyny i sprzętu.

Słynna 4 dywizja hinduska, odcięta w górach koło Kameng, nie została, jak się okazuje, całkowicie zniszczona. Straciła wprawdzie większą część swego sprzętu, jednak około 10.000 jej żołnierzy zdołało wraz z dowódcą dyw. przedostać się do nowych pozycji hinduskich. W związku z dymisjonowaniem dotychczasowego ministra obrony, osławionego anglofoba Menona, nastąpiły liczne zmiany na szczycie hierarhii wojskowej. Nowym szefem sztabu został gen. Czaudhuri, „zdobywca" portugalskiej kolonii Goa.

Północne BORNEO. W brytyjskich protektoratach — koloniach Brunei i Sarawak, położonych w północnej części wielkiej wyspy Borneo, wybuchło 8 grudnia powstanie, przygotowane przypomocy Indonezji i popierane przez lewicową partię „Rayaat". Powstańcy dowodzeni przez samozwańczego „premiera" Azahari, który przebywa na Filipinach, zajęli przejściowo główne centra naftowego przemysłu Seria, Belait i Tutong, zostali jednak, po niezbyt krwawej walce już 11 grudnia wyparci z tych miast nadbrzeżnych do dżungli przez oddziały brytyjskie, przerzucone przeważnie z Singapore samolotami i okrętami. Posiłki te, dowodzone przez brygadiera Patersona, składają się narazie z 2 batalionów Gurków, batalionu „The Queens Own Highlanders", batalionu „Green Jackets", 2 Komando piechoty morskiej, szwadronu samochodów pancernych, policji malajskiej oraz różnych oddziałów pomocniczych. Niezależnie od tego przesunięto na pobliską wyspę Labuan nieco lotnictwa a do zatoki Brunei kilka okrętów wojennych, m.in. lotniskowiec „Bulwark". Jako wzmocnienie wydrążonej załogi Singapore rzucono z Walii samolotami i w ubraniach cywilnych baon walijskich fizylierów, należący do strategicznego odwodu brytyjskiego. Dodać tu trzeba, że w autonomicznym protektoracie Brunei wydobywa się rocznie ponad 4 miliony ton nafty i że jego sułtan do rebelii nie dołączył.

WIETNAM. W połowie października wojska rządowe przeprowadziły dużą operację przeci-- komunistycznym partyzantom Wietkong, gnieżdżącym się w bagnistym rejonie o 30 kilometrów na północ Saigonu. W operacji tej, wspartej lotnictwem, zaangażowano około 5.000 żołnierzy i zadano partyzantom poważne straty. Amerykanie stracili w Wietnamie już 45 lotników i żołnierzy.

INDONEZJA. Dozbrajanie Indonezji przez Sowiety wywołuje coraz większe zaniepokojenie w Australii. Zwłaszcza, że lotnictwo indonezyjskie ma już około 10 sowieckich bombowców Tu-16 o zasięgu do 5.000 mil, a flota indonezyjska posiada już około 20 okrętów podwodnych.

Kage.

Popierajcie firmy polskie

Jeden mistrz czy czterech mistrzów?

Korespondencja własna — Oslo, w grudniu.

WSZYSTKO zaczęło się normalnie: z początkiem listopada spadł śnieg, w połowie miesiąca chwycił mróz, sezon łyżwiarski więc jest już w pełnym ruchu. Łyżwy i narty to właściwie w Norwegii nie sport lecz obyczaj. Jak Anglia jest ojczyzną piłki nożnej tak kraje nordyckie są ojczyzną sportów zimowych. Ale nie wszystkie konkurencje są powszechnie uprawiane; w łyżwiarstwie liczy się tylko jazda szybka, jazda figurowa jest kopciuszkiem; w narciarstwie natomiast pasjonują przede wszystkim skoki i biegi płaskie, biegi zjazdowe są dużo mniej popularne. Osobną pozycję stanowi hokej, w którym Szwecja razem z Kanadą, Rosją Sowiecką, Stanami Zjednoczonymi i Czechosłowacją tworzy extra klasę. Kojarząc sporty zimowe z krajami nordyckimi ma się oczywiście na uwadze tylko Norwegię Szwecję i Finlandię, Dania nie odgrywa na tym polu żadnej roli. Za ciepło, za mglisto, za równo i za płasko, śniegu skąpo, mróz jest rzadkim gościem. Zresztą w czasie krótszym niż z Warszawy do Zakopanego można skoczyć z Kopenhagi do Oslo i mieć zimy pod dostatkiem.

Czołowi zawodnicy norwescy z zeszłorocznego sezonu wykazują dobrą formę; zaprawa letnia i dostępne od paru tygodni treningi na lodzie szły ostro. Norwedzy bowiem chcą powetować sobie niepowodzenia, które ich prześladowały w ostatnich latach i odzyskać utraconą pozycję i sławę.

A jest co do odrobienia, bo gdy w r. 1952 skończyło się długie pasmo wspaniałych triumfów najlepszego bodaj łyżwiarza wszystkich czasów, Hjalmara Andersena, w latach następnych tylko raz zdobył Norweg tytuł mistrza świata. Było to w r. 1957, dumne trofeum wieniec laurowy, zawisło na ramionach Knuta Johannessena. Na Olimpiadach i w mistrzostwach Europy mieli Norwedzy w tym okresie więcej szczęścia ale na Olimpiadzie dostaje się złoty medal nie za zwycięstwo w wieloboju lecz za zwycięstwo na każdym z czterech dystansów i łyżwiarze na ogół więcej sobie cenią tytuł mistrza świata niż tytuł olimpijskiego mistrza dystansu; a znowu tytuł mistrza Europy, chociaż także za wielobój, to, rzecz prosta, nie to samo co tytuł mistrza świata, chociaż konkurencja krajów pozaeropejskich nigdy nie jest groźna. Straszą co prawda od czterech lat Chińczycy swoimi czasami na krótkich dystansach ale jak narazie tylko straszą, poważnego kandydata na mistrza jeszcze nie wychowali sobie. Tak więc od kilkunastu lat wie się z góry że mistrz świata może wyjść tylko z następujących pięciu krajów: Rosji, Norwegii, Szwecji, Finlandii lub Holandii, przy czym najpoważniej bierze się w rachubę dwa pierwsze kraje. W ostatnich dwóch mistrzostwach świata próbowała do tej mocarstwowej piątki dołączyć Francja, rozporządzająca fenomenalnym talentem Kouprianoffa, ale zdaje się, że aspiracje Francji na tym się skończyły; Kouprianoff spadł w formie, nie ma inych talentów i nie ma narybku.

W Międzynarodowym Związku Łyżwiarskim zastanawiają się od dłuższego czasu czy by obydwa mistrzostwa, t. j. świata i Europy, nie upodobnić do mistrzostw lekkoatletycznych albo do sposobu rozgrywania konkurencji łyżwiarskich na Olimpiadzie, t. zn. by każdy dystans stanowił osobną konkurencję i dawał zwycięzcy oficjalny tytuł mistrza na poszczególnym dystansie. Dotąd, jak wiadomo, obydwa mistrzostwa są wielobojem, tytuł mistrza zdobywa ten, który otrzyma najmniejszą (nie największą) sumę punktów (notę), obliczanych według osiągniętego czasu w biegach na 500, 1.500, 5.000 i 10.000 m. Ten system kreowania mistrza doprowadzał niekiedy do pewnego paradoksu. N.p. w r. 1956 mistrzem Europy został zawodnik sowiecki Griszin. Był nie do pobicia na krótkich dystansach ale był beznadziejnie słaby na dystansach długich. Tymczasem na mistrzostwach uzyskał tak fantastyczny czas na jednym tylko dystansie całego wieloboju, mianowicie na 500 m., że najgroźniejsi rywale, chociaż pobili go na głowę na dystansach długich, nie mogli zejść poniżej sumy punktów, zdobytej przez Griszina, ponieważ ich czasy na innych dystansach nie były tak dobre a tym samym nie tak dobrze punktowane jak czas Griszina na 500 m. W mistrzostwach świata i Europy chodzi więc nie tyle o miejsce na poszczególnych dystansach ile o czas, oczywiście, im lepszy czas tym lepsze miejsce, ale można spatałaszyć nawet dwa dystanse a mimo to zostać mistrzem, osiągając wyśmienite czasy na dwóch pozostałych. Co prawda jest jeden wentyl: kto zajmuje pierwsze miejsce w trzech na cztery obowiązkowe dystanse ten automatycznie zostaje mistrzem wieloboju chociażby przegrał kompromitująco czwarty dystans (byleby tylko ukończył) i suma jego punktów okazała się nawet gorsza od najbliższego rywala. Historia mistrzostw Europy nie zna podobnego wypadku ale w mistrzostwach świata zaszedł on dwa razy: w r. 1909 dzięki potrójnemu zwycięstwu z notą gorszą od najbliższego rywala mistrzem świata został Norweg Oscar Mathisen a w r. 1911 Rosjanin Mikołej Strunnikow.

Ale nie wiadomo czy dojdzie do zmiany praktykowanego systemu, czy zamiast jednego oficjalnego mistrza świata lub Europy, będziemy mieli czterech względnie ośmiu oficjalnych mistrzów dla każdego dystansu osobno. Za zmianą wypowiadają się najgoręcej Szwedzi i Holendrzy, przeciw Norwedzy i do ubiegłebo roku Rosjanie. Tymczasem przed dwoma tygodniami ukazał się w norweskim dzienniku „Dagbladet" artykuł trenera sowieckich łyżwiarzy, Wiktora Kapitanowa, który zmienił front i przeszedł do zwolenników reformy. Proponuje on jeszcze coś innego, mianowicie, by rekord świata na poszczególnym dystansie notowany był podwójnie: jeden uzyskany na torze, leżącym do 500 m. ponad powierzchnię morza i drugi powyżej 500. Organizm ludzki, zdaniem Kapitanowa, inaczej reaguje w gęstym powietrzu do 500 m. a inaczej w rozrzedzonym powyżej 500 m. i różnice w czasach na korzyść torów wyżej położonych mogą dosięgać 1.5 sekundy na dystansie 500 m., 3.6 sek. na 1.500 m., 15-25 sek. na 5.000 m., i 25-40 sek. na 10.000 m. Norwedzy upierają się, że po zmianie upadł by urok, trud i cała sztuka biegów szybkich; dziś każdy szanujący się łyżwiarz a przynajmniej każdy marzący o tytule mistrza świata lub Europy trenuje wszystkie cztery dystanse, chociaż np. technika biegu na 500 m. jest zupełnie inna, szczególnie na wirażach, od techniki biegu na 10.000 m. Po zniesieniu wieloboju, powiadają Norwedzy, powstaliby specjaliści dystansów lecz skończyłby się łyżwiarz „all round".

Może i dla widzów byłoby mniej emocji Trzeba być na takich zawodach w Norwegii by zobaczyć, jak po pierwszym dniu, w którym zawsze idą biegi na 500 i 5.000 m., publiczność rozpala się do białej gorączki przy obliczaniu szans faworytów w dwóch pozostałych biegach a tym samym szans na tytuł mistrza wieloboju. Następnego dnia cały stadion aż kipi.

Kiedy w r. 1959 na mistrzostwach świata w Oslo, Finn Juhani Järvinen, po dramatycznej walce, która przez dwa dni trzymała 50.000 widzów w ekstazie, zdruzgotał murowane szanse Johannessena na ponowne zdobycie tytułu i jako triumfator, z wieńcem laurowym na ramionach, przebiegał honorowe okrążenie — na trybunach musiano cucić 25 osób, które zemdlały po klęsce norweskiego faworyta.

Najbliższe tygodnie będą w Norwegii i w Szwecji obfitowały w wielkie o międzynarodowej obsadzie zawody łyżwiarskie a w lutym 1963 sezon ukoronują mistrzostwa świata w Tokio i mistrzostwa Europy w Göteburgu. Kto tym razem zdobędzie złoty medal i wieniec laurowy, czy twardzi Rosjanie Kosiczkin, Merkułow lub Stenin, czy ambitni Holendrzy van der Grift lub Liebrecht, czy doświadczony Norweg Johannessen, malutki Finn Tapiovara lub fenomalni Szwedzi Ivar i Johny Nilsson? Szanse w czołówce są bardzo wyrównane ale równie dobrze mistrzem może zostać nie któryś ze znanych faworytów lecz jakiś nowy, ukryty jeszcze talent, jak to było w r. 1961 z van der Griftem.

J.K.

PRZEGLĄD SPORTOWY

JAK GDZIE GRAJĄ W PIŁKĘ

Niespodziewanie musiałem wyjechać na kontynent i zamiast przy swym biurku w Londynie znalazłem się w samolocie unoszącym mnie do Niemiec i Szwajcarii. Pogoda, jakby zawstydzona tym co ostatnio wyprawiała, rozpędziła chmury i lecieliśmy w słońcu. Widoczność doskonała.

Patrząc w dół na miasta, rzeki i autostrady, zastanawiałem się o czym by do działu sportowego napisać. Sezon letni już się zakończył, zimowy jeszcze nie zaczął — nie ma żadnych wielkich imprez, nie ma ciekawych wyników. Gdy poczęliśmy krążyć nad Kolonią, dojrzałem nagle spory stadion i od razu przyszła mi myśl do głowy: jutro niedziela, pójdę na mecz piłki nożnej i napiszę nie tyle o samym meczu ile o piłce w ogóle.

Okazało się, że na tym właśnie stadionie odbyć się ma ligowe spotkanie 1 F.C. (Kolonia) z Rot-Weiss (Oberhausen). 1 F.C. jest leaderem pierwszej zachodniej ligi a więc w piłkę grać umie.

Dął lodowaty wiatr i popadywał deszcz, gdy dobrnąłem do dużego obiektu sportowego, położonego w lasku mizernych sosenek. Jedno boisko treningowe, drugie, plac do hokeja, duża hala sportowa i wreszcie sam stadion, otwarty, z ciężkim wejściem w stylu nazistowskim.

Ledwo spojrzałem na goniących po boisku chłopców, od razu poczułem, że nie jestem w Anglii, na Chelsea, Fulham czy Spurs.

Kontynentalna piłka w dobrym wydaniu, a Niemcy grać umieją (mistrzowie świata z 1954 roku), jest bardzo różna od tego, co oglądamy na wyspie. Anglicy są ojcami footballu i wiedzą jak kopać piłkę, ale właśnie dlatego wypracowali styl gry, który nie przynosi im teraz sukcesów. Mogą dojść do ćwierćfinału mistrzostw, mogą wygrać kilka meczy międzynarodowych (głównie w domu) i na tym koniec. Podstawową zasadą angielskiej gry jest żelazna kondycja, którą wyrabia się w graczu (oczywiście zawodowym) ciężkim, nieprzerwanym trenmgiem. Drugą zasadą jest twardość, która pozwala na atakowanie bramkarza i wepchnięcie go z piłką do siatki, na zdecydowane wchodzenie w gracza, które na kontynencie błędnie uważa się za brutalność, blokowanie atakującego z narażeniem własnych kości. Trzecią wreszcie jest schemat ustawiania się i kombinacji na boisku, który wypracowuje trener i do którego wszyscy gracze stosują się bezapelacyjnie. Gdy do tego dodać morderczy i długi sezon brak zgrania w ulepionej w ostatniej chwili reprezentacji i zaskakujący styl przeciwników, otrzymujemy wyjaśnienie dlaczego Anglików spotyka tyle rozczarowań. Trudno się dziwić rozżaleniu. Przecież tyle się trenuje, tyle wkłada pracy, tylu próbuje graczy i wszystko na nic.

Sekret polega na tym, że właśnie ten ciężki trening, ten długi i błotnisty sezon, to wyławianie reprezentantów z różnych klubów, ten rygor kombinacyjny — odbierają angielskiej grze wszelki polot. Jest to gra solidna i niebezpieczna, która wystarcza na wiele, ale gdy spotka ją przeciwnik inteligentny, szybki i wystarczająco twardy — następuje katastrofa.

Przychodziło mi to do głowy, gdy patrzyłem jak młodzi Niemcy, częściowo zawodowcy, częściowo amatorzy, uwijali się po boisku, oddawali błyskawicznie piłkę, wchodzili nieoczekiwanie na niespodziewaną pozycję i strzelali z każdego kąta.

Gdyby ich przenieść, tak jak są, do Anglii i wstawić do pierwszej ligi, byliby na pewno groźni, ale czy mogliby się pokusić o tytuł? Właśnie mecz w Kolonii odbywał się na wietrze i błocie, miałem doskonałą okazję porównania i dlatego odpowiadam: nie. Rozpoczęli by sezon dobrze, zajęliby któreś z czołowych miejsc w tabeli, ale już po świętach poczęliby toczyć się w dół. Ich kondycja byłaby stanowczo niewystarczająca.

Natomiast ci sami chłopcy zgrupowani w reprezentacji państwowej, grający ze sobą na wspólnym obozie, wypoczęci, pełni werwy, głodni piłki — mogliby rozłożyć dumną reprezentację Albionu. Ale tylko w takich warunkach.

Pamiętajmy, że gdy przed laty jedenastka węgierska zadziwiła świat i pokonała Anglię na Wembley 6:3, jej gracze należeli prawie bez przerwy do zespołu narodowego, trenowali i grali razem. Nikt ich nie wyrywał z ciężko pracujących drużyn na ten czy ów mecz międzynarodowy. Oczywiście byli bardzo utalentowani.

* * *

Po meczu poszedłem oglądnąć słynną katedrę. Obchodząc wokół strzelisty gmach, nagle dojrzałem jakieś schody. Było to zejście do podziemnej salki, w której mieści się cudowna mozaika, kryjąca podłogę luksusowej rzymskiej willi z przed dwóch tysięcy lat. Odkryto ją zupełnie przypadkowo, gdy w czasie wojny, w roku 1941, budowano obok katedry schron przeciwlotniczy.

ODPOCZYNEK DLA BIEGACZY

Prawie równocześnie i nie więdząc o sobie kilku wybitnych teoryków sportu poczęło lansować ciekawy pogląd: należy biegaczom dawać od czasu do czasu pełny rok odpoczynku.

Pogląd ten jest uzasadniony. Minęły już czasy, gdy chłopak, biegający do szkoły lub roznoszący gazety, wygrywał spotkania międzynarodowe, zgarniał medale i nagrody. Dziś trening nawet sprintera jest ciężki a zaprawa średnio czy długodystansowca to poprostu katorga. Każdy przebiega dziennie, w „świątek czy piątek" około 20 kilometrów. Dochodzi jeszcze gimnastyka, zrywy, sprinty, podnoszenie ciężarów. Należałoby także dorzucić i zawodową pracę, bo lekkoatleci to wyłącznie amatorzy. Pamiętam dobrze mą rozmowę w Rzymie z Krzyszkowiakiem po jego zwycięstwie na 3.000 m. z przeszkodami. Opowiadał mi o treningu przedolimpijskim, gdy po kontuzji, próbował odrobić stracone tygodnie. Dzień zaczynał biegiem po lesie, później następowała gimnastyka w grupie innych zawodników a potem szedł na bieżnię i odbywał nową sesję. Najpierw jedno okrążenie (400 m.) na lewej nodze, pólniej drugie na prawej, potem 4 razy sprintem po 200 m., dalej 2 razy mocno po 400 m., wreszcie 2 swobodne okrążenia (800 m.) i znowu 4 sprinty. I tak dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. W zimie trochę odpoczynku, ale swoje 20 kilometrów trzeba było zrobić. Tyle zaprawa. A walka na bieżni, a szarpiące nerwy czekanie na start a mgła krańcowego wyczerpania, zasłaniająca oczy na finiszu? Jak długo można wytrzymać?

Gdyby biegaczom dawać co pewien czas rok przerwy, startowaliby dłużej i bardziej cieszyli się życiem.

Derek Johnson, srebrny medalista w biegu na 800 m. w Melbourne (1956 rhok), a obecnie wybitny komentator i znawca przedmiotu, uważa, że kariera średniodystansowca trwa od 4 do 5 lat. Trwałaby lat 10, gdyby pozwolono mu od czasu do czasu odpocząć.

Wszystkim Czytelnikom, imieniem red. Pawła Hęciaka i swoim, życzę wesołych świąt. (Może pogoda dopisze i wyskoczymy na jakiś mecz).

Józef Garliński

B.D.I.C

POKŁYW

NIEPOROZUMIENIE RODZINNE

Nic nas tak bardzo nie boli
I nic nas tak nie dotyka,
Jak przyjacielska nagana,
Czy przyjacielska krytyka.

Wróg — rzecz wiadoma — ma prawo
Wskazywać na nasze braki;
Taki już wroga przywilej
I układ stosunków taki.

Ale jeżeli przyjaciel
Wytknie nam wady, czy błędy,
Krzyk podnosimy natychmiast:
„Nie tędy droga! Nie tędy!".

Z tego wynika rzecz śmieszna
I jak nasz cały świat stara:
Że co jest wolno wrogowi,
Przyjacielowi — wara!

Wszystkim powszechnie wiadomo,
Że wśród narodów zachodnich
Amerykanin z Anglikiem
Są, jak dwaj bracia (przyrodni).

Uzasadniać nie trzeba,
Skąd ten stosunek specjalny:
Wspólność języka (tak mówią!);
Tradycji splot kulturalnej;

Szmat wspólnie poprzez stulecia
Historii przebytej drogi;
Rasowe związki, płynące
Z odległej genealogii.

Słowem, do bliskich kontaktów
Każdą mający przyczynę:
Dwaj bracia syjamscy, zrośnięci
Od pięty aż po łysinę.

By ten specjalny stosunek
Utrzymać w serdecznym tonie,
Prezydent jest dla premiera
Zawsze przy telefonie.

Na własnej swej linii, każdy
Naświetlą sobie incydent:
Co premier tutaj zadzwoni,
Tam się odezwie prezydent.

Powiedzą sobie, jak zdrowie,
Co każdy ma do roboty;
Takie są związki, co łączą
Świat anglosaskiej wspólnoty.

Aż nagle ta przyjaźń święta
Padła, jak gromem rażona,
W wyniku krótkiej przemowy
W West Point Dean Achesona.

Acheson, jakby nie wiedział,
Że się świętości nie tyka,
Wystąpił w roli mentora
Brytanii, tudzież krytyka.

Powiedział, że Brytyjczycy
Mają poważny dylemat;
Imperium diabli zabrali
A na to miejsce nic nie ma.

Bo znów Wspólnota Brytyjska,
To strasznie jest mglista postać,
Z której przy byle okazji
Też nici mogą pozostać.

Więc teraz Wielka Brytania
Na dziejów rozdrożu stoi;
Nie bardzo wie, gdzie się ruszyć,
To chciałaby, to znów się boi.

Jedyna dla niej nadzieja,
To włączyć się w Wspólny Rynek,
Bo tam jest jej przyszła rola
Tudzież dziejowy przyczynek.

Nowego nic nie powiedział;
Nie mówił specjalnie bystrze.
(Czego się można spodziewać
Po dawnym eksministrze?).

Zdawałoby się na oko,
Nie przeceniając wyników:
Ot, dziesięć wierszy petitem
Dla anglosaskich dzienników.

A tu się burza protestów
Podniosła z brytyjskiej strony:
„To się nazywa przyjaciel?
My znamy te Achesony!".

Nawet sam premier napisał,
Że pan Acheson się myli

Podobnie, jak Napoleon,
A także hiszpański Filip.

Do tegoż grona zaliczył
(By wygrać sześć do zera),
I Czternastego Ludwika,
Wilusia, tudzież Hitlera.

Tak sobie premier napisał,
A przecież — bądźmy że ściśli! —
Z posunięć rządu wynika,
Że rząd — jak Acheson — myśli.

Oddaje resztki Imperium,
Pcha w Europy się progi;
Skąd więc do słów Achesona
Stosunek tak strasznie wrogi?

Wygląda na to, że cały
Poglądów w tym leży przedział:
Co każdy myśli po cichu,
Acheson głośno powiedział.

Więc znowu polskie przysłowie
Przypomnieć sobie pozwolę,
Co zawsze było na czasie —
O prawdzie, co w oczy kole.

RAWICZ

BARAN W WILCZEJ CZY WILK W BARANIEJ SKÓRZE?

ANGLIA SPODZIEWA SIĘ...

Ogden Nash

Przypisek tłumacza: Nelson przed bitwą pod Trafalgar w rozkazie do floty powiedział: „Anglia spodziewa się, że każdy z was wykona swój obowiązek". Większość wierszy Ogden Nash'a opiera się na trzech głównych zasadach:
1) rym winien być częstochowski („verve" i „reserve",
2) rytm — to niemodny przesąd,
3) rozpiętość między rymami winna być taka, by człowiek porządnie się spocił, jadąc na rowerze między jednym a drugim rymem.

P. Borkowski

W przerwie
zastanówmy się nad Anglikami,
którzy, gdy analizują siebie, nagle
czują się zadowoleni i połechtani sami.
Anglicy słyną ze swych tradycji ceremonialnych
oraz z przywiązania do kolonij i protekcjonalności
w stosunku do ludów kolonialnych.
Gdy cudzoziemcy rozważają politykę światową,
dlaczego przez wątpliwości są zawsze osaczani?
Anglicy — instynktownie wiedzą, że cały świat
potrzebuje właśnie tego,
co jest korzystne dla Wielkiej Brytanii.
Anglicy twierdzą, że zbywa im na błyskotliwości i werwie,
lecz mówią bez zastrzeżeń o swej anglosaskiej rezerwie.

Po przysłuchaniu się małym grupkom angielskich dam i dżentelmenów

na przyjęciach, w hotelach, w Pullmanach,
nie jestem w stanie określić istoty
anglosaskiej powściągliwości,
lecz myślę, że polega ona na założeniu,
że prócz nich nie ma w towarzystwie —
żadnych innych gości.

Wszyscy młodzi Anglicy idą do Oksfordu lub Cambridge,
i wszyscy oni piszą i drukują książki grubo przed dyplomem.
I często dziwiłem się, dlaczego oni to robią,
aż zrozumiałem, że muszą to czynić,
ponieważ ich arystokratyczne dykcje
są tak przerafinowane,
iż już nie mogą oni sami zrozumieć swej mowy.

I pozostaje jedyny sposób porozumienia się — drukowanym słowem.
Anglia jest ostatnim szańcem arystokracji
i sztuka ochrony arystokracji przed wpływami handlu
została podniesiona do poziomu prawdziwej sztuki — „quite an art".
W Ameryce człowiek, bogacący się na maśle i jajkach
jest tylko bogaczem maślano-jajczarskim,
lub — co najwyżej — doktorem praw honoris causa
jakiegoś głodnego uniwersytetu,
lecz w Anglii taki człowiek,
zanim się obejrzy, już dostaje tytuł

Sir Benjamin Buttery, Bart.

Jednak sądzę, że Anglicy — to naród miły i sercu drogi.
I nawet możemy do nich się przyzwyczaić,
ponieważ oni czasem, gdy się poślizgną i upadną,
zawsze stają na swoje własne lub czyjeś inne nogi.

KOORDYNACJA...

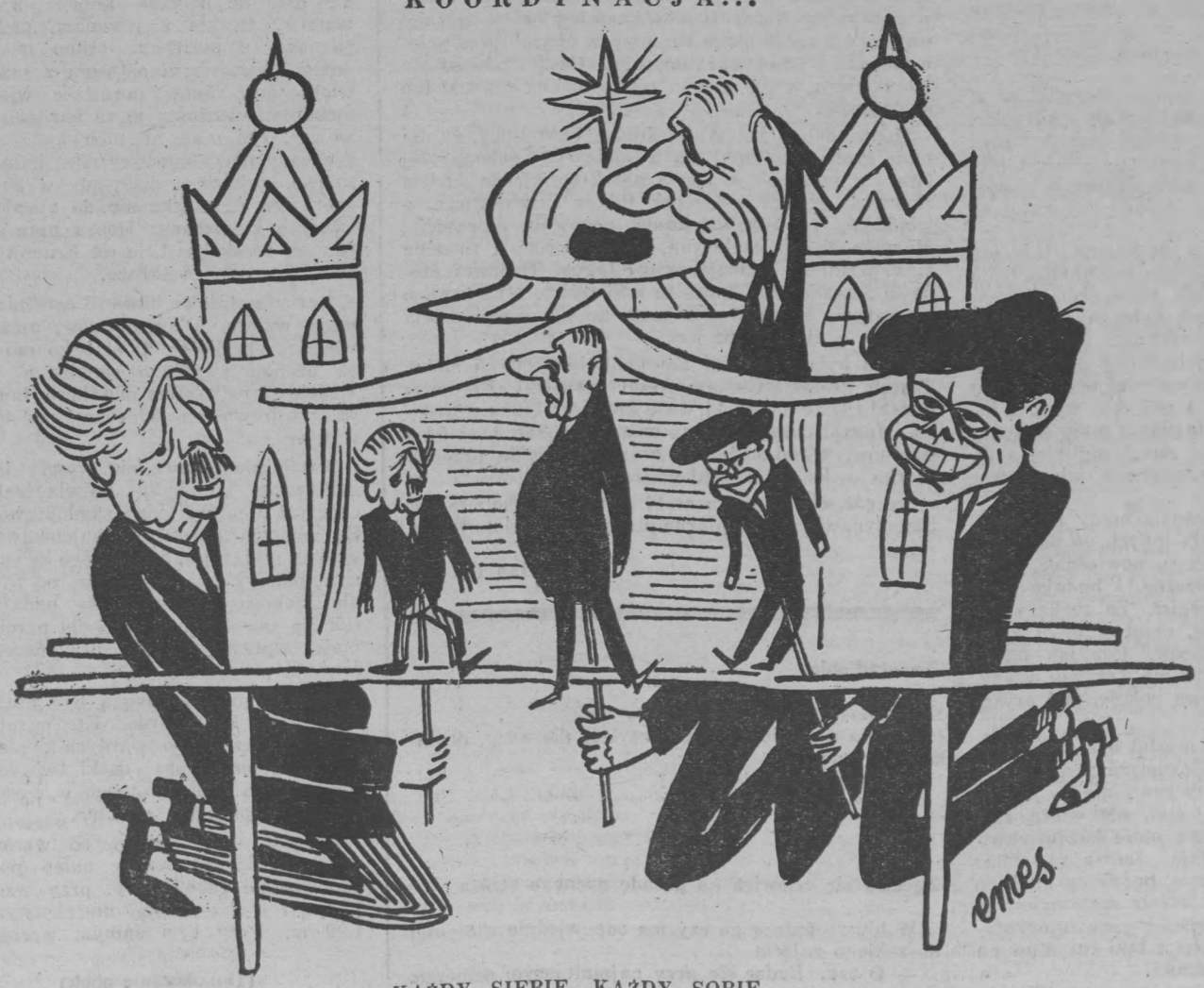

KAŻDY SIEBIE, KAŻDY SOBIE

SŁOWNIK TERMINOLOGII POLITYCZNEJ I MILITARNEJ PROF. KLEPKI

LITERA „L"

LAGUNA — wielka dziura w małej wyspie.

LAKONICZNY — facet, który mówi: „Bydlę!" zamiast: „Pańskie zachowanie jest w najwyższym stopniu niewłaściwe!".

LAMA — zwierzę o cynicznym stosunku do rzeczywistości (por „Pluć na to wszystko!").

LANCA — broń, nad którą nie masz (por. „Nie ma pana nad ułana...")

LAPSUS (linguae) — jakąkolwiek wypowiedź dyplomatyczna, mająca sens.

LETARG — permanentny stan rządu z punktu widzenia opozycji.

LEWATYWA — zabieg lekarski o zdecydowanie ludowo-socjalistycznym charakterze i źródłosłowie (w odróżnieniu od reakcyjnej prawatywy).

LICENCJA — dowód dbałości władz państwowych o właściwe zaspokojenie potrzeb ludności.

LIKWIDACJA — usprawniona forma korekty historii w ustroju komunistycznym.

LIPA — symboliczne drzewo rzeczywistości polskiej (por. prof. Pukla: „Od lipy Piastów do lipy komunistycznej").

LITERATURA — przedmiot, który przeciętny śmiertelnik trzyma w niewielkich dawkach troskliwie zamknięty w szafie.

LOKATORZY — zasadnicza część składowa domu polskiego w W. Brytanii.

LONGOBARDOWIE — plemię germańskie, cierpiące na dotkliwy brak fryzjerów.

LOTERIA — przyszłość kuli ziemskiej w dobie atomowej.

LUCYFER — zdystansowany konkurent Stalina.

LUD — podstawa władzy komunistycznej (dosłownie: lud leży, władza na nim siedzi).

LUNA PARK — Walne zebranie ONZ.

LUNATYK — facet, który już dzisiaj wybiera się na księżyc.

BILETY
KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE
Formalności związane ze sprowadzeniem rodzin z Kraju oraz wyjazdy do Polski.
Szybko, sprawnie, tanio
załatwia
TAZAB TRAVEL Ltd
273, Old Brompton Road, LONDON, S. W. 5.
Tel. FRE 1186
MANCHESTER 16
47, Gt., Western St.
Tel. Moss Side 4683
BIRMINGHAM 4
63, Dale End. Tel. Central 6260

UWAGA: Rzecz wyjątkowa!
Piękne wiersze w pięknej szacie!
„OPATOWA ANNA"
Jana Rostworowskiego
w bibliofilskim wydaniu Oficyny Stanisława Gliwy
Czerpany papier, wielobarwny ozdobny druk, niecodzienna ilustracja
Cena 12/6d
Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich w Londynie. Również pocztą (z należnością w czekach, postal orderach, gotówce) na adres:
JAN ROSTWOROWSKI
Dacrelands
LANCASTER

Lekkim piórem

WOJCIECH STEFAŃSKI

A gdzie łąbędź?

Od chwili, kiedy przyszedłem do domu z biura wiedziałem, że żona ma mi coś do zakomunikowania. Czułem to po prostu przez skórę. Zupę zjedliśmy w milczeniu, mięso także. Przy kompocie nie wytrzymała.

— Spotkałam dziś Astrachańską — zakomunikowała niby to obojętnie.

— Mhm — zgodziłem się, łykając kompot.

— Astrachańscy wybierają się na „Lohengrina". Przyjeżdża opera z Hamburga — kontynuowała, nie patrząc na mnie.

— Życzę przyjemnej zabawy — odpowiedziałem.

Żona przeszła do otwartego natarcia:

— My nigdzie nigdy nie chodzimy. Aż po prostu wstyd przed ludźmi. W towarzystwie ust się boję otworzyć. Tak nie można!

— Dlaczego? — zapytałem niewinnie.

— Nie udawaj naiwnego! Mama miała rację, kiedy mnie ostrzegała, że ty przecież nie masz żadnych zainteresowań. Owszem, lubisz zjeść dobry obiad, albo pociągnąć whisky, ale intelektualnie jesteś zero!

Oburzyłem się:

— Nie przesadzajmy, moja droga, tylko nie przesadzajmy! Kupujemy „Tydzień Polski", czy nie kupujemy? A kto był dwa tygodnie temu na „Spartakusie"? Telewizję mamy, czy nie mamy?

Spojrzała na mnie z goryczą:

— Telewizję ma byle dureń. Gazety kupuje każdy. „Spartakus" to szmira. Ja mówię o prawdziwej kulturze, rozumiesz? Teatr, opera, koncerty. Astrachańscy...

Przerwałem jej:

— Astrachańscy — to ohydne snoby. Chodzą tylko po to, żeby się móc popisać przed swoimi znajomymi. Najgorszy gatunek snobizmu, bo męczą się na tych różnych przedstawieniach potwornie. Ja — owszem — sztukę uznaję, więcej — szanuję, ale chodzić po to, żeby tylko znajomi wiedzieli, że chodzę? Nigdy!

— Jeżeli mnie jeszcze choć trochę kochasz — powiedziała żona z naciskiem. — Pójdziemy na „Lohengrina". Jeżeli Astrachański może zabrać na to swoją żonę, twoim obowiązkiem jest zrobić to samo.

Wobec tego typu argumentacji mężczyzna jest zupełnie bezradny. Klnąc Astrachańskiego w żywy kamień, wypuściłem się po bilety. Naturalnie, przed kasą był długi ogonek. Kiedy wreszcie dotarłem do okienka i spojrzałem na wywieszone ceny, zadrżałem: galeria po 10 szylingów! Następne z kolei miejsce po funcie!

— Dwa na galerię — powiedziałem stanowczo.

Sprzedający długo szukał, aż wreszcie podał mi dwa bilety.

— Ma pan szczęście — powiedział. — Dwa ostatnie.

Nadszedł na koniec wielki dzień. Żona ubrała się nad wyraz wytwornie (naturalnie, nie przyznałem się, że idziemy na galerię!) i nerwowo wypchnęła nas z domu o dobre pół godziny za wcześnie. Jechałem, modląc się w duchu, aby przedstawienie odwołano i zwrócono za bilety. Ale oświetlony jasno gmach teatru rozproszył moje nieśmiałe nadzieje. Skierowałem żonę ku wejściu na galerię. Spojrzała na mnie pytająco.

— To były dwa ostatnie bilety — wyjaśniłem.

Westchnęła:

— Naturalnie, gdybyś o tym wcześniej pomyślał...

Na koniec wylądowaliśmy na naszych miejscach w ostatnim rzędzie galerii. Widok pełnej sali i dźwięk strojonych instrumentów przywrócił żonie dobry humor. Bystro rozglądała się po sali:

— Popatrz, Podhalańscy też są na galerii, a mówiła, że mąż wziął lożę! Aplegierscy, naturalnie, nie przyszli, ale po nich trudno się spodziewać kulturalnych zainteresowań. Ciekawa jestem, gdzie siedzą Astrachańscy?

Galeria wypełniła się po brzegi, ale Astrachańskich jakoś nie było widać.

— Na pewno są na parterze, albo na pierwszym balkonie — ponuro stwierdziła moja lepsza połowa — Astrachański bardziej interesuje się sztuką od pewnych ludzi — tu obrzuciła mnie przelotnym ale ciężkim spojrzeniem.

Nie odpowiedziałem. Marzyłem w tej chwili o wygodnych pantoflach i fotelu przed telewizją. Taki był ciekawy program tego wieczora! Westchnąłem.

— Wzdychaj, wzdychaj! — pogardliwie rzuciła małżonka. — Powinieneś mi być wdzięczny za to, że ci się nie daję zdeklasować kulturalnie. Mama zawsze mówiła...

Na szczęście, w tym momencie światła zaczęły przygasać i odezwały się oklaski na cześć wchodzącego dyrygenta. Po uwerturze kurtyna podniosła się w górę, ukazując naszym oczom zaledwie sam przód sceny, ponieważ podniebnych miejsc drugi plan był absolutnie niewidoczny. Ale to nam nie przeszkadzało, bo Ortruda i Telramund konspirowali tuż za rampą. Żona powiedziała mi dokładnie treść opery w domu, więc z wielkim zainteresowaniem oczekiwałem na zjawienie się łabędzia z Lohengrinem. Oczywiście, nie rozumiałem ani słowa, bo wszyscy śpiewali po niemiecku, a ja niemieckiego ani w ząb, więc żeby zabić jakoś czas, zacząłem się zastanawiać nad wartościami łabędzi, jako środka transportu. Ostatecznie, jeżeli ludzie jeżdżą konno, czemu nie na łabędziach? Gdyby tak wynajmować odpowiednio trenowane łabędzie na Tamizie, powiedzmy po dwa szylingi za milę — biorąc pod uwagę, że łabędź sam się pożywi rybkami, czy też tym, co mu życzliwa publika z brzegu rzuci — to nie byłby wcale najgorszy interes. Nagle żona trąciła mnie w bok.

— Teraz — szepnęła.

Wpatrzyłem się z napięciem w scenę, oczekując lada chwila pojawienia się łabędzia z Lohengrinem przed krzesłami pierwszego rzędu. Nic! Na koniec naszym oczom ukazały się duże stopy, obute w złote ciżmy i ze sceny popłynęła słynna aria o łabędziu, znana mi świetnie w wykonaniu mojej małżonki.

— Gdzie łabędź? — szepnąłem.

Sąsiedzi syknęli. Żona spojrzała na mnie wzrokiem, brzemiennym nienawiścią. Złote stopy poruszały się to w lewo, to w prawo. Aria ucichła, na sali gruchnęły brawa. Stopy zaczęły się przedłużać w nogi, nogi rosnąć w tułów i przed rampą zjawił się Lohengrin. A łabędzia ani śladu!

Przy wyjściu z opery spotkaliśmy Astrachańskich.

— Świetne wystawienie! — entuzjazmowała się Astrachańska. — A już ten jego wjazd na łabędziu, to bajka!

Przytaknęliśmy skwapliwie.

Żona odezwała się dopiero przed domem.

— Nigdy, nigdy ci tego nie wybaczę! — powiedziała przejmującym szeptem. — Być na Lohengrinie i nie widzieć łabędzia!

I rzeczywiście, nie rozmawia ze mną od miesiąca.

Po namyśle doszedłem do wniosku, że łabędź to bardzo kiepski środek komunikacji.

STEFAN LEGEŻYŃSKI

W PIZIE

Na Victorii zawsze rojno. Po kilku minutach wiruje się wraz ze wszystkimi. Odprowadzałem Karola, który przyjechał na wystawę filatelistyczną. Mimo, że był tydzień, widzieliśmy się tylko dwa razy dziennie, kiedy wychodził na wystawę i kiedy późno z niej wracał, odwaliwszy jeszcze obowiązkowe codziennie kino. Zjadał co mu przygotowałem i zasiadał do telewizji, by po wysłuchaniu hymnu, i zakopaniu się pod kołdrę, oczekiwać następnego dnia wystawy. Zawsze był taki, a na znaczkach znał się diabelnie, zresztą z nich żył. Ale mniejsza o to.

Kiedy więc po pożegnaniu wracałem, zobaczyłem biegnący sznur ludzi. O tej godzinie przychodził pociąg paryski. Lubię oglądnąć twarze turystów, mają w sobie tyle ciekawych rzeczy. No a te inteligentne, śniade twarzyczki Francuzek, ich migdałowe oczy, drobne a zwinne postacie. I jak zawsze masa Polaków, których poznać po wielu rzeczach. Któryby Polak drugiego nie poznał.

Janek dźwigał dwie walizy, i gnał jak wiatr, przeganiając innych, by zatrzymać się przy okienku wymiany pieniędzy. Za nim ustawiali się szybko inni. Przystanąłem by zobaczyć ile też zmienia. Moje domysły sprawdziły się, miał tylko 10 nowych franków. Otrzymawszy szylingi wrzucił je do kieszeni i, teraz już powolutku ruszył dalej, w stronę podziemki. I oczywiście zauważył mnie. — Chodź, pogadamy w kolejce, widziałem Jadzię, kupuję dwa bilety.

— Włochy, oczywiście, to widać po moim pysku. Ale najważniejsze, że byłem w Pizie. I wiesz z kim, z Jadzią, z naszą Jadzią.

— Przecież ona jest w Ameryce, wtrąciłem, patrząc na rzeczywiście opalonego Janka.

— Była i jest. Ale do Włoch, jak każdego, pociągnęło ją. Mają kupę forsy, mąż masarz, ze starej emigracji, tato mu zostawił kilka sklepów, i Jadzia tam się zaczepiła gdy przyjechała. Podobała mu się. I ona ma samochód, on ma samochód i dwa samochody firmowe, domek pod Chicago. Jadzia zawsze miała szczęście i dobry gust. Spotkałem ich w Genui, w teatrzyku rewiowym. Śmiała się tak głośno, że poznałem że Polka, i w przerwie zobaczyłem, że to nasza Jadzia. Bardzo się ucieszyła — fajna, morowa dziewczyna. Przedstawiła mi swego męża, wiesz bardzo do ciebie podobny. Gustowała zresztą w takich ciemnych typach zawsze.

Zaciągnęli mnie do swego hotelu. Przyjechali w licznym towarzystwie, które zajęło cały budynek i dwa następne. Sami swoi, rodacy, przedstawiali mnie od pokoju do pokoju, i częstowali. Wiesz kiedy pojadę do Chicago mam tam dziesiątki znajomych rodzin. I znają się na alkoholu nie mniej od ciebie.

Potem już jechaliśmy razem do Rzymu. Gdy pociąg zatrzymał się w Pizie, Jadzia pociągnęła mnie za rękę, i powiedziała: — Całe życie chciałam zobaczyć tą krzywą wieżę. Niech jadą, my ich dopędzimy w Rzymie — Edek, krzyknęła do męża — jestem pod dobrą opieką, i zobaczymy się jutro w Rzymie. Dawaj walizy! Podał przez okno moje, i jej maleńką, pokiwał nam ręką, i odjechał wraz z innymi. Zresztą po tym przedstawianiu mnie w Genui rodakom musiał świat widzieć dosyć mglisto, a do pomysłów Jadzi się zdołał przyzwyczaić, jak ty swego czasu.

Przytaknąłem mu, ja wprawdzie nigdy nie oberwałem, ale widziałem jak prała innych po buzi.

— Piza to miasto, jakby ci to powiedzieć, dwuczęściowe. Od dworca nowoczesne, i budujące się gwałtownie, wszędzie kupy cegieł. Za rzeką stare miasto, urocze, dzikie, wąskie, omurowane, i kupa wspaniałych kościołów i pałaców. Coś jak nasza Żółkiew, tylko, że Żółkiew nie ma krzywej wieży. Tuż koło dworca wzięliśmy dwa pokoje, pod prysznic, i do wieży!

Ten kto zbudował wieżę to musiał być dowcipniś, bo łąka jest tak mokra, że powietrze jest tu niezwykle chłodne, jak na Włochy rzecz nie do pogardzenia. Katedra, przepiękna, stoi, ale wieża robi groźne wrażenie. Przewrócić się może każdej chwili, tak się przynajmniej wydaje. Jadzia zawołała: — Idziemy na wieżę, może runie, będziemy mieli co opowiadać w Rzymie mężowi. Wieża rozbrzmiewała głosami od dołu do góry. Turyści z góry fotografowali innych turystów na łące, ci z łąki turystów na wieży. Rzucano z góry cukierkami.

Gdy znaleźliśmy się na najwyższej kondygnacji Jadzia bardzo się dziwiła, że wieża stoi dalej, i pilnie szukała konstrukcji, która trzyma wieżę, która dla pucu jest nachylona, by ściągać tu naiwnych. Ale nic takiego nie znalazłszy, kazała mi tupać by jednak jakoś zawalić wieżę. Z tupania nic nie wyszło, więc poszliśmy na obiad. Ale raczej była to kolacja, bo zrobiło się ciemno, ale dalej było gorąco. Powiedziałem Jadzi dobranoc, i udaliśmy się do swoich pokojów. Zbudziłem się nagle pod wpływem bólu, jakby ktoś dźgał mnie rozpalonym żelazem. Zaświeciłem światło i zacząłem z pasją bić komary. Po chwili nadbiegła Jadzia, prosząc bym i w jej pokoju zrobił porządek. O spaniu nie było mowy, zgaszenie światła było sygnałem do nowego ataku.

Wczesnym rankiem wyszliśmy z hotelu. Ranek był cudowny, kawa, tuż przy dworcu na tarasie, fantastyczna, bułeczki też. Pierwszym pociągiem ruszyliśmy w stronę Rzymu. Nie był to dobry pociąg, trzeba było w połowie drogi przesiadać, ale im dalej od Pizy tym lepiej. Wyobrażam sobie minę gospodyni hotelu gdy zobaczyła ściany dwu pokoi w poziomkowych kropkach — polska krew wypita przez komary.

— Ale chyba nie są one malaryczne, zapytała Jadzia, gdy trąc głębokie rany po ukąszeniach komarów, jednocześnie robiła usta. — A jeżeli malaryczne, to co trzeba zrobić?

W czasie tygodnia w Rzymie rany się zagoiły, i na szczęście nie były to malaryczne bestie. Miałem też możność nieomal uratować Jadzi życie, bo gdyby nie ja zginęłaby na Hiszpańskich Schodach, na których potknęła się na szpilkach. Mam doświadczenie górskie oraz narciarskie, chwyciłem ją w ostatniej chwili, bo byłaby zdemolowała głową fontannę w kształcie łodzi, która ozdabia placyk poniżej. I kiedy tak leciała, zawołała twoje imię. Nie Edek, nie Janek, ale twoje. Dziwne są kobiety!

NAJŁADNIEJSZA Z BERNADOTTEK WYSZŁA ZA MĄŻ

Oslo, w grudniu.

W październiku panująca dynastia szwedzkich Bernadottów i cała boczna linia tego rodu, osiadła w Szwecji i używająca tytułu hrabiów, utraciły najładniejszą swoją przedstawicielkę, hrabiankę Magdalenę. Katolicki biskup Sztokholmu, John E. Taylor, związał i pobłogosławił hrabiankę w kościele św. Eugenii na nową drogę życia, którą odtąd kroczyć ona będzie razem ze swoim mężem, arystokratą belgijskim Karolem Ullens de Schooten.

A jeszcze niedawno zdawało się, że śliczna Magdalenka zostanie żoną norweskiego następcy tronu księcia Haralda i przyszłą królową Norwegii. Coś nie wyszło. Czy stanęło na przeszkodzie bliskie pokrewieństwo, czy nie dopisały inne względy — trudno dociec, co by nie było to przeminęło, skryte pragnienia dużego odłamu społeczeństwa norweskiego nie spełniły się i hrabianka została panią Ullens de Schooten i dziedziczką na pięknym zamku „Les Boulex" pod Brukselą. Ponoć gospodarstwo hodowlane na tym zamku posiada największy w Europie dobór egzotycznych kaczek i gęsi.

Uroda hrabianki Magdaleny stała się w Skandynawii wprost legendarna, gdy szła ulicą przechodnie przystawali w zachwycie a na dworze królewskim żadne przyjęcie czy bal nie mogły się obejść bez tego cudnego klejnotu, na którego blask złożyły się piękno i wdzięk a w niemałym stopniu także inteligencja. Bo ta 24-letnia bratanica zmarłej w r. 1954 norweskiej następczyni tronu, księżnej Marty, nie była panną pustą i rozkapryszoną, pilnie uczyła się i chętnie pracowała. Włada biegle kilkoma językami i świeżo ukończyła wydział historii sztuki w Instituto di Studio Romani. Była zatrudniona jako ekspedientka w dużej firmie konfekcyjnej a później uwijała się na lotnisku Bromma w charakterze przewodniczki i opiekunki turystów. Często odwiedzała Norwegię a wtedy ciasno robiło się na dworcu lub na lotnisku.

Opowiadałem już Wam, drodzy Czytelnicy, że dla mnie uroda hrabianki ma w sobie rysy polskie. Jej twarz a szczególnie oczy i nosek to wierne odbicie sławnych główek kobiecych Piotra Stachiewicza, a wiadomo, że Stachiewiczowi pozowała najczęściej Marysia Mikołajczykówna, najładniejsza a rodzona siostra Hanusi Tetmajerowej i Jagusi Rydlowej. Może to przewidzenie, może to robi tęsknota za krajem ojczystym, że zawsze kojarzą mi się wspomnienia polskie — ale tak już jest.

Duża była pompa w Sztokholmie z okazji ślubu. Trzech królów: Gustaw Adolf szwedzki, Fryderyk duński i Olav norweski, dwie królowe: Luiza szwedzka i Ingrid duńska, liczny zastęp książąt, hrabiów i baronów, wśród nich ten, któremu uciekła przepióreczka — książę Harald norweski.

No cóż, chyba pusto zrobi się w Sztokholmie i w Skandynawii, gdy ta piękna ptaszyna odleci do Belgii.

Stefan Polan

Na stadionie

— Dlaczego oni tak szybko biegną?

— Nie rozumiesz? Kto przyleci pierwszy, dostanie nagrodę.

— To po co leci reszta?

—ooOoo—

Zgłasza się człowiek na posadę nocnego stróża.

W biurze pytają go czy ma odpowiednie zdolności do takiego zajęcia.

— O tak. Budzę się przy najmniejszym szmerze.

PANI W DOMU I W ŚWIECIE

JAN CLAUDE

BIAŁY SPORT

ŚWIĘTA Bożego Narodzenia to dla wielu pań pierwsza wyprawa w góry — na śnieg. Nie wszystkie ekwipują się w narty i ciężkie buty, bo „biały sport" niekoniecznie uprawia się na zjazdach. Deptaki i dancingi Megève czy Saint-Moritz niejednej londyńskiej czy paryskiej „sportmance" mogą dać więcej emocji, dreszczyków — i sukcesów, niż karkołomne kristiannie czy szusy. Nie ryzykuje się przy tym złamanych nóg czy żeber, a najwyżej katza w godzinach przedpołudniowych. Tym paniom nic radzić nie będziemy, bo z pewnością swój biały sport znają bez pudła i kto wie, czy jeszcze nas nie mogłyby czegoś nauczyć. Góry w zimie są idealnym terenem ich działania, klimat tam jest podniecający jak afrodyzjak; wiedzą o tym wszyscy hotelarze stacji sportów zimowych, drzwi ich pokojów zamykają się i otwierają przez całą noc i „duchy" chodzą po korytarzach do świtu. Nic dziwnego, że tej kategorii „narciarzy" zjazdy nazajutrz nie kuszą.

Ale zajmijmy się tymi z naszych czytelniczek, które jednak wolą narty, albo przynajmniej nie odstawiają ich całkowicie w kąt. Jak się wyekwipować?

Zacznijmy od nart i butów, bo to podstawa ekwipunku. Początkowy narciarz nie powinien ich kupować, lecz wypożyczać. W każdym większym mieście, w każdej stacji narciarskiej są sklepy, które w tym się specjalizują i za niewysoką stosunkowo opłatą wypożyczają i narty i buty. Dziś rozmaitość sprzętu jest taka, że trudno za pierwszym razem trafić na taki model, który będzie w przyszłości rzeczywiście odpowiadać. To tak jak z mężem, nie zawsze ten pierwszy będzie najlepszy i nie zawsze nam wystarczy. .

Większe stacje zimowe francuskie wprowadzają obecnie formułę wypożyczania nart na trzy dni za 10 proc. ich ceny. Po tych trzech dniach można je zatrzymać definitywnie i kupić, albo wynająć inny model. Przy kupnie wpłacone 10 proc. uważa się za zadatek, a więc nie traci się ich.

NARTY

Dziś wybór jest dość skomplikowany, zwłaszcza dla narciarza zaawansowanego, bo gatunków i modeli jest niezliczona ilość. Dzielą się, jeżeli chodzi o materiał z jakiego są fabrykowane, na trzy grupy: drewniane, metalowe i plastykowe.

Drewniane są albo z jesionu, (najtańsze, najprostsze i lekkie), albo z hickory. Te ostatnie zawsze klejone z wielu warstw, zwykle z jesionem, podeszwa ślizgowa z plastyku. Mimo mody na narty metalowe, a ostatnio z plastyku, wielu zawodników pozostaje wiernymi hickorom, uważającą je za bardziej „nerwowe", czuje się w nich lepiej teren. Z zasady narty powinny mieć kanty metalowe, zwłaszcza dziś, gdy w 90 proc. sport ten ogranicza się do zjazdów po twarych klepiskach. Dobra para hickorowych desek kosztuje we Francji 250—300 NF, ale są i tańsze.

Narty **metalowe**, nowość ostatnich lat, mają wzięcie u zjazdowców, amatorów wielkich szybkości. U słabego narciarza są oznaką zwykłego snobizmu. Jedne modele są całkowicie metalowe, inne wewnątrz drewniane. Ich cena — od 460 NF w górę

Narty **plastykowe** nie wyszły jeszcze całkowicie z okresu doświadczalnego, choć już niektóry ekipy zaadoptowały je. Są różnych gatunków, najciekawszy z włókna szklanego, mieszanego ze specjalnym plastykiem. Są drogie, od 570 NF, ale fachowcy twierdzą, że nadają się tak dla zawodników, jak i dla narciarzy mało wprawnych. To przypuszczalnie formuła przyszłości.

Obok tego deski mogą być miękkie, elastyczne lub twarde. Kto ogranicza sport do zjazdów po twardych klepiskach, ten powinien wybrać deski twarde, natomiast kto woli uprawiać wycieczki w terenie, kupi narty miękkie.

Długość desek zależy od wzrostu i wagi narciarza. Każdy sklep posiada odpowiednie tabele. Np. przy wzroście 1.65 m i wadze 60 kg długość wyniesie 1.90 m. Przy tym samym wzroście i

(Dokończenie obok)

B.D.I.C

wadze 70 kg — 1.95 m. Przy wzroście 1.70 m i wadze 70 kg — 2 m. Moda na bardzo krótkie narty, którą lansowali niektórzy instruktorzy kilka lat temu — definitywnie minęła. Łatwo na nich wykręcić prymitywne krystianie na twardym i łagodnym stoku, ale są bardzo niebezpieczne na większych szybkościach i nie nadają się zupełnie na miękki śnieg.

BUTY

Początkowy narciarz musi sobie wbić w głowę, że buty stanowią istotną część ekwipunku — jedną całość z nartą. Muszą być wygodne i palce stopy, w skarpetce wełnianej, nigdy nie powinny dotykać nosa butów. Jeżeli się je kupuje, to nie należy zbyt oszczędzać na cenie, ale też nie należy się porywać na modele „olimpijskie", duże i ciężkie, z wysoką cholewką, pomyślane wyłącznie do karkołomnych zjazdów i slalomów, a nie nadające się zupełnie do wycieczek. But przeciętnego narciarza powinien mieć podwójną cholewkę, a więc i podwójne sznurowanie, ale nie za wysoką, by nie usztywniał nogi. Podeszwa jest sztywna, by bez żadnych luzów but przekazywał ruchy ciała nartom.

Między butem i nartą są wiązadła. Jest ich na rynku niezliczona ilość, niemal wszystkie kablowe, ale wybierając je, trzeba kupować wiązadła „bezpieczeństwa", które, jak statystyki wykazują, zmniejszają wypadki złamań nóg o 70 proc. System bezpieczeństwa jest albo pojedyńczy, działający tylko przy upadku w przód, albo podwójny — upadek w przód i na bok. Dobrze uregulowane wiązadło bezpieczeństwa zwalnia nogę przy upadku, przez co unika się złamania. Kupując je, czy wypożyczając narty, trzeba najpierw dopasować wiązadła do butów, a następnie dobrze uregulować. Przy źle uregulowanym wiązadle albo gubi się wciąż narty, albo też przy upadku nie będzie ono działać. Ta druga ewentualność jest oczywiście o wiele groźniejsza. Trzeba mieć wciąż w pamięci, że w nowoczesnej szkole narciarskiej stopa jest sztywno złączona z deską, bez żadnych niemal luzów, szybkości duże, a więc niebezpieczeństwo złamań nóg poważne. Wiązadła bez systemu bezpieczeństwa należy definitywnie wyeliminować.

Pozostają kijki. Obok tradycyjnych bambusowych, dość drogich, jeżeli są w dobrym gatunku, najpopularniejsze są aluminiowe. Długość kijków zależy też od wzrostu: Wzrost 1.65 m — kijki 1.30 m; wzrost 1.70 m — kijki 1.35 m; wzrost 1.75 m — kijki 1.40 m.

KOSTIUM

Z kostiumem narciarskim sprawa nie jest tak prosta jak ze sprzętem. Przy wyborze nart i butów zasadniczą rolę odgrywa stopień opanowania sportu i oczywiście budżet. Przy kostiumie wchodzi w grę element o wiele bardziej skomplikowany — moda. Jeżeli mam dać rzeczywiście praktyczną radę naszym uroczym czytelniczkom, które po raz pierwszy od wielu lat wybierają się w góry, to dam jedną: — nie kupujcie kostiumu w Londynie, czy jakiejś angielskiej czy francuskiej Pipidówce, lecz na miejscu, po przyjeździe. Lepiej na to stracić pół dnia, niż natychmiast przekonać się, że w tym co się wcześniej kupiło, nie można się pokazać, bo wszystkie narciarki są ubrane inaczej. Kończy się to na ponownym kupowaniu wiatrówki, czy spodni — a więc podwójny wydatek.

Spodnie narciarskie są zwykle ze zwykłego materiału wełnianego, z „trykotyny" i z „elastissu". Radzę tylko te ostatnie, choć są droższe. Są elastyczne, śnieg się ich nie czepia i leżą idealnie. Ale uwaga — wiele pań, zwłaszcza o bardzo kobiecych kształtach, ma tendencję do wyboru spodni zbyt obcisłych i napiętych. W modzie jest jedna podstawowa zasada — obcisła toaleta podkreśla obfite kształty, a nie maskuje ich. Kto ma dużą twarz i włoży na głowę mały kapelusik, przez kontrast powiększa swą twarz jeszcze bardziej. Kto ma obszerną talię czy siedzenie i opina je — uwydatnia tę obszerność, czasami do śmieszności. Któż z nas nie pokpiwa sobie z obfitych babek, które nabijając się w ciasne spodnie — robią z siebie pośmiewisko. Niestety tutaj kobiety mają najmniej samokrytycyzmu i nie mogą zrozumieć, że to co pięknie wygląda na szczupłej modelce od Diora, jest śmieszne nawet na pięknej, ale bardziej opływowej śmiertelniczce. Im obfitsze kształty — tym luźniejsza toaleta. To jest podstawowy kanon dobrego gustu.

A więc, drogie czytelniczki, nie opinajcie się zbytnio nawet narciarskimi spodniami.

Wiatrówkę nosi się na swetrze, ma ona chronić przede wszystkim — jak sama nazwa wskazuje — od wiatru, no i od deszczu, a więc być nieprzemakalna. W czasie wiatru nie ochronią od zimna nawet najgrubsze swetry, natomiast cienki pulowerek z dobrą, ale lekką wiatrówką, może całkowicie wystarczyć. Może być ona z dobrej popeliny, ale dziś niemal wszyscy noszą nylon. Kolory, krój — tu można sobie pozwolić na fantazję. Dobra, praktyczna wiatrówka powinna być długa, by zakryć nerki i mieć kapiszon, niezastąpiony na wypadek złej pogody.

Wreszcie rękawice i okulary. Bez rękawic nie wolno na narty wychodzić, bo po pierwsze w razie upadku na twardym śniegu można sobie boleśnie zranić ręce i to poważnie, a w czasie zimna odmrozić i mieć na dłuższy czas pamiątkę w postaci czerwonych paluszków. Najlepiej nosić dwie pary rękawiczek, jedną cienką, jedwabną, drugą specjalną narciarską, nieprzemakalną. Inni noszą rękawiczki wełniane, a na to rękawice nieprzemakalne z jednym palcem. Też dobre rozwiązanie, choć mniej wygodne.

W słońcu i w śniegu nie wolno być bez okularów przeciwsłonecznych. Można się nabawić nieprzyjemnego zapalenia oczu, a z pewnością nieestetycznych zmarszczek.

Pozostaje toaleta „après-ski" — po nartach, bo w butach narciarskich nie powinno się spacerować, od tego są różnego rodzaju ciepłe botki, ani w spodniach. Trudno na dancing iść w wiatrówce. Ale to wszystko to już inna gałąź białego sportu i tu dobre jest to, co poleca moda i co odpowiada urodzie narciarki. Od zwykłego wzorzystego sweterka do „narciarskiego" kombinezonu ze srebrnej czy złotej lamy, dla popisów w „bossa nova".

Jean Claude

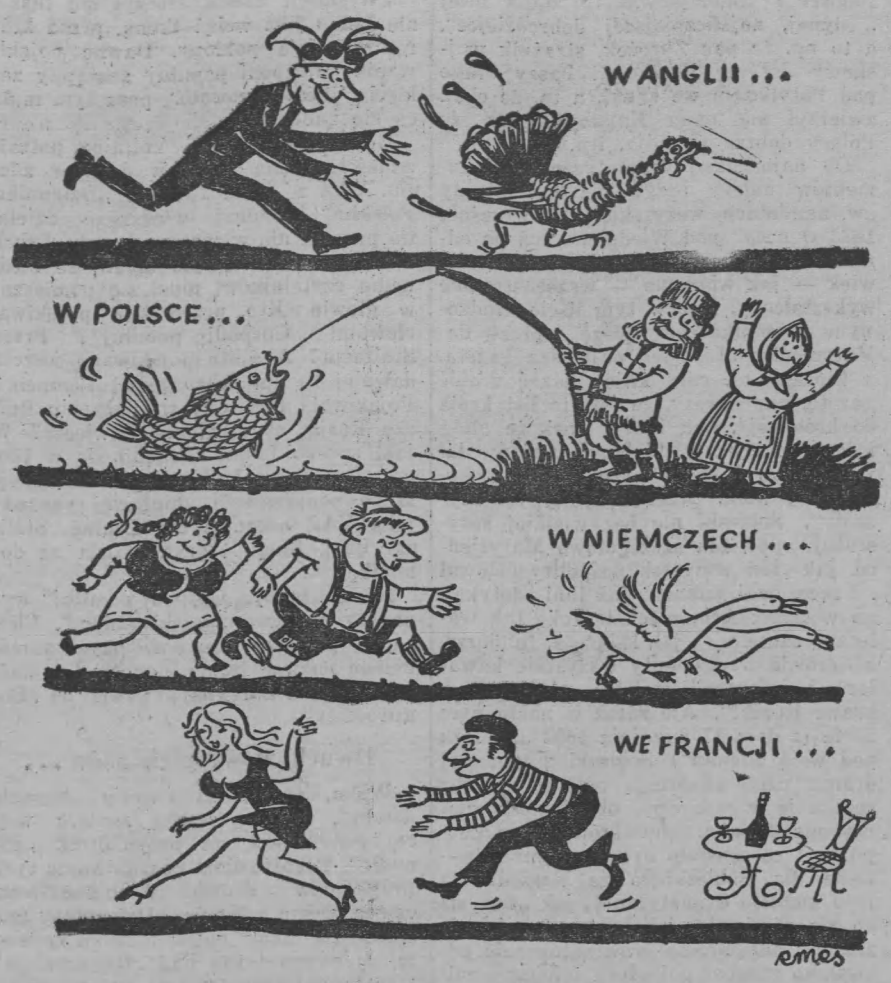

OLGA ŻEROMSKA

GRUDZIEŃ

A więc jest grudzień, ostatni miesiąc roku.

Słońce, które znajduje się pod znakiem Łucznika, przechodzi 21-go w znak Koziorożca i rozpoczyna się wówczas kalendarzowa zima. Na półkuli południowej rozpoczyna się na odmianę kalendarzowe lato, ale to nam nic, absolutnie nic nie pomaga i w dalszym ciągu chuchamy w zmarznięte palce. Noce są coraz dłuższe i zmrok coraz wcześniej obejmuje świat. Dzień, który w ciągu miesiąca skraca się o kwadrans trwa już tylko 9 godzin 33 minuty, a po najdłuższej nocy roku (24 grudnia) przybywać zacznie światła dziennego tylko „na kurzą łapę, na barani skok" — jak głosi stare polskie porzekadło.

W starożytnym Rzymie, w miesiącu grudniu oddawano cześć Saturnowi, potężnemu bogu urodzajów i panu legendarnego złotego wieku. Rzymianie świętowali solidnie i przydługo. Saturnalia rozpoczynały się 17 grudnia, a trwały... aż do Nowego Roku, który jak i dziś obchodzono 1 stycznia. Ubierano domy zielenią, instalowano w atrium zielone drzewko, bogom składano w ofierze malutkie nieletnie prosię a chciwie pożerano dobrze podtuczone świnki, grano w kości i bawiono się, ile wlazło. Wszelkie figle, wszelkie zabawne kawały przyjmowane były mile i pobłażliwie. A że Saturn był władcą złotego wieku szczęścia i sprawiedliwości, więc na początku Saturnaliów co porządniejsi Rzymianie wybaczali sobie wzajemnie urazy, a do udziału w świętach dopuszczali nawet niewolników.... ba! zdarzały się chwile, w których panowie usługiwali własnym sługom! Długie święta boga Saturna nie wykluczały innych uroczystości. Legiony rzymskie przyniosły z Azji piękne obrzędy Mitry i w dniu 25 grudnia obchodzono święto Narodzenia Niezwyciężonego Słońca, a w wigilię tego dnia święto umarłych.

Grudniowy kalendarz chrześcijańskiej Europy przynosi nam miłe sercu święta. 6 grudnia Święty Mikołaj przyjeżdża triumfalnie w ciągniętych przez renifery saneczkach i przywozi grzecznym dzieciom piękne i kolorowo owinięte podarki. (Nigdy w dzieciństwie nie rozumiałam, czemu w równej mierze ze mną, która starałam się być grzeczna, obdarowywał i moją siostrę-ciemiężycielkę, którą zgodnym chórem ogłaszano za diabełka w ludzkiej skórze. Byłam na najlepszej drodze do tego, by w wieku lat sześciu stać się kompletną ateistką!). Dwudziestego piątego grudnia są święta Bożego Narodzenia, ale sercu każdego Polaka, obojętnie gdzie los go rzuci, bliższa jest i droższa Wigilia. Dzień św. Jana Ewangelisty przypada 27 grudnia, a 31 grudnia św. Sylwester przynosi noc huczącą od zabaw i życzeń, a w spadku zostawia ból głowy i często gęsto pustkę w portfelu.

Ludzie urodzeni w grudniu przychodzą przeważnie na świat pod znakiem Zodiaku, który przedstawia centaura strzelającego z łuku. Sagittarius, Łucznik, ostatni ze znaków ognia jest symbolem pędu ku wielkiej przygodzie życia. Małe dziecko, które pcha się wszędzie, przewraca się, podnosi i potłuczone biegnie dalej, dziecko, które ciężko znosi zakazy, a w furię wpada przy najmniejszej niesprawiedliwości wyrasta na wędrowca, odkrywcę, asa lotniczego, astronautę, wodza, polityka, mistrza świata w tej czy innej gałęzi sportu, generała czy marszałka. Jeżeli los mu nie poszczęści, zatrzaskują się za nim drzwi więzienia.

Astrologowie twierdzą, że każdy Sagittarius — to materiał na przywódcę, zrozumiałe więc, że nie nadaje się na kancelistę, czy sierżanta-szefa. Wciśnięty w rutynę biurową, dusi się, a koledzy jego powolutku dostają bzika. Od czasu do czasu, gdy zabolą go nogi w pędzie gonitwy za wielką przygodą, Sagittarius wdziewa pantofle i przypomina sobie wówczas, że ma coś w rodzaju rodziny. Nie jest to małżonek idealny i warto przestrzec przed nim kobietę-kwoczkę, kobietę-dziecko czy też kobietę-kociaka. Lotnicy Blériot, Guynemer, Lindbergh i Saint-Exubery, wojskowi jak wielki Kondeusz, Lyautey, de Gaulle, Franco, politycy Clemenceau i Churchill urodzili się pod znakiem Łucznika i każdy z nich mógłby wypowiedzieć te słowa: „nie chodzi o to, by przeżyć, chodzi o to, by zwyciężyć!". Artyści urodzeni pod tym znakiem — to Beethoven i Berlioz. A kobiety? Są upárte, samowolne i często na złość, przez przekorę robią po swojemu. Królewna z bajki, która poślubiła pasterza, pasterka, która zdobyła królewicza należały pewnie do nich. Były wśród nich wielkie mistyczki, wielkie święte i wielkie grzesznice. Była królowa szwedzka Krystyna, słynna Madame Récamier i Maria Stuart, i nasza Gabriela Zapolska. Nie były to kobiety łatwe w pożyciu. Flaubert, sam Sagittarius, stworzył arcytyp Łuczniczki — Madame Bovary. Ale wielkie sufrażystki, społecznice, sportsmenki, nauczycielki, lekarki, posłanki rodziły się przeważnie pod tym znakiem. Trudno — nie każda może być kwoczką domową i nie można jej tego tak bardzo brać za złe.

Druga połowa grudnia upływa pod znakiem gorączkowych zakupów i pisania życzeń świątecznych. Właściciele sklepów snują słodkie marzenia, że sprzedadzą wszystko, co tylko mają. Dzieci wyciągają łapki do lalek, do misiów, do wspaniałych zabawek, które puszą się na wystawach. Kryzys kubański minął, skończyły się wstrętne mgły, które nawiedziły północną Europę i kobiety spokojniejsze i w lepszym humorze przeglądają po raz dziesiąty swoją garderobę i żurnale mód. Dyktatorzy elegancji radzą dobrotliwie nabyć czarne sukienki, des petites robes noires, skromne lecz chędogie, które przybrać można czym się da — białym kołnierzykiem, broszką brylantową, złotym naszyjnikiem — zależnie od stanu kasy. Na uroczystości w szerszym gronie rodzinnym radzą długie spódnice barwne i z wysokim stanem — mogą być one z aksamitu, mogą być nawet z tweedu. Kolor czerwony, pomarańczowy, szafranowy wnosi barwną nutę w szare dni grudniowe. O modnych strojach narciarskich pisać nawet nie chcę, wszelkie słowa bledną wobec orgii kolorów, tkanin i modeli! Na łamach wielkich pism pośród artykułów o Wspólnym Rynku, wspólnej broni atomowej i wspólnej akcji w obronie Indii zaczynają pojawiać się motywy Bożego Narodzenia, a na rynkach i przed sklepami choinki. Warto pamiętać, że pierwsza choinka na świecie — jak głosi tradycja — zapłonęła przed wielu wiekami w Alzacji, przybrana przez „Christkindl" gwiazdkami z nieba i łańcuchami z błyskawic dla ubogiego sieroty Hansalli.

Wśród gorączki przygotowań świątecznych, wśród tempa dzisiejszego życia oderwani od rodzinnego kraju Polacy nie zapomną swoich tradycji i swoich polskich świąt z opłatkiem, szopką i kolędami. Wśród rozlicznych zajęć, w stałej gonitwie za czasem, który ucieka z przerażającą szybkością katolicy znajdą chyba chwilę czasu, by przypomnieć sobie, że grudzień — to adwent, czas oczekiwanie na przyjście Boga. Dostojna tradycja starej Rzeczypospolitej kazała królowi i przedstawicielom wszystkich stanów stawiać zapalone świece na ołtarzu w czasie roratów z pięknymi słowami „Otom gotowy na sądy Boże". W kościołach dawnej Polski w czasie adwentu grały fujarki i ligawki pastusze, te same, które radośnie powitały niegdyś Boże Dziecię w stajence. W tę noc przedziwną, noc radości i nadziei, noc, w której — jak powiada wielki poeta polski — każdy odkryć i powitać powinien Boga w stajni biedniejszej niż betlejemska — w swoim własnym ludzkim sercu.

Co warto zjeść?

PORC FILLET CHASSEUR

Doskonała polędwiczka wieprzowa, gotowa w 25 minut.

2 kawałki polędwiczki wieprzowej (około 2 lb., lub kilo),
1 cebula,
1 oz. (3 deko) masła,
sok z jednej cytryny,
1 szklanka białego wina,
1 szklanka kwaśnej śmietany,
1 łyżka mąki.

Posiekać drobno cebulę. Wrzucić dwa całe kawałki polędwiczki na gorącą patelnię z roztopionym masłem i dobrze przyrumienić ze wszystkich stron. Dodać posiekaną cebulkę i poczekać aż nabierze złotego koloru. Wlać sok z cytryny i wino, przykryć patelnię pokrywą, i dusić na wolnym ogniu przez 15 minut. Wyjąć polędwiczkę, pokrajać na kawałki grubości mniej więcej 2 cm obtoczyć je w mące i wrzucić z powrotem na patelnię. Jak mąka przyrumieni się na złoty kolor zalać śmietaną i dobrze podgrzać nie zagotowując.

KRAB SOUFFLE

4 łyżki masła,
2—3 łyżek mąki,
1 duża szklanka mleka,
8 łyżek tartego sera,
6 ozs (ćwierć kilo) ugotowanego kraba (może być z konserwy),
4 żółtka,
5 białek,
sól do smaku.

Przyrządzić biały sos (znacznie lepiej na parze niż na bezpośrednim ogniu) tzn. rozpuścić masło, dodać mąkę i dobrze rozprowadzić, dodać mleko — stale dobrze mieszając dopóki sos nie zgęstnieje. Wsypać utarty ser, dodać sól i pieprz do smaku i podgrzewać dopóki ser całkowicie się nie rozpuści. Dodać kraba — uprzednio pokrajanego w kawałki — i odstawić z ognia. Rozbić żółtka i dodać od nich gorący sos. Ubić białka na sztywną pianę i powoli dodawać sos, wolno mieszając. Wlać całą masę do wysmarowanego masłem odpornego na ogień naczynia i wstawić do umiarkowanie gorącego pieca na 25—30 minut.

KURCZĘ W SOSIE PAPRYKOWYM
(Poulet Paprica)

1 kurczę,
sól i pieprz do smaku,
1 łyżka masła,
1 łyżka papryki,
4 małe cebule,
2 ząbki czosnku,
1 szklanka wody albo smaku,
6 pomidorów obranych ze skórki,
1 łyżka mąki,
1 szklanka kwaśnej śmietany.

Pokrajać kurczę na ilość żądanych porcji, dodać soli i pieprzu i wrzucić na gorące masło. Dodać posiekaną cebulę i roztarty z solą czosnek. Jak kurczę i cebula przyrumienią się na złoty kolor dodać paprykę i pokrajane pomidory. Po kilku minutach zalać szklanką wody (albo smaku), szczelnie przykryć i dusić 1 godzinę. 3 łyżki śmietany zmieszać z mąką i rozetrzeć na gładką pastę. Odstawić kurczę z ognia, dodać śmietanę rozrobioną z mąką i powtórnie zagotować. Zalać resztą śmietany i odstawić z ognia. Podać z mizerią albo sałatą ze świeżych owoców.

Staszka

NAJLEPSZE ŻYCZENIA
WESOŁYCH i MIŁYCH ŚWIĄT
oraz
SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
składa swoim Klientom
DYREKCJA
Firmy ZYLAN Ltd.
55, PIETFIELD STREET, N. 1.
TEL. CLE 2951
IMPORT—HURT ŻYWNOŚCI i DELIKATESÓW

KALENDARZYK KOMBATANTA 1963
Do nabycia w GRYF PUBLICATIONS LTD., 169, Battersea Church Road, LONDON, S.W.11 i we wszystkich księgarniach polskich
w cenie 4/6 w reksynie i 7/6 w skórce

POŁKA KSIĘGARSKA

JAN SOBIESKI, LISTY DO MARYSIEŃKI. Opracował Leszek Kukulski. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Ilustracje zebrał Aleksander Król. Warszawa 1962. Czytelnik. Str. 643, 5 nlb. Nakład 8.250 egz.

Pierwsze wydanie listów Sobieskiego ukazało się sto lat temu w 1860 r. staraniem A. Z. Helcla na podstawie odpisu, dokonanego przez Jerzego Samuela Bandtkiego na przełomie XVIII i XIX w. Nie zachowały się bowiem oryginały listów. Było to wydanie ściśle naukowe o niewielkim nakładzie, dziś już prawie niedostępne nawet w wielkich bibliotekach.

Obecne wydanie zawiera około czterech piątych zachowanej korespondencji, „jej podstawowy zrąb romansowy i polityczny" w latach 1665—1683. W szczególności „Listy" związane są z okresem rokoszu Jerzego Lubomirskiego, rozłąki, spowodowanej wyjazdami Marysieńki do Paryża, z podlwowskimi kampaniami wojennymi lat 1675 i 1676, z wyjazdami na polowania oraz z wyprawą wiedeńską. Wydawca L. Kukulski wprowadza czytelnika do „Listów" z każdego okresu zwięzłymi, umiejętnie zebranymi informacjami z życia prywatnego Sobieskich i życia politycznego Rzeczypospolitej. Wydanie zaopatrzone jest w wykaz godności i urzędów Rzeczypospolitej, w indeks osób oraz w 16 starannie wybranych ilustracji.

Boy-Żeleński w swej „Marysieńce Sobieskiej", wydanej podczas dwudziestolecia, odkrył, można powiedzieć, Sobieskiego-pisarza na podstawie pierwszego wydania „Listów". Ale vie romancée autora „Słówek" nie może zastąpić wrażeń i przemyśleń, których dostarcza lektura „Listów". Klasyfikację tych wrażeń narzuca podział tematyki na prywatną i publiczną albo raczej na sprawy miłosne autora „Listów" i na sprawy Rzeczypospolitej.

„Listy" są pamiętnikiem miłosnym Sobieskiego (naprzód wielkiego marszałka koronnego, gdy był kochankiem Marysieńki z domu d'Arquien, wojewodziny sandomierskiej Zamoyskiej; następnie wielkiego hetmana koronnego, gdy ożenił się z owdowiałą, młodziutką Marią Kazimierą; wreszcie króla). Pamiętnik to niewątpliwie osobliwy w literaturze światowej, tym bardziej, że nie przeznaczony przecież przez autora do druku, a więc absolutnie, nieraz ponad miarę szczery.

W stosunku Sobieskiego do Marysieńki uderza nie tylko jego krwista zmysłowość, połączona z romantyczną, wcale nie 17-wieczną tęsknotą do wielkiego, potężnego przeżycia miłosnego, ale również niewyczerpana cierpliwość i gotowość do wybaczania krzywd, jakie mu wyrządzała raz po raz kobieta chorobliwie histeryczna, zarozumiała egoistka, złośliwa intrygantka, lubująca się w sadystycznym znęcaniu się nad rozkochanym w niej człowiekiem.

Granice tej uległości były jednak — trzeba przyznać — bardzo wyraźne. Tam, gdzie na szwank miał być narażony honor hetmana czy króla, tam zwłaszcza, gdzie ofiarą miłości miałby paść patriotyzm kochanka i męża — tam Sobieski był nieustępliwy, a nawet szorstki, zaczepny i gniewny w listach do swej — jak ją nazywał w inwokacjach — „wszystkiej duszy, życia i myśli pociechy, najśliczniejszej, najwdzięczniejszej i najukochańszej Marysieńki, jedynego serca mego pana". Gdy np. Marysieńka — jeszcze nie królowa — dążyła do wyrobienia mężowi łask i kariery u Ludwika XIV. aby stworzyć warunki, w których Sobieski mógłby na stałe zamiszkać we Francji — trafiała na zdecydowany opór. Sobieski nie ruszył się z Polski, pozostał w Żółkwi, „bo tak ślicznego i obfitego kraju po świecie szukać". Jakże zresztą miałby się ekspatriować, gdy w liście z obozu wojennego pod Lwowem w 1670 r. pisał: „Jakubka (tj. syna) pocałować i obłapić; dla którego wziąć przynajmniej białogłowę Polkę, bo jeżeliby tak miał mówić po polsku, jako Anusia albo Estka, mając Polaka ojca, po polsku nie będzie umiał albo że będzie źle pronuncjował".

„Listy" są nadto kapitalnym źródłem orientacji w tle politycznym i obyczajowym grupy magnackiej, rządzącej Polską, poświadczają najwyższym autorytetem koronnego świadka nędzę moralną, prywatę, gotowość do zdrady, zawiść i korupcję tej „elity". „A im się kto lepiej ma w tej ojczyźnie — czytamy w liście ze Lwowa z dnia 28 lipca 1675 — tym mniej dla niej czyni. Nikt o publice nie myśli, tylko o swojej własnej prywacie; jedna zaś moja nieszczęśliwa głowa pewnie już temu więcej nie wydoła". (Nawiasem dodać tu należy, że Sobieski cierpiał na chroniczne bóle głowy). Tam jednak, gdzie była okazja do optymizmu i pochwały, Sobieski nie posiadał się z radości i komunikował to zaraz swej „jedynej, najśliczniejszej dobrodziejce", a to np. że pan Zbrożek, strażnik wojskowy dał się Ibraimowi baszy srogo pod Potyliczem we znaki, a to, że chan zwierzył się panu Karwowskiemu, że Polacy dobrze się biją, itp.

Do najbardziej dramatycznych dokumentów należy oczywiście list pisany „w namiotach wezyrskich 13 września 1683 w nocy" pod Wiedniem, tuż po odniesionym zwycięstwie. Sobieski, człowiek — jak wiadomo — wszechstronnie wykształcony, jest w tym liście urodzonym dziennikarzem, pisze wprost do Marysieńki: „List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat kazać zrobić gazetę, napisawszy, że jest to list króla do królowej", list, który głosi, że „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały". Sobieski nie bez wielkiej satysfakcji opowiada szczegółowo Marysieńce, jak „lud wszystek pospolity całował r. i ręce, nogi, suknie", jak inni „dotykali go wołając: Ach, niech tę rękę tak waleczną całujemy", jak książęta, żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawaler". i infanterii wołały: „Ach, unzer brawe Kenik!". Ale zaraz w następnym liście (z dnia 17 września 1683 „z obozu pod wsią Szenau") Sobieski z niemniej dramatyczną ekspresją opisuje chłodne spotkanie z cesarzem, obraźliwe zignorowanie Jakuba, syna króla przez Leopolda (co musiało być szczególnie bolesne dla Sobieskiego ze względu na jego ambicje dynastyczne), jak „wszystko się odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano": odmawiano prowiantów, nie pozwalano grzebać poległych żołnierzy polskich na cmentarzach, okazywano niewdzięczność na każdym kroku, itp.

„Listy do Marysieńki" stanowią lekturę rzeczywiście przejmującą. Ułatwia ją szerszemu ogółowi czytelników inteligentne zastosowanie przez wydawcę daleko idącej modernizacji siedemnastowiecznej polszczyzny Sobieskiego oraz tłumaczenie licznych wtrętów francuskich, używanych przez króla dla zrobienia przyjemności Marysieńce, która nigdy nie nauczyła się dobrze języka polskiego (chociaż go doskonale rozumiała) i listy swe pisywała prawie wyłącznie po francusku.

Mimo, że „Listy" są wznowieniem po s. latach, nie waham się ich nazwać książką 1962 w Polsce. S. M.

ERRATA

Ostatnie zdanie w „Półce Księgarskiej" o „Słowniku języka Adama Mickiewicza" („Orzeł Biały", nr 49) zostało w druku zniekształcone. Poprawnie brzmi ono: „Przewodniczący PAN prof. T. Kotarbiński wielokrotnie podkreślał w ciągu mijającego roku (m.in. na zebraniu PAN w sprawie perspektywicznego planu nauki), że humanistyka w „Polsce Ludowej" jest kopciuszkiem, lekceważonym i zepchniętym na marginesy twórczości".

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

„W Rosji Stalin stoczył się nisko, ale Lenin jest wciąż Ikoną, przed którą Ruś bije pokłony. Dawne pojękiwania ' Gospodi pomiłuj' zastąpiły zaklęcia 'Iljiczu prowadź', poza tym mało co się zmieniło".

Geniusz na miarę Voltaire potrafi zmieścić jedną myśl w jednym zdaniu. VAZ z „Tu i Tam" w „Dzienniku Polskim" dokonał większego dzieła. Co prawda nie w jednym lecz w dwuch zdaniach zmieścił tyle myśli, że biednemu czytelnikowi musi się pomieszać w głowie. Kto przed kim pojękiwał słowami „Gospodi pomiłuj"? Przed Stalinem? A może pojękiwano jeszcze dawniej to zn. także przed Leninem? Pojękiwała Ruś. Czy w znaczeniu Ruś, czy Rosja, czy Związek Sowiecki? W jaki sposób Lenin zamienił się w Ikonę? Pewno symbolicznie, dla dobitniejszego podkreślenia zbiorowej pogardy jaką VAZ odczuwa dla Lenina, Stalina, Rusi, Rosji, i prawosławia na dokładkę.

Nie sądzę by „Gospodi pomiłuj" wypadało nazywać „pojękiwaniem". Chyba, że się chce tym dowcipnym określeniem nazwać każdą modlitwę, w każdym języku. Zaczynając pewno od „Bogurodzicy".

Dwuch złowrogich asów...

Wiem, że są na świecie „zapadłe dziury". Można pewno znaleźć więcej przykładów na przymiotnik „zapadły". Pozostawiam poszukiwanie tych przykładów drowi Wieniewskiemu, czuwającemu z łamów „Dziennika" nad czystością mowy polskiej. Mam nadzieję, że czuwa także nad „Dziennikiem" i życzę mu szczerze by „Dziennik" jego nauki brał sobie do serca.

Zaoszczędziłoby to nam czytania wiadomości o „zapadłej decyzji". Jest czasownik „zapadać". Gdy czytamy: „Zapadła decyzja", rozumiemy, że po ciężkim wysiłku ktoś coś postanowił. I wówczas dziennikarze powinni umaczać pióra w atramencie i pisać: „decyzja, która zapadła". Dalszy ciąg jest obojętny.

Zmartwiła mnie ta „zapadła decyzja" w artykule zaczynającym się od słów: „Dwóch asów ze świty politycznej prezydenta Kennedy'ego ściągnęło na siebie...". Dwóch asów czy dwa asy? Przypomina to anegdotę o facecie, który nie wiedział jak zamówić w kawiarni dwie kawy. Zastanawia się: dwuch kaw- dwojgu kawom? dwaj kawowie? Wreszcie mówi kelnerowi: trzy kawy, jedna nazad.

Ciężki jest żywot dziennikarza na emigracji. Jakby nie dość było kłopotów z polską gramatyką i składnią, trzeba jeszcze tłumaczyć teksty z angielskiego, co po dwudziestu latach obcowania z tym językiem jest zadaniem na siły herosa. „Admitting progress" niekoniecznie należy wykładać jako: „przyznając postęp". I wreszcie ta sytuacja Europy... „chaotyczna, słaba i złowroga" — powiada Dean Acheson. W nawiasie, na wszelki wypadek „ominous". A mnie się zdawało od dziecka, że „ominous" oznacza: nic dobrego nie rokujący. Tyle słów po polsku? „Złowrogi" — to znacznie oszczedniej. Racja, lecz, niestety, znaczy co innego. Nawet słownik Stanisławskiego, który tyle szkód wyrządził dobrym stosunkom Polaków z Anglosasami nie podaje chyba „złowrogi"? Poszukajmy... „Onager" — dziki osieł, „Omnibus" — omnibus, „Omentum" — błona kiszkowa... Jest! „Ominous" — złowróżbny.

Ustalenie różnicy między „złowrogi" i „złowróżbny" pozostawiam konferencji redakcyjnej w „Dzienniku", na której głos decydujący należy się redaktorowi naczelnemu. Jeśli nie z innej przyczyny to dlatego, że jest także prezesem Związku Pisarzy.

Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej

Aha, zachęta do przedpłaty — pomyśli sobie czytelnik. Tak. Zaraz powiem kto, co, jak i gdzie. Lecz zanim to zrobię — kilka „dlaczego?".

Dlaczego ludzie, mieszkający w Buenos Aires, Sztokholmie, Paryżu, Londynie i Nowym Jorku przygotowują wydawnictwo naukowe, które nie może przecież zaciekawić t. zw. szerokich rzesz? Dlaczego trawią miesiące i lata na pracę, nie tylko trudną ale i niewdzięczną gdyż nie niesie za sobą poklasku?

Odpowiedź jest krótka: uważają za swój obowiązek obojętnie w jakich warunkach przeciwdziałać spłycaniu kultury polskiej pod hasłem naiwnie pojmowanej utylitarności.

Może kogoś przekonałem. Jeśli tak, oto dane praktyczne. Wydawnictwo pod redakcją Szymona Konarskiego opracowuje w tej chwili tom pierwszy. Ma się ukazać wczesną wiosną. Tom drugi przewidziano na lato 1963. O szczegóły tj. skład komitetu redakcyjnego , nazwiska autorów i t.p., można się zwrócić do redaktora (25 rue Taitbout, Paris 9), lub do: K. Pilewski, 12 Kenilworth, Rd London. W. 5.

A kto mi wierzy na słowo, może o nic nie pytając przesłać £. 2.2.0., $ 6 lub 30 NF na te same adresy.

Ciocia z procą na kanapie

Przedmiot zwany „Skybolt" ma, względnie miał, służyć do „odstraszania". Przedmiotów takich jest więcej. Jedne wozi się w łodziach podwodnych, inne leżą ułożone w zgrabne stosiki koło dział artylerii atomowej. Jeszcze inne zawiesza się pod kadłubem samolotów. Wszystkie razem stanowią t.zw. „deterrent" którego skuteczność uczeni obliczają a dziennikarze opisują w gazetach. Opisy zamiast budzić grozę powodują ziewanie. Bo dla przeciętnego śmiertelnika różnica między dwustu i tysiącem kilometrów promienia zniszczenia lub milionem i miliardem megaton jest raczej obojętna.

Skuteczności odstraszających przedmiotów dotychczas nie wypróbowano praktycznie i miejmy nadzieję, że nigdy ich się nie wypróbuje. Niemniej coraz więcej jest amatorów posiadania tych przedmiotów. Anglicy „są trzecią siła atomową". Ich „deterrent" jest malutki, ot taki sobie kamyczek obok potężnych skał amerykańskich i sowieckich. „Skybolt" miał być procą z której kamyczki można by było wyrzucać. Lecz proca okazuje się kosztowna, nawet na kiesę amerykańskiego kuzyna, który miał ją angielskiej cioci kupić w prezencie. „Ja cię obronię — powiada kuzyn — mam dubeltówkę, na co ci ciociu proca?" „Ja chcę procę" — krzyczy ciocia i zasiada obrażona na kanapie — „mnie się proca należy".

Tak wygląda w niedokładnym skrócie amerykańsko-brytyjski spór o „Skybolta".

Pikanterii dodaje dyskusja na temat urody cioci. Dean Acheson powiada: owszem, była z niej ładna i zuchowata dziewucha, lecz jej minęło, jak wszystko na świecie. Postarzała się, nikt się na nią ani za nią nie ogląda. Szanują ją, ale szacunek dla cioci to proszę państwa nie to samo co zachwyty nad hożą dziewoją... „Nieprawda, krzyczy ciocia, jestem ciągle śliczna a jeśli się komu nie podobam to ma zły gust. Ja się sobie podobam".

W polityce nazywa się to impas. Na szczęście życie to nie tylko polityka a narody nie mają wieku. Naród, który dziś jest „stary" może się za kilka lat okazać zupełnie „młodym". Anglii zdarzało się to już nieraz w historii. Z procą czy bez procy zdarzy się pewno i teraz.

Listonosze

Pisałem o listonoszach wiele razy w życiu i nie mogę oprzeć się pokusie napisania jeszcze raz. Nie odmawiam też sobie nigdy przyjemności zamienienia kilku słów z listonoszem ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Zwykle przychodzi, co zapisuję na dobro jego zawodu.

Jeśli jest zawód, który by symbolizował „dobrą wolę" między ludźmi, to jest nim roznoszenie listów po domach. Listów i paczek. Zdarzają się wśród roznoszonych, listy przykre i listy bolesne nie mówiąc już o upomnieniach o niezapłaconym rachunku za elektryczność. Lecz widok listonosza osładza przykrość i ból. Bo po każdym złym liście zawsze, prędzej czy później przyjdzie list dobry.

Listonosz przyniesie go w słotę i w upał, w piękny pogodny wieczór wiosenny i w ponury zmrok grudniowy. Przyniesie go rano, gdy się jeszcze golisz i przyniesie go w południe, gdy cię nie ma w domu. Wówczas zostawi ci list by cię powitał po powrocie z pracy.

Różni są listonosze w różnych krajach. We Francji, gdy jemy z przyjaciółmi śniadanie, wkracza do kuchni i jego „Bonjour msieu'dames" dodaje smaku kawie i jest sygnałem zapalenia pierwszego papierosa, tego najmaczniejszego ze wszystkich. W miasteczkach amerykańskich widzisz go z daleka przez trawnik jak wpycha co przyniósł do metalowej skrzynki na kołku. W Anglii dzwoni krótko i radośnie wrzuciwszy listy zwykłe a długo i donośnie gdy ma doręczyć paczkę lub list polecony. Niekiedy listonosze jeżdżą samochodem, niekiedy na rowerze pracowicie pokonują wyboje by dostać się do samotnego domku daleko za wsią. Są kraje gdzie potrzebny im jest koń — a są i takie gdzie służy im helikopter. W miastach dźwigają wór na plecach, pogwizdują w pogodę i kaszlą gdy jest mgła. Szanujmy listonoszy bo to dobrzy ludzie.

I znowu święta

Jak co roku pójdzie przez świat chrześcijański fala ciepła i serdeczności, nawet gdy na dworze będzie mróz lub nie daj Boże deszcz. Dzieciom roziskrzą się oczy a starszym przypomną się inne święta — lepsze lub gorsze. Wspomnienia nie będą nudne. Zapalą się choinki i poustawiane szopki. Anglosasi poubierają się w czapeczki z papieru, będą rozrywać „crackersy" i całować się pod jemiołą. A my zaśpiewamy kolędy.

Zjemy wilię i pójdziemy na pasterkę. Następnego dnia odwiedzimy przyjaciół i napijemy się wódki lub wina, na co komu przyjdzie fantazja. Jak co roku. Nic nowego nie wymyślimy. Co ważniejsze nic nowego nie będziemy chcieli wymyślić gdyż rozumiemy dobrze niezmienny od dwuch tysięcy lat sens Bożego Narodzenia. Tylko człowiek bardzo zły może chcieć sens ten zmienić. Życzę każdemu by nigdy nie spotkał takiego człowieka.

J. P. H.

KRZYŻÓWKA KONKURSOWA 490/62

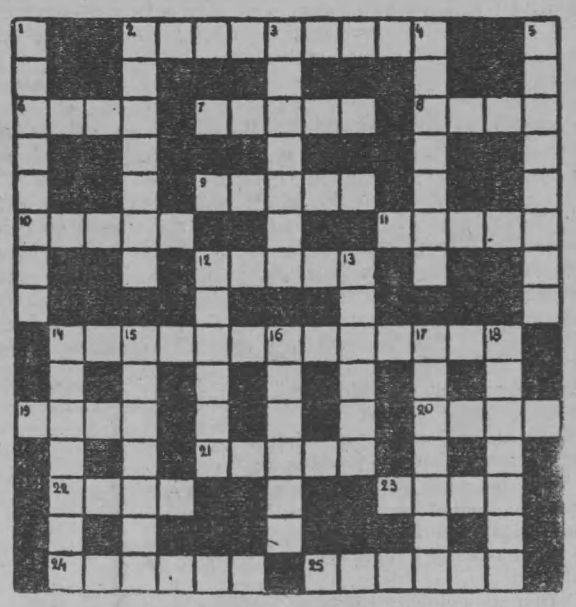

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) kloc; 6) w pieśni na niego rzucili los; 7) jeziora w Polsce; 8) Polacy w przeciwieństwie do nich mają swój język; 9) świąteczna rzeka, 10) od niego początek Rosji; 11) rychło; 12) nakrycie głowy na dachu; 14) święte miejsce z kolędy (8,5); 19) i 20) razem z opałkami nonsensy; 21) np. róża lub dalia dowcipna? (wspak); 22) przydatna ziemia; 23) miara, oryginał w Paryżu; 24) nawierzchnia; 25) gorszy od krzyku.

Pionowe: 1) pierwsi przyszli; 2) nicpoń; 3) czuwanie przed świętem; 4) mały instrument muzyczny; 5) koń; 12) święty Józef; 13) pisarz krakowski z 19 wieku; 14) jest w każdym gospodarstwie; 15) wyszukanie (wspak); 16) bez niej nie ma Bożego Narodzenia; 17) koń, który winien być na emeryturze; 18) w wielu pismach niedokładna (wspak). **Termin nadsyłania rozwiązań: 30 stycznia 1963.**

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ NR 468/62

Poziome: 2) safanduła, 6) i 8) fanfaron, 7) panna, 9) mafia, 10) Kreta, 11) wyrok, 12) burda, 14) postrzeleniec, 19) urna 20) więź, 21) afekt, 22) i 23) podwórko, 24) Toledo, 25) klepki

Pionowe: 1) refleksy, 2) sofista, 3) nenufar, 4) wyprawa, 5) poniekąd, 12) Boruta, 13) tabela, 14) parapet, 15) skandal, 16) prerie, 17) parówki, 18) chędogi.

Nagrody drogą losowania otrzymują:

1 — £.2 K. Kage, 40 Heathfield Rd., London W. 3.;

2 — T Nowakowski — „Obóz wszystkich świetych", A. Pniok, Polish Home, Penrhos, nr. Pwllhelii, Caerns.;

3 — A. J. Cronin — „Cytadela", W. Kozikowski „O" Camp, Donnigton, Salop, Wellington;

4— Z. Bohdanowiczowa — „Droga do Daugiel". Z. Malinowski, 12 bis de la Chapelle Bourges (Cher);

5 — S Sęp- Szarżyński — „W służbie latającego smoka", M. Dunin-Majewski, 147, Tufnel Park Rd., London N. 7.

WESOŁYCH ŚWIĄT
i
SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
życzy
KLIENTOM i ZNAJOMYM

Mgr M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S. W. 3.

B.D.I.C

Stefan Wóycicki 19)

Ziemia przeznaczona

Powieść

I ta odpowiedź zdawała się zachwycać Trzyskiego:

— Znaki szczególne! Doskonałe, doskonałe! Muszę to powtórzyć! Ale żarty na bok, panie kolego! (Oho! Jużeśmy się skolegowali! Baczność, Marku!) Młodzież taka, jak pan, ma do odegrania ogromnie ważną rolę teraz właśnie, kiedy przychodzi chwila decydowania o przyszłości Polski.

— Nie tylko Polski. Całego świata.

Trzyski potwierdził skwapliwie:

— Naturalnie, naturalnie. Ale nam — tu zatoczył ręką koło, włączając w ten gest wszystkich gości w kawiarni — nam chodzi o to, co się stanie z Polską. Więc musimy być gotowi, aby nas nie zabrakło w chwili, kiedy będziemy mieli cośkolwiek na ten temat do powiedzenia.

— Pan myśli, że my w ogóle będziemy mieli coś do powiedzenia w konflikcie o tak gigantycznych rozmiarach? — sprzeciwił się Marek. — Już w ostatniej wojnie pies z kulawą nogą nie zwracał uwagi na nasze życzenia i postulaty.

Trzyski uśmiechnął się dobrotliwie, po wujowsku.

— No, no, drogi kolego, to już jest skrajny pesymizm. Gdybyśmy tak mieli rozumować, nie pozostawałoby nam nic innego do zrobienia, jak tylko siedzieć z założonymi rękami i czekać na śmierć od bomby atomowej.

— A cóż my robimy innego? Co robi cały świat?

— O to właśnie chodzi, panie kolego. Czy panu takie czekanie odpowiada? Nie czuje pan potrzeby działania, walczenia, zmagania się? Kiedy ja byłem w pańskim wieku...

Ale Marka nie interesowała autobiografia Trzyskiego.

— Obawiam się, że niezależnie od naszej dobrej woli nikt z nas nie ma szans wpłynięcia nawet w najmniejszym stopniu na bieg wypadków.

Trzyski ucieszył się znowu:

— Otóż to, ma pan zupełną rację! Każdy z nas z osobna nie znaczy nic, absolutnie nic! Zero! Mniej niż zero! Ale razem, razem, panie kolego — o, to już całkiem inna sprawa! Jak to powiedział Mickiewicz? „Zestrzelmy myśli w jedno ogniwo i w jedno ognisko duchy", czy coś w tym rodzaju. I miał rację, panie kolego, miał świętą rację!

— Mickiewicz żył w czasach, kiedy nikomu się nie śniło o bombie atomowej — sucho zauważył Marek. — Ale nie będziemy się sprzeczać o to, co by napisał dzisiaj, prawda? Pan chciał ze mną o czymś mówić. Słucham.

Trzyski, chociaż dotknięty słowami Marka, nie dał tego po sobie poznać.

— To mi się podoba w dzisiejszej młodzieży: żadnych frazesów, żadnego owijania w bawełnę. Będę z panem zupełnie szczery. Chodzi o to, aby w wypadku wojny nie zabrakło wśród sił alianckich polskiego munduru.

— Dlaczego? — niewinnie zapytał Marek.

Trzyski oburzył się:

— Pan chyba żartuje! Po to, aby w momencie decyzji istniały te realne siły, które mogą wywrzeć na aliantów nacisk, którego nie może wywrzeć najlepsza nawet dyplomacja.

Marek czuł dziwną przyjemność w sprzeciwianiu się kapitanowi:

— Podobnego nacisku i z podobnym skutkiem, jaki wywarły Polskie Siły Zbrojne w ubiegłej wojnie?

Trzyski denerwował się:

— Tych dwóch sytuacyj nie można porównywać. W poprzedniej wojnie Rosja była aliantem, w obecnej będzie wrogiem naszych sprzymierzeńców.

— Za to w poprzedniej wojnie Niemcy były wrogiem naszych aliantów, a teraz będą sprzymierzeńcem — z satysfakcją powiedział Marek.

Trzyski omal że nie strącił ze stolika filiżanki z resztkami kawy:

— Właśnie o to chodzi! Właśnie dlatego musimy dysponować realnymi siłami, aby móc w odpowiednim momencie uchwycić pewne ważne dla nas punkty i utrzymać je wobec Niemców. Takiego argumentu nie może być pozbawiony legalny polski rząd na Zachodzie. Z tym się chyba pan musi zgodzić?

Marek zawahał się. Nie wątpił, że w razie wojny Polskie Siły Zbrojne będą odtworzone chociażby po to, aby przyciągnąć dezerterów z czerwonej armii polskiej. Zdecydował, że drażnienie kapitana nie miałoby dalej sensu. Uśmiechnął się:

— Owszem, zgadzam się z tym.

Trzyskiemu kamień spadł z piersi. Natychmiast wywiesił na twarzy dawny przyjazny uśmiech i ciągnął dalej:

— Siły te trudno byłoby improwizować dopiero w ostatniej chwili. Trzeba przynajmniej zalążek ich mieć przygotowany zawczasu. Prawda?

— Prawda — zgodził się znowu Marek.

Trzyski oburącz oparł się o blat stolika i przystąpił do ostatecznego natarcia:

— Zdaje pan sobie niewątpliwie sprawę, panie kolego, że wzięcie udziału w tym przedsięwzięciu jest przede wszsytkim obowiązkiem młodych. Tylko w ich rękach spocząć może broń, przekazana przez ojców.

Marek najeżył się. Z czasów pobytu w Kraju instynktownie nie znosił odwoływania się do jego poczucia obowiązku, wiedząc z gorzkiego doświadczenia, że po prostu chodzi komuś o wykorzystanie go w pewien sposób. Odpowiedział wymijająco:

— Żałuję bardzo, ale ja mam tak niewiele czasu do dyspozycji, że trudno byłoby mi przyjmować na siebie jakiekolwiek zobowiązania.

Trzyski zbagatelizował jego słowa:

— Któż z nas ma czas, panie kolego? Ale nawet jeśli mamy go mało, musimy go tyle znaleźć, ile będzie od nas wymagać — tu wzniósł do góry dwa palce prawej ręki, jak do przysięgi — Polska.

Marek był po prostu zgorszony. Nie znosił posługiwania się wielkimi i ważnymi słowami bez istotnego powodu. Polska jako pojęcie geagraficzne była słowem codziennym i prawie obojętnym; ale Polska jako Ojczyzna (z dużej litery), to już była rzecz głęboko osobista i niemal wstydliwa. Z głęboką niechęcią spojrzał na Trzyskiego, który w oczekiwaniu na efekt swoich słów odchylił się ku oparciu krzesła, uśmiechając się tryumfująco.

— Wybaczy pan, ale na mnie już czas — powiedział, wstając. — Proszę pani — zwrócił się do przechodzącej kelnerki — płacę kawę i jeden sernik.

Trzyski podniósł się również, zaskoczony i zdumiony.

— Ależ, panie kolego, pan mi jeszcze nie odpowiedział! Jeszcze pięć minut, a bylibyśmy na pewno doszli do porozumienia.

Marek, płacąc, odpowiedział przez ramię:

— Cóż robić, kiedy nie mam nawet tych pięciu minut czasu. Żałuję bardzo.

Trzyski wyciągnął z kieszeni notes.

— W takim razie pozwoli pan, że zostawię swój adres na wszelki wypadek. Pewien jestem, że pan się jeszcze namyśli...

Marek przyjął podaną kartkę, uścisnął ciepłą dłoń kapitana i opuścił salę kawiarnianą. Wychodząc z lokalu, prawie zderzył się we drzwiach z wchodzącą kobietą.

— Przepraszam panią — powiedział automatycznie i odsunął się na bok, nie patrząc na spotkaną.

Ta nie ruszyła się z miejsca, nie odpowiadając. Marek podniósł na nią oczy i poznał Kasię. Dziewczyna spotkała jego wzrok, skinęła mu głową i chciała przejść. Marek zagrodził jej znowu drogę.

— Kasiu — powiedział z głębokim przekonaniem — musisz mi wybaczyć, byłem skończonym idiotą.

W tej chwili za Markiem rozległ się zirytowany damski głos:

— Ja chcę przejść, proszę pana.

Marek odsunął się, przepuszczając niezmiernie wytwornie ubraną damę z towarzyszem. Gdy przeszli, do uszu Kasi i Marka dobiegł znowu jej głos: „Ta młodzież dzisiejsza nie ma żadnych manier. Utknie ci taki w przejściu, jak kołek..." Dalszy ciąg krytycznych uwag zagłuszyło przejeżdżające auto. Oczy Kasi i Marka znowu spotkały się — i oboje wybuchnęli śmiechem.

Potem, naturalnie, wszystko było już zupełnie proste i nieskomplikowane. Szli razem obok siebie długą, szeroką ulicą w żółtawym świetle latarń, które odbijały się w okularach Kasi. Marek tłumaczył się, długo i chaotycznie, Kasia pochopnie rozgrzeszała go przed sobą i przed nim samym. Marysia urastała w ich rozmowie do rozmiarów jakiejś „femme fatale" w stylu co najmniej Marleny Dietrich. Któż mógłby obwiniać Marka za to, że się nie oparł jej wytrawnym, kusicielskim sztukom?

Spacer przeciągnął się niespodziewanie długo, ponieważ oboje mieli sobie niezmiernie dużo do powiedzenia, a czuli się bardziej odosobieni od innych na ulicy, niż w lokalu. Przechodząc przez niewielki placyk, Marek zauważył drewnianą budę, w której sprzedawano herbatę i kanapki przez całą noc. Grupka ludzi stała przy drewnianej ladzie, pijąc herbatę z grubych fajansowych kubków. Marek poczuł nagły przypływ głodu.

— Napijemy się herbaty i zjemy po kanapce, dobrze? — zaproponował.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KSIĄŻKA —
TO NAJMILSZY, NIEPRZEMIJAJĄCY UPOMINEK GWIAZDKOWY — SUGERUJEMY WIĘC:

W. Anders: „Bez Ostatniego Rozdziału" 35/-
A. Piłsudska: „Wspomnienia" 35/-
M. Sokolnicki: „Rok Czternasty" 35/-
J. Otwinowska: (dla młodzieży) „Ich Młode Lata" 9/-
J. Otwinowska: (dla dzieci) „Przygody Psotki i Filutka" 6/-

Do nabycia w GRYF PUBLICATIONS LTD., 169, Battersea Church Road, LONDON, S.W.11 i we wszystkich księgarniach polskich.

Czytaj polską książkę

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI
Tel. FRE 3175
TAZAB
22, Roland Gdns.
London S.W.7

W NOWYM YORKU: TAZAB, 36 Third Avenue, N.Y. 3. N.Y.

LEKARSTWA! LEKARSTWA!
We Francji ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre Paris 17

ŚWIĘTA ZA PASEM!
Sprawdź u swego dostawcy czy ma na składzie
ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI
WÓDKA WYBOROWA 79 Pr. (Blue Label) ¾ ltr. — 47/-, ½ ltr. — 31/3
½ but. — 24/-, ¼ but (Flask) — 12/9, Setka — 7/3, Min — 4/-

Wódka Wyborowa, 66 Pr. (Red Label) ¾ ltr. — 38/9
½ but. (Flask) — 20/3; ¼ but. (Flask) — 10/6
Wódka Luksusowa, 79 Pr. ½ ltr. ... ... — 32/6
Wiśniówka, 70 Pr. ½ ltr. — 30/3; ½ but. — 23/3
Setka — 7/-; Min. — 3/9
Jarzębiak, 70 Pr. ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9
Żubrówka, 70 Pr. ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9
Śliwowica, 69 Pr. ¾ ltr. — 42/-; ½ but. — 21/6
Krupnik, 70 Pr. ½ ltr. — 32/-; Min. — 4/3

Starka, 87 Pr. — ½ ltr. — 39/-; Min. — 4/3
Winiak, 70 Pr. — ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9
Pure Spirit, 100 Pr. — ½ but. — 30/6
Pure Spirit, 140 Pr. — ½ but. — 40/-; Min. — 6/6
Goldwasser, 70 Pr. — ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9
Cacao Choix & Cherry Liqueur, 50 Pr. — ½ but. — 19/-
MIÓD WAWEL: Gąsiorek — 24/6; podwójny — 48/6
Min. — 3/9
Cassis, 61 Pr. — ½ ltr. — 27/6; Min. — 3/9

WINA OWOCOWE: RYCERSKIE (wiśniowe), BESKID (jeżynowe), ZBÓJNICKIE (agrestowe), JANCZAR (porzeczkowe) — butelka 9/9
PIWO: TATRA-ŻYWIEC, OKOCIMSKIE i PORTER
Do nabycia po powyższych cenach w każdym dobrym sklepie win

Wył. Importer:
EDOUARD ROBINSON LTD.
21, Old Compton Street, London, W. 1.
Tel.: GERrard 3367

BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN Z POLSKI
ANGLOPOL TRAVEL
Tel FRE 1155
121, Earls Court Rd., London, S.W.5.

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOŚĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej
wyślesz przez
P. C. STORES
S. BREWKA
18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.
Tel.: KNI 0747

KAZIMIERZ SCHLEYEN

O ŚWIĘTO NARODOWE

(Artykuł dyskusyjny)

ŚWIĘTA narodu czy państwa posiadają tym większe znaczenie o ile spełniają trzy warunki: spojrzenie w przeszłość z dumą, radosne wspomnienie budzące refleksje, w chwili bieżącej przejawienie wspólnoty ludzi połączonych więzami uczuć i dążeń i wreszcie dla przyszłości wzbudzenie najlepszych nadziei i wiary we własne siły. Są narody i państwa, jak Anglia, które takich świąt nie posiadają. Może ich nie potrzebują.

W Polsce święciliśmy oficjalnie dwie daty: 3 maja i 11 listopada. Za czasów zaborczych święto narodowe 3 maja spełniało ważne zadanie. Stało się demonstracją polskości, podniosłym przejawem dążeń niepodległościowych i w praktycznym znaczeniu ofiarną zbiórką na krzewiące polskość Towarzystwo Szkoły Ludowej. W okresie zaś niepodległości, ilekroć miałem przemawiać na jakiejś akademii lub lokalnej uroczystości, zawsze stawałem przed trudnym zadaniem jak to w sposób popularny przedstawić dojrzałość myśli politycznej polskiej przed półtora wiekiem, ideę równości stanów, jak ważną dla narodu jest nauka i oświata i jak to wszystko powiązać z obecną dobą. Na obchodach tych można było wzbudzić pewne zaciekawienie, lecz trudno było o wzbudzenie podniosłego nastroju, a tym bardziej wywołania głębszych wzruszeń. Radowali się słuchacze dniem wolnym od pracy, przysłowiową pogodą trzeciomajową i paradą wojskową.

11 listopada został uznany jako oficjalne święto Niepodległości. To już posiadało znacznie głębszą wymowę. Odzyskanie niepodległości po tylu latach niewoli stało się słusznie świętem narodu i państwa. Na tle wypadków dziejowych listopad 1918 roku stał się również rocznicą wyzwolenia innych państw. Dla nas data jedenastego stała się ogólnie przyjętą dla całego państwa, datą symboliczną, choć data ta nie była związana z wielkim czynem tego dnia, choć dla innych połaci kraju data wyzwolenia była inna dla Poznania, Śląska, Lwowa czy Wilna. Nikt o różnice te nie dbał odkąd w całym państwie śpiewano: „Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie". Lecz gdy nadeszły czasy najstraszniejszej niedoli, gdy powróciliśmy do modlitwy: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie" i ta listopadowa rocznica przechodzi do gablotki historycznej, wzbudzając tylko żałość.

Natomiast data 15 sierpnia, utrzymawszy zwężoną nazwę „Święta Żołnierza", znalazła się na trzecim miejscu i nadal tę pozycję utrzymuje. Wszystkie względy przemawiają za tym, by data ta oficjalnie awansowała do Święta Narodowego. Jako spojrzenie w przeszłość zwycięstwo nad Rosją napawa nas dumą i przyćmiewa spóźnioną w skutkach Konstytucję 3 Maja. Wymowa czynu małej Polski opuszczonej przez cały świat, olbrzymiego wysiłku, który uchronił Europę przed zalewem komunizmu, jest i była niedoceniana przez świat i nie dość przypominano światu o tym zwycięstwie. Nic bardziej nie przyczyni się do podkreślenia znaczenia Polski, z której kluczową pozycją w Europie zbyt mało się liczą w konszachtach politycznych. Nic bardziej nie uwydatni bojaźliwemu światu, że diabeł nie jest taki mocny jak go malują. Ten strach jest stałą przeszkodą w rozgrywkach politycznych ulegających szantażowi Kremla. Proporcja sił małej Polski w stosunku do obecnych sił wolnego świata z Moskwą, może stworzyć nawet bardziej pomyślny obraz niż w r. 1920. Zrozumienie tego dodaje nam otuchy na przyszłość i powinno dla Zachodu stanowić podstwę wiary we własne siły, wiarę w ostateczne zwycięstwo, bo bez wiary trudno zwyciężyć.

Utrzymała się nazwa „Święta Żołnierza", która nie oddaje w pełni istotnego znaczenia, bo to było zwycięstwo całego narodu, wysiłek wszystkich Polaków z bronią lub bez niej. Umilkły wtedy wszelkie swary, zniknęły różnice partyjne i klasowe, pamiętano tylko o tym co nas łączy i puszczono w niepamięć co nas dzieli. W dziejowej potrzebie Naród scalił się i zjednoczył. Ten wrodzony charakterowi polskiemu czynnik patriotyzmu i ofiarności daje pewność, że w ważnych chwilach dziejowych zaważy na szali naszych czynów i przyszłości. Nie warto biadać i rozdzierać szat nad pożałowania godnym brakiem jedności na wychodztwie, bo wierzymy, że w chwilach próby będziemy znów zjednoczeni jak w roku 1920.

Rzucam myśl by przyjąć na wychodztwie dzień 15 sierpnia jako Święto Narodowe, a uwolniony spod jarzma rosyjskiego Kraj datę tego zwycięstwa zaakceptuje jako datę zwycięstwa całego Narodu.

EKSPORT ZA WSZELKĄ CENĘ — DEWIZĄ REŻIMU GOMUŁKI

Eksport za wszelką cenę — jest dewizą reżimu Gomułki od dłuższego już czasu. W szeregu okręgów Polski, a w szczególności na Wybrzeżu, gdzie lokalizacja zakładów produkujących na eksport jest szczególnie duża, odbywają się stale narady z udziałem przedstawicieli warszawskich central handlu zagranicznego. Do narad usiłuje się wciągnąć robotników, którzy zachowują się raczej biernie, ponieważ w dyskusjach tych nie poruszano dotąd sprawy zarobków. Obecnie sprawy te po dyskusjach na szczeblu centralnym reżimu i partii — są podnoszone. Kierownictwa fabryk przyrzekły, że robotnicy będą w tym roku premiowani za przyrost produkcji eksportowej.

Głównym celem tej polityki jest zrównoważenie ujemnego salda w handlu zagranicznym, które wyniosło w ubiegłym roku prawie miliard złotych dewizowych. Od 1956 r. import towarów do Polski stale przewyższa eksport. Reżimowi chodzi głównie o zwiększenie eksportu do krajów „kapitalistycznych". (FEC)

Wiadomości społeczne

SHEFFIELD

Otwarcie Polskiego Centrum Katolickiego

Półtora roku trwały prace przy urządzaniu domu przeznaczonego na Polskie Centrum Katolickie w Sheffield. Ogólny koszt inwestycji wynosi ponad £. 6.000, co stanowi wielki wysiłek parafii ks. prob. Michała Szymankiewicza i jest uwieńczeniem 14 lat pracy duszpasterskiej. Wszystkie przeróbki i naprawy wykonano nakładem pracy ochotniczej parafian, jedynie z wyjątkiem przeróbki konstrukcyjnej.

Tą wielką ofiarność parafii podkreślił ks. inf. Władysław Staniszewski w okolicznościowym kazaniu, a na uroczystości poświęcenia samego Ośrodka mówił o jego estetycznym wyglądzie i o tym, że będzie tu kwitła polska tradycja katolicka.

Zadaniem Ośrodka będzie promieniowanie na okoliczne miejscowości jak Chesterfield, Mansfield, Scunthorpe, Doncaster, Rotherham i Barnsley.

Uroczystość poświęcenia Ośrodka uświetnił obiad wydany na cześć ks. inf. W. Staniszewskiego w którym uczestniczyło 70 parafian, a po poświęceniu odbyła się akademia Chrystusa Króla z występem chóru „Arion" i recytacjami dzieci i młodzieży, podczas której dyr. J. A. Onyszkiewicz wygłosił głęboko ujęty odczyt o „Królestwie Chrystusowym w dniu dzisiejszym".

Komitet Parafialny

Działalnością społeczno-organizacyjną parafii w Sheffield kieruje Komitet Parafialny. Obecnie, posiadając własny dom Ośrodka Katolickiego, znacznie zwiększa zasięg swych możliwości. W domu bowiem jest restauracja, spora sala na imprezy, mieszcząca do 120 osób i trzy pokoje przeznaczone na szkołę.

Jest jednak i pewna trudność, gdyż nowy dom znajduje się tuż obok istniejącego od wielu lat Domu Kombatanta i na tym tle powstały pewne zadrażnienia organizacyjne, które dopiero czas może usunąć.

Komitet Parafialny stanowią: Zygmunt Pryjomko — prezes, dr Zygmunt Milford — wiceprezes, Edmund Gardy — skarbnik, Jan Wyszyński — sekretarz oraz członkowie komitetu dr Jan Tarała, Władysław Meinard, Florian Orzechowski, Mieczysław Jagiełłowicz, Józef Szczepański, Franciszek Kozłowski i inż. Tadeusz Górka.

MANCHESTER

Zebranie Oddziału A.K.

Na walnym zebraniu oddziału A.K. Manchester przy obecności 21 osób omówiono dotychczasowe wyniki działalności i zakres prac na przyszłość. Zebranie zagaił prez. Stanisław Kopeć, przewodniczył Tadeusz Ciesielski a sekretarzował Jan Głuszkiewicz. Oddział liczy obecnie 42 czynnych członków i 25 niezrzeszonych, współpracujących luźno. Akowcy z Manchester są czynni w miejscowym życiu społecznym. Za podstawowe zadanie poczytują sobie opiekę nad inwalidami A.K. Jak poważny jest to wysiłek i jakie osiągnięcia najlepiej mówią cyfry. W ciągu ostatnich 5 lat niewielki ten zespół przekazał do Londynu na Fundusz Inwalidzki A.K. £. 122, a na miejscu we własnym zakresie wydatkował na ten cel £. 118

Jednym z poważniejszych osiągnięć było też złożenie urny z ziemią ze Starówki w kościele polskim Bożego Miłosierdzia w Manchester.

Ustępujący zarząd otrzymał jednomyślnie absolutorium z podziękowaniem. Do nowych władz Oddziału wybrano zarząd w składzie: Stanisław Kopeć — prezes Tadeusz Stumpf — viceprezes, Janina Ciesielska — sekretarka, Maria Mirowska — skarbniczka oraz Andrzej Gajewski i Roma Świetlik. Komisję rewizyjną stanowią: Jan Głuszkiewicz, Antoni Jeske i Stefan Otręba, a delegatami na zjazd w Londynie wybrano Tadeusza Ciesielskiego, Annę Stumpf i Stanisława Kopcia.

HALIFAX

Komitet do spraw Rady Jedności Narodowej

W wyniku akcji powyborczej i pozjazdowej powstał w Halifax specjalny Komitet do Spraw Rady Jedności Narodowej w skład którego wchodzą delegaci i zastępcy na Zjazd Polaków oraz członkowie lokalnej komisji wyborczej. Na zebraniu przygotowawczym podzielono się funkcjami w pracach komitetu. Sekretarzem generalnym został kpt. dypl. Józef Kondyjowski, który jednocześnie jest stałym referentem spraw międzynarodowych. Kpt. Franciszek Bach zajmie się sprawami krajowymi a p. Stefan Stępień sprawami emigracyjnymi. Organizacją akcji Skarbu Narodowego na Halifax zajął się p. Zygmunt Kafel.

Pierwszą działalnością nowego komitetu było publiczne zebranie sprawozdawcze ze Zjazdu Polaków, jakie zorganizowano przy sporej frekwencji w Domu Kombatanta. Poszczególni referenci zdali sprawozdania ze swoich działów

Inicjatywa podjęta w Halifax zasługuje na uwagę i jest konkretnym przykładem możliwości ożywienia zainteresowań polityką emigracyjną w ośrodkach prowincjonalnych.

BRADFORD

Sekcja Pań S.P.K. rozszerza zakres zainteresowań

Na herbatce (ze znakomitymi ciastkami) zorganizowanej przez Koło Pań SPK w Domu Kombatanta przy udziale ponad 60 osób dr. Lidia Ciołkoszowa mówiła o „Aktualnych problemach życia polskiego na emigracji ze szczególnym uwzględnienie roli kobiet". Wprawdzie w dyskusji chętniej zabierali głos panowie, ale jest to dopiero pierwszy odczyt tego rodzaju. W miłej atmosferze pogawędek spędzono następnie ponad dwie godziny.

ROCHDALE

Systematyczna praca Skarbu Narodowego

Skarb Narodowy w Rochdale działa od samych początków swego powołania. Przez cały czas pracą Komitetu Lokalnego kieruje p Jan Soroka, zaznaczając, że na przestrzeni tego znacznego już okresu były lata tłuste i chude. W ośrodku liczącym dziś około 350 Polaków organizacja Skarbu Narodowego nie jest masowa, ma jednak trwałe zakorzenienie 22 stałych płatników i około 30 osób świadczących doraźnymi datkami.

DEWSBURY

11 listopada i 10-lecie szkoły polskiej.

W dobrze zapełnionej sali na Seville Town odbyła się uroczystość 11 listopada połączona z 10-leciem szkoły polskiej w Dewsbury. Imprezę zagaił kierownik szkoły prof. Gierard Białasik, mówiąc o trudnych zadaniach szkoły polskiej na emigracji i przywiązaniu do tradycji narodowych. Okolicznościowe przemówienie o święcie Niepodległości wygłosił mjr Marcin Czechowicz przybyły z Bradford, który przypomniał zebranym ofiarność walk o Niepodległość na tle obecnych zadań emigracji. Na zakończenie przemówił proboszcz parafii ks. kan. Franciszek Dziduszko, apelując do zebranych o pełne zrozumienie polskich tradycji katolickich i patriotycznych, a do rodziców dzieci o jak najpełniejsze poparcie prac szkoły. Część artystyczną uroczystości wypełniły dzieci szkolne przygotowane przez nauczycielkę pannę Krystynę Białasik. (p.t.)

KRONIKA TYGODNIA

12 grudnia

Kennedy zapowiedział, że nie poweźmie żadnych decyzji o pociskach Skybolt zanim nie spotka się z Macmillanem

Walki na Borneo trwają. Poległo 5 komandosów brytyjskich. Udało się wszakże ocalić wszystkich zakładników zagarniętych przez powstańców.

Pani Bandaranajke, premier Cejlonu, udaje się do Pekinu by pośredniczyć między Chinami i Indiami zgodnie z planem ułożonym w Colombo przez sześć państw afro-azjatyckich.

13 grudnia

Gen. Norstad na zebraniu NATO nawoływał o rewizję strategii zachodniej. W razie wojny należy przyjąć uderzenie sowieckie jak najbliżej „żelaznej kurtyny".

Wzmacnia się nacisk na Katangę prowadzony przez ONZ. Jedynie W. Brytania ostrzega przed skutkami sankcji gospodarczych i interwencji zbrojnej.

14 grudnia

„**Mariner II**", pocisk międzyplanetarny dotarł w pobliże Wenus i zaczął wysyłać informacje o tej planecie. Dostarczył ich w ciągu kilku minut więcej niż uczeni zdołali zebrać przez stulecia.

Rusk zapowiedział program stworzenia międzynarodowej siły morsko-nuklearnej w dyspozycji NATO. Jednocześnie McNamara domaga się zwiększenia kontygentów wojsk lądowych a W. Brytania zastanawia się nad możliwością budowy ‚Skyboltów" własnym sumptem.

Kennedy zapowiedział obniżenie podatków by poprawić sytuację gosp. St. Zjednoczonych.

W Rodezji Północnej objął władzę pierwszy rząd złożony z przedstawicieli dwuch stronnictw murzyńskich. Są w nim również biali — członkowie jednego z tych stronnictw.

„**Mona Liza**" wypożyczona przez Francję Galerii Narodowej w Waszyngtonie została załadowana na statek w Hawrze.

15 grudnia

Partia Roy Welenskiego przegrała wybory w Płd. Rodezji na rzecz skrajnego stronnictwa białych, odrzucającego program emancypacji czarnych.

W. Brytania zgadza się oddać część swych broni atomowych do dyspozycji NATO pod warunkiem, że Francja postąpi tak samo.

Macmillan przybył do Paryża na rozmowy z de Gaulle'm.

Fala silnych mrozów dotknęła Amerykę aż po Florydę i Texas czyniąc spustoszenia w uprawie płodów południowych.

16 grudnia

Komunikat z rozmów de Galle'a z Macmillanem stwierdza, że nie uzgodniono punktów spornych odnośnie przystąpienia W. Brytanii do Wspól. Rynku.

17 grudnia

Kennedy oświadczył, że „Skybolt" jest zbyt kosztownym projektem by móc kontynuować prace na nim.

W Dakarze nastąpił nieudany zamach stanu ze strony premiera republiki senegalskiej, sprzyjającego Sowietom.

W Kongo wzmogły się walki między wojskami ONZ., wojskami Katangi, oddziałami rządu centralnego i Sudańczykami w ramach ONZ., którzy walczą także z wojskami Ugandy...

CENA EGZEMPLARZA: w W Brytanii sh. 1/3 – we Francji NF. 0.75 – w Austrii 1.60 Sch w Belgii 7 br b. – w Holandii 60 cent. – w Niemczech 60 Pf – w Portugalii 3 esc. – w Szwecji 90 öre – we Włoszech 60 lir – w Australii A 1sh 9d. – w Argentynie $0.20 (w przeliczeniu) – w Kanadzie 20 cent. – w Stanach Zjednoczonych 20 cent. – w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. BRYTANII: „Gryf" Publications Ltd, 169-171, Battersea Church Rd. London, S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6, rocznie £3.0.0 Zmiana adresu 1s – W BELGII: miesięcznie frb. 25; kwartalnie frb. 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Csaky 116 rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J Korab-Brzozowska-Csaky nr 7315.20, podając swój dokładny adres – FRANCJA: N.F.: kwart. 8.00 półr. 15.00 rocznie 28.00. Admin. „Syreny" 20 rue Legendre, Paris 17 Konto poczt.: Edit ELKA-Paris 5507-30; „Libertia" Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Ille Paris IV; nr. konta poczt. Paris cc 565150 Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale Lille (Nord) tel 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) – W HOLANDII: mies. fl. 2.00. kwart 5.50 wpłacać przek. poczt.: Fr. Malecki, T'ulpenlaan 17 Lindenheuvel, Geleen (L.) – W NIEMCZECH: St Mikiciuk (13b) München, 45, Gablonzerstrasse 7/I. – W NORWEGII: koron: mies. 4, kwart. 10. rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Post box 115, Oslo. – W PORTUGALII: kwart 35 esc., rocz. 120; A Zieliński Lisboa, Central Caixa, Post Nr 110 – W SZWAJCARII. fr.szw mies 2.00 kwart. 5.50, Maria Wasung, 6 rue des Pilas Genève i Janusz Rakowski Mainaustr 28, Zurich – W SZWECJI: koron: mies. 3.60. kwart. 10.00 rocz 36.00, Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/II, Stockholm. – WE WŁOSZECH: lirów: kwart 700; W Zahorski Associazione Combatt Polacchi Via Licia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt. – W ARGENTYNIE: prenumerata roczna $8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polac" Serrano 2076 Buenos Aires – W BRAZYLII: półrocznie $4.00, rocznie $8.00 – W AUSTRALII: „Vistula" (Australia) Pty Ltd. Daking House Rawson Place Sydney; „Społem", 64 Tapleys Hill Rd Royal-Park, Adelaide S.A.; R Gronowski 23 Clifton Str., Richmond E.1 Vic kwart. £1.0.0A rocznie £3.15.0A – W KANADZIE: rocznie $8.00; „Gryf" London. – W PŁD. AFRYCE: kwart. 16/6 rocznie – 60/-; prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf" Publications Ltd. – W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: $2.10 półroczna: $4.00 Przedstawicielstwa: „Gryf Publications" W Bieńkowski, 738 Hampton A. Schenectady, N.Y., Polish American Book Co. 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22. Ill.; „Księgarnia Ludowa", L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. USA; Polska Składnica Taniej Książki „Polinvalco" 2109 Robinwood Avenue Toledo 2. Ohio

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez jeden łam £1.5.0 wzgl. 1 cm. przez jeden łam NF 7.50 Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD. 171. Battersea Church Rd. London S.W.11; Adm „Syreny" 20 rue Legendre, Paris 17, tel WAGram 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq. London W.C.2; lub Odra Press Ltd 20 Queens Gate Ter. S.W.7. Tel. KNI 6855

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji i Administracji:

„Gryf" 171, Battersea Church Rd. London. S.W.11. Tel. BATtersea 1445

We Francji: „Syrena". 20 rue Legendre, Paris 17. Tel. WAGram 0045

Konto pocztowe: ELKA cc. Paris 5507-30

Printed and published by „Gryf Printers (H.C.) Ltd., 171, Battersea Church Road, London, S.W 11. Registered at the G.P.O. as a newspaper.